ISSN 0023-5148

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 3/486** **1988**

• « La Culture » • Revue mensuelle •

F. JANOUCH: **PODRÓŻ NA SYBERIĘ W 1987 ROKU**

M. FELDHUZEN: **AMERYKA POŁUDNIOWA - ZAGROŻONY KONTYNENT**

L. UNGER: **SOŁDATY, 23 WIEKI NA WAS PATRZĄ!!!**

J.M. BOCHEŃSKI: **W SPRAWIE BOŻYCY**

SPIS RZECZY

František Janouch:	*Padróż na Syberię i spotkanie z Sacharowem (1987 r.)*	3
Gustaw Herling-Grudziński:	*Dziennik pisany nocą*	17
—	*Pomarańczowa Alternatywa*	27
	WIERSZE	
Adam Lizakowski:	*Autobus 38 Geary. — O czym myślałem w sobotę. — Samotność*	36
Maciej Niemiec:	*List*	39
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Maciej Feldhuzen:	*Ameryka Południowa — zagrożony kontynent*	41
Leopold Unger:	*Widziane z Brukseli*	56
Michał Heller:	*Podskórne wrzenie*	65
Józef Garliński:	*List z Londynu (15)*	70
	K R A J	
Witold Charłamp:	*Dziennik zewnętrzny*	74
(ja):	*Notatki z Polski*	80
Aleksander Świeykowski:	*Czym żyje wieś? (cz. I)*	85
Krzysztof Turowski:	*Opozycja — myśl — polityka*	89
Leopolita:	*O czym informuje przemilczanie*	97
az:	*List z kraju*	99
Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych:	*Komunikat*	100
NOW-a:	*Komunikat*	102
	SPRAWY I TROSKI	
Renata Gorczyńska:	*Archipelag New York*	103
Polcul Foundation:	*Komunikat*	112
	SĄSIEDZI	
Józef Mirski:	*Historyczne spotkanie*	113
Adam Kruczek:	*W sowieckiej prasie*	117
Andrzej J. Chilecki:	*Kronika niemiecka*	123
	O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA	
Stanisław Zbydniowski:	*Pod rozwagę*	126
—	*List biskupów włocławskich do kapłanów*	128
Józef M. Bocheński:	*W sprawie Bożycy*	129
—	*Protokół z posiedzenia Prez. Zarządu KIK*	137
	CI, CO ODESZLI	
Tadeusz Konopka:	*Wspomnienie o dr. Józefie Lichtenie*	138
	POLEMIKI	
Jan Saber:	*Odpowiedź na anonimowy donos*	141
Wiktor Kulerski:	*W uzupełnieniu „Odpowiedzi..." Jana Sabera*	144
Bogdan Stasikowski:	*Moim zdaniem*	146
	KSIĄŻKI	
Hanna Świderska:	*Miasto polskich dzieci*	149
—	*Nadesłane nowości wydawnicze*	153
	◆	
—	*Wydarzenia miesiąca oraz kroniki: austriacka, kanadyjska i szwedzka*	156
	◆	
K. Akuła, H. Ejsner, J. Darski; J. M. Bocheński, M. Lisiński; Z. Ruszkowski, M. Siekierski, R. Gorczyńska; J. P. Lasota:	*Listy do Redakcji*	167

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Marzec - Mars 1988

INSTYTUT LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

FRANTIŠEK ADAM JANOUCH, urodzony 22 września 1931 w Czechosłowacji, jest z wykształcenia fizykiem. Dyplom uzyskał z fizyki teoretycznej na Uniwersytecie w Leningradzie, a doktoryzował się na uniwersytetach w Moskwie i Pradze.

Do 1970 roku pracował jako kierownik Zakładu Teoretycznej Fizyki Jądrowej w Instytucie Badań Jądrowych Czechosłowacji Akademii Nauk, docent na Uniwersytecie Karola w Pradze, członek Komitetu Wykonawczego Europejskiego Towarzystwa Fizycznego i członek Rady tego Towarzystwa.

Od 1970 roku prześladowany w Czechosłowacji, usunięty ze wszystkich stanowisk i pozbawiony możliwości publikacji, nawet prac naukowych.

W 1974 roku zezwolono mu opuścić Czechosłowację na zaproszenie Szwedzkiej Królewskiej Akademii Nauk do pracy w Instytucie Fizyki Uniwersytetu Sztokholmskiego, gdzie pracuje do dnia dzisiejszego.

František Janouch jest autorem szeregu prac naukowych z dziedziny teorii jądra atomowego, słabych oddziaływań, reakcji jądrowych i radioaktywności. Wykładał na wielu uniwersytetach w Europie, USA i Azji. Jest też członkiem Szwedzkiego PEN-Clubu i Szwedzkiego Związku Pisarzy, założycielem Fundacji Karty 77 w Sztokholmie i przewodniczącym zarządu fundacji. W 1983 roku otrzymał U.S. Open Society Prize.

WPŁATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Prof. Bronisław Baczko, Genewa — dla uczczenia pamięci Profesora Witolda Kuli	F. 300,00
M. Barakoński, Sherman Ooaks, CA (USA), po raz 19-ty — $ 50,00	F. 280,00
Wilhelm Bismayer, Des Plaines, IL (USA), po raz 23-ci — $ 50,00	F. 280,00
Lech Borawski, Long Island City, NY (USA), po raz 2-gi — $ 100,00	F. 560,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, ON (Kanada), po raz 20-ty	F. 495,00
Aleksander I. Bragiński, Pittsburg, PA (USA), po raz 38-my — $ 100,00	F. 560,00
Zbigniew Brzeziński, Waszyngton, DC (USA), po raz 18-ty — $ 1.000,00	F.5.600,00
Wanda i Czesław Deminet, Albuquerque, NM (USA), po raz 17-ty — $ 25,00	F. 140,00
Stanisław Dziakiewicz, Trenton, NJ (USA), po raz 3-ci — $ 94,00	F. 526,00
Robert Fedorowicz, San Diego, CA (USA) — $ 17,60	F. 98,50
Dr Jan J. Golnick, Papillon, NE (USA), po raz 6-ty — $ 22,00	F. 123,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA), po raz 9-ty — $ 12,00	F. 67,00
Jacek Hejnar, Saint Hubert, PQ (Kanada)	F. 70,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 28-my — $ 25,00	F. 140,00
Karol Jabłoński, Miami, FL (USA), po raz 18-ty	F. 136,86
Stefania Kossowska, Londyn — £ 5.00	F. 50,00
Halina Kościuch, Sterling Hts, MI (USA) — dla uczczenia pamięci Męża Mieczysława i Syna Henryka — £ 30,00	F. 168,00
A. Kowalska, Auckland (Nowa Zelandia), po raz 7-my — $ A. 22,00	F. 85,35
Prof. Karol J. Krótki, Edmonton, AB (Kanada), po raz 10-ty	F. 200,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 174)

Podróż na Syberię i spotkanie z Sacharowem (1987 r.)

NAUKA I NAUKOWCY

Dwadzieścia lat temu czescy podróżnicy Jiri Hanzelka i Miroslav Zikmund przemierzyli wzdłuż i wszerz Związek Sowiecki. Pod koniec dwuletniej podróży zostali z wielką pompą przyjęci przez Leonida Iljicza Breżniewa, który udekorował ich wysokimi odznaczeniami i poprosił o całkowicie swobodne spisanie wrażeń z podróży. Dwaj podróżnicy sporządzili bardzo ciekawy 50-stronicowy raport, który nigdy nie ujrzał światła dziennego. Otwierało go następujące zdanie: „Związek Sowiecki przypomina ogromną ciężarówkę, której kierowca równocześnie naciska na gaz i zapuszcza hamulec".

Trudno o lepszą i zwięźlejszą definicję sytuacji w nauce sowieckiej. Związek Sowiecki ma wielu wysoko wykwalifikowanych naukowców, zdolnych zmierzyć się z najtrudniejszymi problemami. W naukach teoretycznych — matematyce, fizyce teoretycznej, astrofizyce, kosmologii — w których wyniki zależą tylko od talentu i wiedzy — Związek Sowiecki dorównuje poziomowi światowemu, choć nawet w tych dziedzinach jest upośledzony przez brak dostępu do informacji i brak kontaktów. Znacznie gorzej wygląda sytuacja w dziedzinach, które zależą od stałych dostaw instrumentów, substancji chemicznych i aparatury przemysłowej.

Czynniki te powodują, że praca sowieckich instytutów naukowych jest bardzo mało wydajna. Nie odkrywam Ameryki: sowiecki akademik Kapica (nagroda Nobla z fizyki 1978) mówił i pisał o tym i doszedł do wniosku, że nauka sowiecka jest co najmniej dwa do trzech razy mniej wydajna niż amerykańska.

Inne porównania, oparte na liczbie zdobytych nagród Nobla, każą dojść do jeszcze gorszych wniosków.

Odnoszę wrażenie, że sytuacja pogorszyła się znacznie od lat 50-tych, kiedy Kapica wypowiedział swe odważne ostrzeżenie. Tymczasem badania naukowe na Zachodzie poszły zdecydowanie naprzód, zwłaszcza w ostatniej dekadzie (przede wszystkim dzięki oszałamiającemu rozwojowi komputeryzacji). W Związku Sowieckim rozwój badań stał w miejscu. Doprowadziło to do tego, że nauka sowiecka może dotrzymać kroku badaniom zachodnim (na najwyższym poziomie, na którym panuje międzynarodowa integracja, wymiana i współpraca) tylko w nielicznych wyselekcjonowanych dziedzinach, a właściwie tylko w dziedzinie broni nuklearnej, techniki rakietowej i badań międzyplanetarnych. Trudno dokładnie obliczyć, jaką cenę ZSSR za to płaci, ale pewne jest, że na najwyższym międzynarodowym poziomie utrzymuje się tylko dzięki koncentracji środków i personelu naukowego w tych nielicznych wyselekcjonowanych dziedzinach. Szacuję, że dla rozwiązania tego samego problemu naukowego w tym samym czasie co Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki potrzebuje dziesięć razy więcej pieniędzy i ludzi.

W czasie mego ostatniego pobytu w Moskwie opowiedziano mi kilka wersji tej samej anegdoty:

ZSSR poprosił japońskich ekspertów o zbadanie sytuacji w sowieckiej elektronice i technice komputerowej i ustalenie, za ile lat ZSSR będzie w stanie dogonić Japonię. „Myśleliśmy, że jesteście jakieś piętnaście do dwudziestu lat w tyle za nami — powiedzieli wreszcie Japończycy. — Ale teraz widzimy, że nigdy nas nie dogonicie".

Pewien znany i poważny naukowiec wyznał mi z zatroskaniem, że jego zdaniem w rozwoju ZSSR czegoś zaniedbano i że skutki tego są nieodwracalne.

Inny profesor opowiedział mi, że w latach 40-tych zorganizowano wszechzwiązkowy konkurs na zapalniczkę dla towarzysza Stalina. „W konkursie wzięło udział kilkaset fabryk. Podobny konkurs na prywatny komputer dla towarzysza Gorbaczowa byłby dziś nie do pomyślenia. Nie znaleziono by ani jednej fabryki, zdolnej wyprodukować nowoczesny i niezawodny komputer".

Profesor miał niewątpliwie rację. Związek Sowiecki praktycznie nie produkuje mikro-komputerów. W jednej z moskiewskich gazet ukazał się artykuł, że przed rozpoczęciem seryjnej produkcji i wprowadzeniem na rynek mikro-komputerów należałoby 20-to do 25-ciokrotnie polepszyć jakość prototypu. Gorbaczow przyznał w jednym ze swych przemówień — „spójrzmy prawdzie w oczy" — że jakość produkowanych przez sowiecki przemysł komputerów jest niezadowalająca.

Prawda jest moim zdaniem gorsza. W czasie mego pobytu w ZSSR nie widziałem ani jednego mikro-komputera produkcji krajowej. Naukowcy z rozmaitych instytutów mówili mi, że opracowane w ich pracowniach prototypy wozi się na pokazy do ministerstw i KC, na dowód, że nie jest tak źle.

Jest to właściwie problem całego bloku wschodniego. Próby zbudowania wspólnego komputera RIAD spaliły na panewce. Produkcja twardych dysków pojemności 200 MB, którą miała się zająć Bułgaria, nigdy nie została nawet wdrożona. O rozmiarach tych dysków zamilczmy: zachodnie twarde dyski 200 MB — używane od lat — są nie większe od pudełka papierosów. Bułgarski prototyp był olbrzymem wielkości stolika nocnego. Centralne instytuty badawcze NRD dysponują często jednym mikrokomputerem na 10-ciu do 15-tu naukowców, i to jakości, którą trudno dziś znaleźć na zachodnim rynku (kto by kupił takiego przestarzałego grata?), muszą czekać tydzień albo i dłużej na dostęp do niego, i to najwyżej na kilka godzin. Starsi pracownicy naukowi otrzymują 1.000 kartek papieru do drukarki rocznie. Węgierskie mikro-komputery są praktycznie w całości złożone z części importowanych. Przeglądałem niedawno sprawozdanie z konferencji, wydrukowane z matryc, zrobionych bezpośrednio z tekstów referatów. Porównywałem jakość techniczną: teksty z ZSSR i Europy Wschodniej były sporządzone na materiale i techniką, ustępującymi znacznie tekstom z Azji i Afryki.

Zwiedziłem laboratorium komputerowe w jednej z prowincjonalnych szkół w Nowosybirsku. Nie ma w nim ani jednego mikro-komputera. Kilka terminali (końcówek) połączonych jest z syberyjskim oddziałem Akademii Nauk bezpośrednią linią telefoniczną. Używają one komputerów Hawlett-Packard 2006. Drukarka polskiej produkcji, o wyglądzie przedpotopowego monstrum, potrafi drukować (wyłącznie dużymi literami) alfabetem łacińskim i cyrylicą. Jest stale zepsuta.

— Nasze laboratorium służy 150-200 uczniom starszych klas i kilku tuzinom uczniów z tzw. kółka naukowego. Oznacza to 4 do 5 terminali na 300 osób. — Nauczyciel pokazuje mi kolekcję programów, opracowanych przez uczniów. Są ciekawe, dowodzą wiedzy i żywego zainteresowania. Ale dlaczego spisane są na kartkach wyrwanych z zeszytu i przechowywane w pudełku?

— Czy przechowywanie ich w pamięci komputera nie byłoby naturalniejsze? — pytam.

Nauczyciel nie podejmuje pytania. Z pomocą przychodzi mi mały chłopiec:

— Nie ma dość pojemnej pamięci.

Łamaną ruszczyzną dyskutujemy chwilę na ten temat. Okazuje się, że pamięć ich komputera ma pojemność jednego MB. Mam przy sobie podręczny komputer typu Toshiba 1100 Plus.

Jego pamięć jest dwukrotnie większa, jest też nieporównanie szybszy, aniżeli komputer, którym dysponuje 300 uczniów nowosybirskiej szkoły.

— A weź pod uwagę, że szkoła, którą widziałeś, należy do uprzywilejowanych. Nie znajdziesz w całym Związku Sowieckim szkoły lepiej wyposażonej pod względem technologii komputerowej — tłumaczył mi kilka godzin później przyjaciel, z którym podzieliłem się wrażeniami.

Dzieci uczą się programowania w językach BASIC, ALGOL, FORTRAN i trochę w PASCAL.

— Tego ostatniego uczymy tylko teoretycznie. Nie mamy ani jednego komputera, na którym moglibyśmy go zastosować — wyjaśnił nauczyciel.

Jest charakterystyczne dla sowieckiego zacofania, że używa się tylko zachodnich języków komputerowych. Programowanie odbywa się w alfabecie łacińskim, co naturalnie dodatkowo komplikuje produkcję terminali, drukarek i klawiatur. Sowieccy naukowcy najwidoczniej zrezygnowali z opracowania własnego języka programowego cyrylicą. Wydaje mi się, że zacofanie ZSSR jest nawet większe w dziedzinie *software* (oprogramowania) niż *hardware* (sprzętu), ale nie odczuwa się tego jeszcze tak bardzo. Nasi koledzy na Wschodzie zdadzą sobie z niego sprawę dopiero wtedy, kiedy dostaną do dyspozycji nowocześniejsze i szybsze komputery.

Nic dziwnego, że wszystkie instytuty naukowe w ZSSR usiłują nastawić się na komputery zachodnie. Mimo embargo, rok w rok importuje się albo szmugluje najrozmaitszymi drogami do krajów bloku wschodniego dziesiątki wielkich komputerów. Prowadzi to niekiedy do paradoksalnych sytuacji. Pewien mój zachodni kolega opowiadał mi, że jego instytut kupił bardzo tanio nowego VAX-a, a starego odsprzedał za bardzo przyzwoitą cenę. Przyczyna jest prosta: zniesiono embargo na stare VAX-y, dostawca nie miał ich już na składzie, a mógł je sprzedać za niebotyczne pieniądze na Wschód.

Mój mały Toshiba wszędzie wzbudzał sensację. W pracowni elektronicznej nowosybirskiego instytutu patrzono nań jak na ósmy cud świata, jak na przybysza z innej planety. Koledzy nie mogli wyjść z podziwu nad jego parametrami i możliwościami. Niestety połączenia telefoniczne z zagranicą są w Związku Sowieckim trudne, nie mogłem więc zademonstrować im połączenia z naszym instytutowym VAX-em w Sztokholmie.

Miałem ze sobą małe pudełko dyskietek wielkości 3-4 cali, na których mieściło się kilkaset stron archiwum, duży słownik angielskich synonimów (ponad 250.000 słów), lista adresów i wiele innych interesujących informacji. Toshibę wraz ze wspomnianym pudełkiem dyskietek (wagi ok. 100-200 g) wwiozłem i

wywiozłem ze Związku Sowieckiego bez najmniejszych problemów, bez żadnej kontroli celnej lub badania zawartości — celnicy i ich szefowie najwidoczniej zdawali sobie sprawę, że są wobec tego urządzenia najzupełniej bezradni. Władze sowieckie nie odważają się widać zabronić gościom i turystom przywożenia małych przenośnych komputerów, magnetofonów, kamer video i innych nowoczesnych urządzeń. Z wielu powodów. Restrykcje takie mogłyby zmniejszyć strumień turystów, wydać się anachronizmem i rzucić cień na nowoczesne oblicze, jakie ZSSR za wszelką cenę chce pokazać światu.

Opowiadałem sowieckim kolegom o szalenie szybkim rozwoju technologii komputerowej, o super-komputerach CRAY, o drukarkach laserowych, o światowych sieciach komputerowych, o poczcie elektronicznej, o tym, że mogę nie ruszając się z domu czy z mojej posiadłości na wsi pracować na dużym komputerze mojego instytutu za pomocą mojego małego komputera i modemów*, o tym, że komputer instytutu umożliwia mi dostęp do setek centralnych baz danych, o tym, że mogę w ciągu minuty wymieniać listy i artykuły z kolegami z całego świata. Kiwali z niedowierzaniem głowami. Nie tylko z technicznego, ale może jeszcze bardziej z administracyjnego, biurokratycznego czy ideologicznego punktu widzenia rzecz była dla nich nie do pojęcia.

Nauka sowiecka upośledzona jest bardziej przez biurokrację i sowiecki system ukazów i dyrektyw, aniżeli przez brak nowoczesnego sprzętu. Zasady i praktyka wyjazdów sowieckich naukowców za granicę, ich korespondencji z kolegami na Zachodzie, wymiany wyników badań i dyskusji nad wspólnymi projektami są tak absurdalne i sprzeczne z wymogami wydajności, że rzeczywista integracja sowieckich naukowców z międzynarodową wspólnotą naukową jest absolutnie niemożliwa. *Pieriestrojka* i *głasnost'* nie dosięgły jeszcze tej dziedziny. „Wydział zadań specjalnych" lub „departament pierwszy", jak zwie się w ZSSR przybudówki KGB, kontrolujące poszczególne instytuty, wciąż mają absolutną władzę i do nich należy ostatnie słowo w niebywale długim, trwającym miesiącami procesie podejmowania decyzji w takich kwestiach jak wyjazd za granicę lub innych ważnych dla naukowców sprawach.

Czytelnik gotów posądzić mnie o czarnowidztwo: czyż Związek Sowiecki nie buduje pojazdów międzyplanetarnych i rakiet balistycznych, które nie mogą przecież obejść się bez nowoczesnych komputerów i techniki pomiarowej? Jest to zarazem prawdą i nieprawdą. Wspomniane dziedziny należą na ogół do przemysłu wojskowego lub innych działów priorytetowych, o których nie-

*** Modem — przystawka telefoniczna, pozwalająca komunikować się z innym komputerem za pomocą linii telefonicznej.**

wiele wiem i do których dzięki Bogu nigdy nie miałem dostępu. Wiem natomiast, że instytuty, zajmujące się badaniami tej wagi wojskowej lub prestiżowej, mają niemal nieograniczony dostęp do zachodniej technologii. Ba, przemysł sporządza specjalnie dla nich pojedyncze egzemplarze skopiowanych i dostosowanych do ich potrzeb prototypów zachodnich urządzeń i komputerów.

Nawiasem mówiąc podobne praktyki są w Związku Sowieckim na porządku dziennym. Większość instrumentów opracowywana jest przez pracownie przy instytutach badawczych. Pracownia nowosybirskiego Instytutu Fizyki Nuklearnej zatrudnia prawie 1.000 osób (na ok. 3.000 pracowników całego instytutu).

Jasne, że procedura zdobywania większości najnowocześniejszego sprzętu jest żmudna i bardzo nieproduktywna. Nauka sowiecka nie może się mierzyć z zachodnimi instytutami, zaopatrywanymi w gotowe instrumenty i części składowe najwyższej jakości przez dziesiątki wysoko wyspecjalizowanych zakładów przemysłowych. Pozwala im to oszczędzić dużo czasu, energii i nawet pieniędzy.

Nowosybirski Instytut Fizyki Nuklearnej jest dobrym przykładem nieproduktywności sowieckiej metody. Jest to jeden z nielicznych sowieckich zakładów naukowych, które rzeczywiście prowadzą pionierskie badania w dziedzinie fizyki. Jednak fizycy i inżynierowie z tego instytutu wszystkie aparaty i akceleratory wyprodukowali sami. Nowosybirskie odkrycia wykorzystywane są na całym świecie, ale o ileż wydajniej! Nie dlatego, by naukowcy nowosybirscy byli mniej wydajni, a dlatego, że wszystko muszą robić sami. Przemysł sowiecki nie jest w stanie dostarczyć im produktów dostatecznie zróżnicowanych i dostatecznie wysokiej jakości, by zaspokoić wymogi eksperymentów fizycznych najwyższego stopnia.

Właściwie nie ma niczego nowego pod słońcem. Pamiętam moje lata studenckie na najnowocześniejszym i najlepiej wyposażonym sowieckim uniwersytecie im. Łomonosowa w Moskwie. Czechosłowaccy doktoranci, którzy przyjechali tam w 1955 roku studiować chemię nuklearną, uznali zestaw chemikaliów w laboratoriach za rozpaczliwie skromny i niewystarczający. Większość musieli przygotowywać i oczyszczać sami. Problem rozwiązali kompromisowo. Zaczęli nieoficjalnie, tzn. nielegalnie importować potrzebne im substancje chemiczne z Czechosłowacji. Kilka lat później jeden z najsłynniejszych i najbardziej wpływowych chemików sowieckich skrytykował w *Prawdzie* tę niedopuszczalną sytuację. Nazwał ją skandalicznym i niewiarygodnym marnowaniem potencjału naukowego.

Podejrzewam, że sytuacja się nie zmieniła. Chemicy i biolodzy sowieccy, którzy odwiedzają instytut naukowy w Sztokholmie skarżą się na te same problemy i są szczęśliwi, jeśli uda im się

wrócić do domu z paroma miligramami enzymów, niezbędnych do nowoczesnych eksperymentów genetycznych, albo z jakimiś innymi chemikaliami. Sowiecki akademik F., dyrektor jednego z największych laboratoriów nuklearnych w ZSSR, był w siódmym niebie, kiedy podarowano mu kilka tuzinów buteleczek z białym płynem korektorskim, tzw. „Tip-ex". Maszyny elektryczne z taśmą korektorską są w sowieckich instytutach naukowych nieznane, nie mówiąc już o drukarkach laserowych.

ANDRIEJ SACHAROW

Gdyby mi ktoś powiedział w grudniu 1986 roku, kiedy oglądałem w Bostonie nagrane przez KGB taśmy z Sacharowem, że sześć miesięcy później spotkam Andrieja Dimitriewicza w Moskwie, uważałbym go — ja, notoryczny optymista — za wariata, którego optymizm daleko przerasta mój.

Andriej Sacharow jest w Moskwie od ponad pół roku. Dla zagranicznych polityków i głów państwa jest większą atrakcją aniżeli mauzoleum Lenina. Dla polityków, którzy chcą lub muszą pokazać, że są całym sercem za prawami człowieka, jest obowiązkowym punktem programu.

Byłem w Moskwie już od czterech godzin, a telefon Sacharowa wciąż nie odpowiadał. Około 9-tej wieczór poprosiłem przyjaciela moskwiczanina, żeby mnie podwiózł pod jego dom. Spróbuję pod osłoną ciemności. Ulica Czkałowa 48 b, mieszkania 68. Znalazłem odpowiedni budynek, przylegający do szerokiej obwodnicy „Sadowoje kolco". Podniecony nacisnąłem na dzwonek. Drzwi otworzyła młoda dziewczyna.

„Pomylił się Pan, to następny budynek", powiedziała z miłym, porozumiewawczym uśmiechem. Nie byłem widać pierwszym ani ostatnim, który w chaotycznej numeracji ulicy Czkałowa pomylił budynek i nie trafił do właściwych drzwi. Wreszcie stoję przed właściwym domem i właściwą klatką schodową, ponownie naciskam na dzwonek przy starych, źle zreperowanych drzwiach. Słyszę kroki za drzwiami. Otwiera Jelena Gieorgiewna Bonner, żona Sacharowa, najwidoczniej przyzwyczajona do późnych wizyt nieznanych ludzi z całej Rosji i zza granicy, którzy przychodzą nieproszeni i bez zapowiedzi. Nie widzieliśmy się od 1977 roku, a i wtedy rozmawialiśmy tylko przez telefon.

— Zaraz, zaraz, ja wiem, kim Pan jest... František!

Jelena Gieorgiewna całuje mnie i wprowadza do pokoju.

— Andriej Dimitriewicz śpi, ale zaraz go obudzę.

Po paru minutach zjawia się Andriej Dimitriewicz w wytartych sztruksowych spodniach, białej koszuli i czerwonym swetrze.

Obejmuje mnie i rosyjskim zwyczajem całuje. Łzy napływają mi do oczu.

Sześć lat temu napisałem z okazji 60-tych urodzin Sacharowa krótki artykuł o moich z nim spotkaniach. Pisywaliśmy i telefonowaliśmy do siebie. Odczytałem jego przemówienie na konferencji Pugwashu w Kyoto. Opatrzyłem przedmową i opublikowałem w wielu krajach jego artykuł o energii nuklearnej. Miałem też zaszczyt być jednym z jego osobistych gości na ceremonii rozdania nagród Nobla w Oslo. Mimo to nigdy nie było nam dane usiąść razem i porozmawiać.

Drzwi domu Sacharowych zawsze stoją otworem. Po chwili nadeszły dwie kobiety z londyńskiego sekretariatu Amnesty International. Dyskusja skupiła się na więźniach politycznych i na świeżo ogłoszonej amnestii. Sacharowa nie zadowolają jej zasady. „Sformułowana jest bardzo nieprecyzyjnie. Każdy kierownik obozu może w gruncie rzeczy wykluczyć z amnestii wszystkich więźniów politycznych, bo zawsze mają oni jakieś konflikty z zarządem obozu. Więźniów politycznych trzeba zwolnić bez żadnych warunków. To władze są winne ich bezprawnego uwięzienia".

Panie z Amnesty International pytają o liczbę nie zwolnionych jeszcze więźniów politycznych. Według danych Amnesty, w lutym 1987 roku miało pozostawać w obozach 144 politycznych. Na liście Jeleny Gieorgiewny Bonner figuruje 169 nazwisk. Lista zawiera oczywiście tylko nazwiska ludzi znanych. Trudno wykluczyć, że więźniów jest o wiele więcej, tylko nikt w Moskwie o nich nie wie. Andriej Sacharow mówi, że pod koniec stycznia 1987 napisał list do Gorbaczowa, w którym prosił go o bezwarunkowe zwolnienie więźniów politycznych. Dotychczas nie dostał odpowiedzi. Członkinie Amnesty International (po raz pierwszy zresztą nie musiały ukrywać przynależności do tej organizacji prosząc o wizę) usiłowały ustalić, czy Sacharow dostawał listy od generalnego sekretarza Amnesty. Sacharow wydał się zażenowany.

— Dostaję tyle listów, że nie wszystkie zauważam. Pamiętam, że dostałem jeden. Ale nie jestem w stanie na wszystkie odpowiadać. Powinienem oczywiście. Lew Tołstoj siedział w Jasnej Polanie i odpowiadał na wszystkie listy, ale moje siły są ograniczone. Im człowiek starszy, tym mniej ma sił.

— Jak Pańskie zdrowie? — pyta któreś z nas.

— Dobrze, zupełnie dobrze. Znacznie gorzej czuje się Jelena Gieorgiewna. Miała trzy ataki serca i kilka małych zapaści.

Andriej Dimitriewicz powtórzył, jak wielką wagę przywiązuje do pracy Amnesty International i prosił, aby nie zaprzestali tej bardzo pożytecznej i konkretnej pracy. Kobiety z Amnesty wychodzą. Dobiega północ.

— Pora coś zjeść i napić się herbaty.

Przenosimy się do mikroskopijnej moskiewskiej kuchni. Jelena Gieorgiewna szykuje sałatkę z krabów i nakrywa do stołu. Kolacja jest typowo rosyjska: kiełbasa, ser i naturalnie herbata z konfiturami. Rozmowa skacze z tematu na temat. Andriej Dimitriewicz podgrzewa sałatkę z krabów na małej patelce. Patrzę na niego pytająco. Andriej Dimitriewicz uśmiecha się i tłumaczy, że podgrzewa wszystko, bo w przeciwnym razie boli go gardło. Matka Jeleny Gieorgiewny wybucha śmiechem i dodaje, że Andriej Dimitriewicz nawet śledzie podgrzewa herbatą. Sacharow protestuje: śledzie podgrzewał tylko po to, żeby rozbawić Tanię.

Tania Jankielewicz, synowa Sacharowa, mieszka już od kilku lat w Bostonie. Władze sowieckie pozwoliły jej teraz przyjechać z wizytą do rodziców do Moskwy, razem z dziećmi. Wszystko to wydaje mi się nierzeczywiste jak bajka, jak obrócony w swoje przeciwieństwo zły sen. Tania, która objechała cały świat w obronie Sacharowa, którą przyjmowali prezydenci, królowie i królowe, premierzy i ministrowie spraw zagranicznych, Tania, która udzieliła setek wywiadów, w których oskarżała Związek Sowiecki o niezliczone zbrodnie, Tania, z którą sam byłem w 1983 u Olofa Palme, prosząc go o pomoc dla Sacharowych — Tania już od trzech tygodni siedzi w Moskwie!

Pytam Andrieja Dimitriewicza, czy pozwolą mu podróżować po świecie.

— Mam setki rozmaitych zaproszeń, ale sam nie będę prosił o paszport. To musi iść w parze z moją pełną rehabilitacją.

— Co Pan rozumie przez „pełną rehabilitację"?

— Zwrot wszystkich odznaczeń i nagród i oficjalne uchylenie uchwały, którą mnie zesłano do Gorki.

Chociaż Sacharow posiada „materialnie" — jak powiada — wszystkie odznaczenia i nagrody, formalnie został ich pozbawiony. Sytuacja jest skomplikowana. Nikt nigdy nie widział uchwały Prezydium Rady Najwyższej z 8 stycznia 1980, która pozbawiała Sacharowa wszystkich odznaczeń i zsyłała go do Gorki. Nie wiadomo nawet, czy uchwała taka istnieje, w każdym razie czy istnieje na papierze. W ostatnich latach rządów Breżniewa rozkazy często przekazywano telefonicznie, co jest zaiste wygodną metodą, bo nie zostawia śladów w archiwach. Nikt się nie boi odpowiedzialności ani konsekwencji w przyszłości. Kiedy głównemu księgowemu instytutu, w którym pracował Sacharow, kazano przestać wypłacać mu pensję, księgowy poprosił o pisemne zlecenie dyrektora. Dyrektor nie chciał mu go dać i powołał się na uchwałę prezydium. Główny księgowy zażądał więc odpisu uchwały. Nie dostał go nigdy. Oświadczył więc, że bez pisemnego legalnego dokumentu nie skreśli Sacharowa z listy płac. W dżungli breżniewowskiej nieprawości na tym najniższym szcze-

blu prawo nagle dało o sobie znać. Księgowy uratował honor Akademii i Andriej Sacharow otrzymywał przez wszystkie sześć lat zesłania pełne uposażenie z Akademii!

Sacharow ma oczywiście stuprocentową rację, domagając się pełnej rehabilitacji, ale kwestia uchylenia nieistniejącej uchwały może być dla sowieckiego kierownictwa kłopotliwa. Także dla Akademii Nauk problem Sacharowa nie należy do przyjemnych. Podczas mojego pobytu w Moskwie wręczono Sacharowowi w ambasadzie francuskiej dyplom francuskiej Akademii Nauk. Sacharow podziękował naukowcom całego świata za solidarność, jaką mu okazali, po czym dorzucił: z wyjątkiem Akademii Nauk ZSSR, która nie zrobiła dla mnie niczego. Wręcz przeciwnie, 3 lipca 1983 czterech ważnych członków Akademii ogłosiło w *Izwiestiach* oszczerczy artykuł na temat Sacharowa. Sacharow spodziewa się, że zdystansują się teraz publicznie od tej diatryby. Wspomniana czwórka to: stały sekretarz naukowy Akademii Skriabin i akademicy Tichonow, Dorodnicyn i Prochorow (nagroda Nobla z fizyki). Skriabin najwyraźniej ma nieczyste sumienie i po powrocie Sacharowych do Moskwy zaproponował Jelenie Gieorgiewnie posadę w prezydium Akademii, w departamencie międzynarodowej wymiany naukowej. Podniosłoby to niewątpliwie bardzo prestiż Akademii. Właśnie dlatego Jelena Bonner odmówiła.

Spytałem Sacharowa, czy ukazał się już wywiad, jaki *Literaturnaja gazeta* z nim przeprowadziła. Nie. Sacharow postawił warunek, że musi autoryzować całość przed oddaniem do druku. Więcej dziennikarzy z *Literaturnoj gazety* nie widział. Kilka sowieckich środków informacji starało się zdobyć wywiad Sacharowa. Ubiegłego roku przyjechał do Gorki dziennikarz nazwiskiem Jakowlew, autor kilku oszczerczych artykułów o Sacharowie i nawet jednej książki w tym samym duchu. Ten też chciał wywiadu. Towarzyszyła mu milcząca dama, która nie wyjęła papierosa z ust i nie odezwała się słowem. „Dałem mu w pysk i wyrzuciłem z mieszkania". Patrzę na niedużego, szczupłego Sacharowa, z którego oczu bije dobroć i szlachetność, i trudno mi sobie tę scenę wyobrazić.

— Naprawdę, fizycznie uderzył go Pan w twarz?

— Tak i jestem z tego dumny. Był to najbardziej męski gest w moim życiu, odpowiada Sacharow z szerokim uśmiechem.

Byłem szczęśliwy, mogąc przez kilka godzin rozmawiać z Andriejem Dimitriewiczem i obserwować go. Wyglądał zdrowo, może trochę zmęczony, ale kto by się nie zmęczył, żyjąc tak jak on i Jelena Gieorgiewna.

Telefon dzwoni cały czas. Dzięki temu mogę zobaczyć Sacharowa w akcji. Słucha uważnie, zadaje pytania, po czym zwraca się do żony: Lusia, będziemy musieli pomóc X. pieniężnie. Przed kolacją dyktuje telegram do kierownika jednego z syberyjskich obozów koncentracyjnych, od którego żąda informacji na temat losów więźnia B.

Byłem pod wrażeniem lotnego umysłu Sacharowa i jego sposobu myślenia. Nie stara się oszołomić rozmówcy błyskotliwymi popisami. Od czasu do czasu z trudem nadążałem za jego logiką i sformułowaniami, tak były proste i potoczne.

Nie przesadzę, jeśli powiem, że byłem Sacharowem zafascynowany. Byłem zafascynowany jego szlachetnością, jego umiejętnością słuchania, zadawania pytań, skupiania się na zasadniczych elementach. Zdumiały mnie zasięg i głębia jego wiedzy, jego zadomowienie w różnych dziedzinach nauki, błyskawiczność jego reakcji i specyficzny sposób rozumowania. Przypomniałem sobie, że wiele lat temu mój promotor naukowy powiedział mi, że Sacharow ma bardzo wyjątkowy umysł (ku mojemu zdumieniu Sacharow powiedział mi, że był recenzentem pracy doktorskiej mojego profesora). Na nowojorskiej konferencji z okazji 60-tych urodzin Sacharowa jeden z jego zachodnich kolegów powiedział, że Sacharow rozwiązał już problemy, których istnienia większość jeszcze nie podejrzewa.

Rozmowa zeszła na kilku tzw. dysydentów wśród naukowców, którzy wyrządzili Sacharowowi i sprawie, której broni więcej szkody niż pożytku. Jednym z nich jest L., który mieni się przyjacielem Sacharowa i na tym zrobił karierę.

— To awanturnik, spryciarz bez żadnych zasad. Działalność publiczna wymaga ideowości i niezależności, a on ma bardzo wysoką pensję. Niestety udało mu się nabrać wielu uczciwych i porządnych naukowców. W 1982 roku *Nature* opublikowało mój list na jego temat, ale niestety nic to nie pomogło. Ludzie cały czas posyłają mu pieniądze na znak solidarności z Sacharowem, pies z kulawą nogą nie wie, na co on je zużywa...".

Mówiliśmy też o Stefanie Marinowie, bułgarskim fizyku i dysydencie, który już z emigracji przyjechał kiedyś do Sacharowa do Moskwy, a potem własnym kosztem wydał książkę obalającą teorię względności z przedmową Sacharowa własnego pióra. Opowiedziałem Sacharowowi moje własne doświadczenia z tymże Marinowem. Napisał mi np. w 1974 roku do Kopenhagi, że dokonał wielkiego odkrycia, nagrodę Nobla ma w kieszeni, potrzeba mu tylko trochę pomocy. Opowiedziałem mu też, jak Marinow zjawił się na sympozjum o nauce i naukowcach w Europie Wschodniej, które zorganizowałem w 1977 roku na Biennale weneckiej. Nie był zaproszony i komitet organizacyjny nie poparł jego podania o wizę. Na moje pytanie, jak się dostał do Włoch odpowiedział, że kupił paszport jakiegoś zmarłego Belga. Tym razem musiałem go uprzedzić, że jeśli w przeciągu pięciu godzin nie opuści Wenecji, będę musiał powiadomić o jego obecności władze włos-

kie. Sacharow słuchał z najwyższym zaciekawieniem, potem powtórzył całą tę historię Jelenie Gieorgiewnie, która zmywała naczynia.

— Wszystko słyszałam, nie musisz mi powtarzać, Andriej, powiedziała Jelena Gieorgiewna.

— Ale ja tak lubię powtarzać fantastyczne, barwne historie, żeby jeszcze raz je usłyszeć!

Dowiedziałem się, że tego popołudnia, kiedy byli w ambasadzie francuskiej, ktoś rozbił tylną szybę ich nowego samochodu, który właśnie kupili.

Kilka dni wcześniej jechaliśmy razem z Tanią starym wozem Sacharowych po Moskwie; Sacharow przezornie zabrał ze sobą koło zapasowe, neseser z pierwszą pomocą i gaśnicę. Tania była oburzona złym wyposażeniem i wykończeniem nowego samochodu, kupionego w końcu za dolary. Przez ostatnich dziesięć lat nawet Tania zaczęła patrzeć na świat oczyma Amerykanki.

Zdania co do tego, czy wyłamana tylna szyba jest sprawką KGB, czy zwykłych chuliganów, były podzielone. Jelena Gieorgiewna była przekonana, że to robota KGB, jej matka uważała, że nie, a Andriej Dimitriewicz uznał, że nie jest to zbyt prawdopodobne, ale wykluczyć też się nie da.

— Moje przemówienie w ambasadzie francuskiej podyktowałem Jelenie Gieorgiewnej poprzedniego dnia, więc na pewno już je znali.

Podsłuch KGB uważa Sacharow za nieuniknioną część rzeczywistości moskiewskiej. Dużo się zmieniło, ale przecież nie wszystko.

Rozmowa zeszła na sytuację w Czechosłowacji. Sacharow pyta o liczbę więźniów politycznych, o działalność Charty 77 i czy sytuacja zmieniła się w toku ostatnich miesięcy. Opowiedziałem mu dużo: o 10-tej rocznicy Charty 77, o Havlu i jego esejach politycznych, o dokumentach Charty, o czeskim i słowackim samizdacie, o procesie muzyków jazzowych. Sacharow nigdy nie miał w ręku żadnego z czeskich tekstów, mimo że przynajmniej trzy z nich zostały przetłumaczone na rosyjski. Sacharowa bardzo interesują Praska Wiosna i losy Czechosłowacji, ale jego wiedza o konkretnych sprawach jest po sześciu latach zesłania minimalna. Wspomniałem, że przed Bożym Narodzeniem 1980 posłałem w jego imieniu pieniądze dzieciom czechosłowackich więźniów politycznych. Dostał od nich w Moskwie kilka listów z podziękowaniami, które mu sprawiły wielką radość. Jak bardzo wielu obywateli Związku Sowieckiego, czuje się odpowiedzialny za rozwój wydarzeń w kraju, na który patrzyli z taką nadzieją i którego demokratyzacja została tak brutalnie zdławiona przez ich kraj.

— Myślę, że Pański przyjazd do Moskwy możemy uznać za symptom daleko idących zmian, powiedział Sacharow.

Kiedy po powrocie z Moskwy rozmawiałem telefonicznie z Vaclavem Havlem i opisywałem mu moje wrażenia, zauważył, iż jest warte uwagi, jak bardzo ruchy dysydenckie w poszczególnych krajach Europy Wschodniej są skoncentrowane na sobie. Miał rację. Ani Andriej Sacharow, ani żaden z sowieckich opozycjonistów nie uznali kwestii czeskiej w dziewiętnaście lat po inwazji za dość ważną, aby domagać się wyjścia wojsk sowieckich z Czechosłowacji, albo przynajmniej żądać w wywiadach czy przemówieniach politycznego rozwiązania konfliktu.

Stopniowo gromadzę informacje o słynnym telefonie Gorbaczowa do Sacharowa. Sacharow, jego żona i nawet Tania, do której Sacharow natychmiast zatelefonował do Bostonu, opowiadają mi wszystkie szczegóły. Było to akurat w dniu mojego wyjazdu od Jankielewiczów z Bostonu, 16 grudnia. O dziesiątej wieczór ktoś zadzwonił do drzwi mieszkania Sacharowych w Gorki. Było to dziwne: normalnie przez okrągłą dobę siedział przed drzwiami milicjant i nikogo nie wpuszczał. Do mieszkania weszło trzech mężczyzn i oświadczyło, że zainstalują telefon. Andriej Dimitriewicz odparł, że nie prosił o żaden telefon. Na próżno. Telefon zainstalowano (bardzo prowizorycznie), a wychodząc szef ekipy, najwyraźniej oficer KGB, zapowiedział Sacharowowi, że ma nie wychodzić z domu, bo około 10-tej ktoś ważny do niego zatelefonuje. O 10-tej zadzwoniła jakaś kobieta z centrali telefonicznej i zakomunikowała Sacharowym ich numer telefonu. Godzinę później zadzwoniła ponownie i podała im inny numer. O 3-ej Sacharowowie postanowili wyjść po chleb, ale w telewizji zaczął się jakiś ciekawy program, więc zostali jeszcze kilka chwil. Nagle zadzwonił telefon.

— Akademik Sacharow? Łączę z Michaiłem Siergiejewiczem Gorbaczowem!

Sacharow krzyknął do żony, która w podnieceniu złapała paczkę papierosów i zaczęła palić. Po operacji serca rzuciła palenie za radą lekarzy, ale teraz znowu kopci jak komin.

Gorbaczow powiedział, że otrzymał list Sacharowa i postanowił umożliwić mu powrót do Moskwy. Także sprawa Bonner zostanie załatwiona. Sacharow odpowiedział urażonym tonem, że Jelena Gieorgiewna Bonner jest jego żoną.

— Macie w Moskwie mieszkanie, więc z tym nie będzie problemu, możecie wrócić i zacząć wypełniać Wasza obywatelskie obowiązki. Posyłam do Was Marczuka (prezes Akademii Nauk), który omówi z Wami wszystkie szczegóły.

Sacharow podziękował i dodał, że decyzję tę uważa za oddanie mu historycznej sprawiedliwości. Dodał jednak, że w liście swym prosił Gorbaczowa także o powszechną amnestię dla więź-

niów politycznych, a tymczasem kilka dni temu został zbrodniczo zamordowany w czystopolskim więzieniu Anatolij Marczenko, pierwszy z listy osób, o których natychmiastowe zwolnienie prosił.

Gorbaczow odpowiedział, że te problemy są już rozwiązane, że zwolniono już wielu ludzi, ale na liście Sacharowa figurują inne nazwiska. Sacharow odparł, że wszystkie osoby z jego listy są więźniami sumienia, którzy muszą być natychmiast zwolnieni. Sacharow dodał, że jest to konieczne z uwagi na prestiż naszego kraju, na sukces polityki Gorbaczowa i także z punktu widzenia własnych interesów Gorbaczowa. Gorbaczow odpowiedział coś formalnego i Sacharow przestraszył się, że odrzuci jego prośbę, więc raz jeszcze powtórzył, że z największym naciskiem prosi go o ponowne rozpatrzenie kwestii więźniów politycznych. Po czym raz jeszcze podziękował za telefon i za zezwolenie na powrót do Moskwy, powiedział „do widzenia' i odłożył słuchawkę.

— Może nie było to zbyt grzeczne, komentował Sacharow z przepraszającym uśmiechem. — Wypadło jakoś nieuprzejmie.

Kilka dni później przyjechał do Gorki prezes Akademii Nauk Marczuk i poprosił Sacharowa o audiencję. Z długiej rozmowy dwóch akademików tylko część warta jest powtórzenia. Marczuk powiedział Sacharowowi, że ma on bardzo wysoką pozycję wśród naukowców, ale że istnieje obawa, iż znajdzie się w próżni, jeżeli będzie obstawał przy swoich ostrych deklaracjach. Sacharow odparł, że zawsze mówił to, co myśli i nie widzi powodu, dla którego teraz, w dobie *głasnosti,* miałby zmienić obyczaje.

O triumfalnym powrocie Sacharowych do Moskwy napisano już wiele. Wspomnę tylko, że pierwszego dnia po powrocie udał się do Instytutu Fizyki im. Lebiediewa na kolokwium. Kiedy wszedł na salę, wielu uczestników powitało go oklaskami. Kiedy pierwszy mówca rozpoczął swój referat słowami: „Jak zostało dowiedzione w 1967 roku przez Sacharowa..." — ponownie rozległy się oklaski.

František JANOUCH

Dziennik pisany nocą

Neapol, 3 stycznia 1988

Wątpię czy słowo „fanatyzm" (naturalnie z dodatkiem „ideologiczny") wystarcza dla określenia *Dziennika żony bolszewika* Julii Piatnickiej, odnalezionego ostatnio w ZSSR i wydanego po rosyjsku w Ameryce. Dla mnie jest to świadectwo obłędu z okresu Wielkiej Czystki, tym ciekawsze, że obłąkana autorka zdaje się chwilami, w bardzo krótkich interludiach przytomności umysłu, rozumieć, w jaką chorobę Stalin i jego oprycznicy wpędzili świadomie „kraj zwycięskiej Rewolucji".

Piatnicki był zasłużonym i oddanym partii bolszewikiem, w momencie aresztowania był kierownikiem administracyjnym Kominternu. Jego żona Julia, również zagorzała bolszewiczka, pokochała go i kochała jako bolszewika, urodziła mu dwóch synów i wychowywała ich na przykładnych bolszewików. Na szczęśliwą rodzinę bolszewicką spadł w roku 1937 grom z jasnego nieba: Piatnickiego aresztowano za krytyczny stosunek do wyposażenia Jeżowa w „pełnomocnictwa specjalne" i za niechęć do krwawej rozprawy z oskarżaną o „zdradę Rewolucji" starą gwardią leninowską. Wkrótce potem aresztowano jego starszego syna, szesnastoletniego Igora. Julia staje się z dnia na dzień trędowatą: traci posadę, przyjaciół, znajomych, grozi jej wyrzucenie z mieszkania. Żyje w biedzie z trzynastoletnim Wową, za dnia szukając pracy i biegając po urzędach prokuratorskich i więzieniach, nocą pisząc dziennik i czekając na łomot do drzwi. Piatnicki, jak wynika z przypisów do dziennika Julii, stawiał opór na śledztwie okrągły rok, mimo że go nieludzko katowano i torturowano. W roku 1938 został skazany na śmierć i natychmiast rozstrzelany po dwudziestominutowej „rozprawie sądowej". Z przypisów też dowiadujemy się o dalszych losach Julii. Umarła wczesną zimą 1940

roku w jednym z obozów Karagandy, izolowana w baraku przeznaczonym dla owiec. Izolowano ją wśród zwierząt jako osobę, która „postradawszy zmysły" nie może przebywać wśród ludzi. Jej „obłęd certyfikowany" polegał na tym, że bezustannie złorzeczyła Stalinowi. A przecież naprawdę obłąkana była nie wtedy, wprost przeciwnie!, lecz pisząc po nocach swój dziennik od lipca 1937 do maja 1938. Prawdziwy bowiem obłęd, rozmyślnie i na zimno zaszczepiony w partii przez Stalina, jest nicią przewodnią gorączkowych, w szamotaninie na papier rzucanych zapisów zaszczutej „żony bolszewika".

Zaszczutej i równocześnie rozdartej. „Wierzę Piatnickiemu, ale jeszcze bardziej wierzę w świetlaną działalność Jeżowa. Bywają zaćmienia słońca, nic jednak nie może zastąpić słońca. Partia to słońce naszego życia". „Jak bardzo chciałabym opowiedzieć Jeżowowi o moich dobrych myślach!". „Dobre myśli" dotyczą skazania na śmierć Bucharina i towarzyszy. „Śmierć to za mało, chciałabym straszniejszej dla nich kaźni: niech by siedzieli w klatkach w muzeum kontrrewolucji, niech by obywatele sowieccy patrzyli na nich codziennie jak na dzikie zwierzęta, aby nigdy nie wygasła nienawiść do nich". Zdarzają jej się także „złe myśli", gdy górę bierze troska o męża i syna; pędzi wówczas do prokuratora, domaga się, by ją „izolowano od społeczeństwa" jako potencjalnego rozsadnika zarazy kontrrewolucyjnej. „Męczy mnie to, że nie mogę znienawidzieć Piatnickiego, z początku myślałam, że będę go nienawidzieć, że inaczej nie można, a oto wątpię, choć nie mam prawa wątpić". Pociechą jest trzynastoletni Wowa. „Swołocz ojciec — wykrzykuje — należy go rozstrzelać!". Co dla matki jest dowodem, że chłopiec wierzy w „słuszność postanowień i działań NKWD, czyli że i teraz, nie zważając na uczucie ciężkiej goryczy, nastrojony jest prawidłowo".

Starszy syn Piatnickiej, kurator dziennika matki, informuje w komentarzu, że za młodu cierpiała jakiś czas na schizofrenię, co może tłumaczyć jej ówczesne *pomieszatielstwo rassudka.* Ale choroba była powszechna, była znamieniem epoki i bolszewickim sposobem sprawowania władzy. Postalinowska kuracja nie sięgnęła nigdy do jej źródeł, lepiej więc powstrzymać się chwilowo z uznaniem *pieriestrojki* za wstępne stadium pełnej rekonwalescencji, wolnej już od wszelkich gróźb recydywy.

5 stycznia

W noblowskiej prelekcji Brodskiego sympatyczna jest jego wiara, że tylko poezja (czy szerzej literatura) może „zbawić świat". Brodski wyznaje żartem, że niejednokrotnie marzył o zastąpieniu

państwa biblioteką. Mniej żartobliwie brzmi jego zapewnienie, że gdybyśmy mogli wybierać naszych władców na podstawie ich doświadczeń czytelniczych, a nie na podstawie ich programów politycznych, żylibyśmy na szczęśliwszej ziemi. „Wydaje mi się — powiada Brodski, — że potencjalnego władcę naszych losów należałoby wypytywać przede wszystkim nie o to, jak wyobraża sobie kierunek polityki zagranicznej, lecz o to jaki ma stosunek do Stendhala, Dickensa, Dostojewskiego". Wysunięty przez tegorocznego noblistę projekt ulepszenia naszego nie najlepszego ze światów przyprawił mnie o gęsią skórkę. Podobnie zareagowałem niegdyś na twierdzenie wielkiego noblisty Tomasza Manna, że ustroje polityczne należy mierzyć metrem ich stosunku do „klasyków literatury". Silone nazwał to głupstwo „mandarynatem".

Oczytanie jest zawodnym kryterium mądrości, szlachetności i uczciwości człowieka. Przypuszczam, że wymienionych przez Brodskiego pisarzy czytali zarówno Lenin jak Stalin, którzy w ogóle lubili w młodości czytać tzw. „literaturę piękną". Z pewnością czytał ich Trocki i potrafiłby o nich sporo ciekawego powiedzieć, gdyż był czytelnikiem jednostronnym co prawda, lecz bystrym i wnikliwym. Co do Stalina, to miał wręcz słabość do poezji, być może jako autor młodzieńczych próbek poetyckich (słabość do literatury miał również Mussolini jako autor młodzieńczej powieści *Kochanka kardynała).* Ostatecznie o czymś świadczy fakt, że Stalin w słynnym telefonie do Pasternaka zapytał dość skromnie, czy za „mistrza" trzeba uważać Mandelsztama. Albo żeby z prawdziwej ojczyzny Brodskiego przenieść się do jego ojczyzny przybranej. Zamiłowanym czytelnikiem był (wraz z nader oczytaną żoną, która urządziła nawet w Białym Domu coś w rodzaju salonu literackiego) prezydent Kennedy. Abstrahując od uroku osobistego i tragicznej śmierci, nie sądzę, by zasługiwał na miano wybitnego prezydenta; w każdym razie był mniej wybitny od (powiedzmy) Trumana, który prawdopodobnie przeczytał w życiu jedną tylko książkę, Biblię.

Pozostawmy zatem literatom tęsknoty do oczytanych „władców naszych losów". Tak świetny poeta i mądry eseista jak Brodski musi w ślad za swoimi poprzednikami „zbawiać świat", zwracając się do innych czytelników i to najczęściej wbrew czytelnikom „koronowanym".

6 stycznia

Dość zabawna (i pouczająca w swej śmieszności) historyjka, o której dowiedziałem się z wydawanego w Gliwicach pisma „Solidarności" *Wokół nas.* Nie wymieniony z nazwiska mieszka-

niec Gliwic otrzymał z Paryża paczkę książek polskich. Główny Urząd Ceł w Warszawie wyjął z niej i obłożył sekwestrem mój *Dziennik pisany nocą,* ponieważ „zawiera treści szkodliwe dla dobra i interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej". Adresat przesyłki nie pogodził się z „orzeczeniem przepadku zatrzymanej książki" i złożył odwołanie, w którym „podważa zasadność decyzji Urzędu Celnego w Warszawie". Zdaniem skarżącego książka nie zawiera owych szkodliwych treści, w związku z czym „wnosi on o uchylenie decyzji i zwrot zatrzymanej publikacji". Jego odwołanie załatwiono odmownie, ale naczelnik wydziału w Urzędzie Celnym potrudził się i wysmażył coś w rodzaju recenzji negatywnej z mojego dziennika. Nie mogę narzekać na nadmiar recenzji w Polsce, dobre więc i to, jakkolwiek konkluzja oceny naczelnika wydziału (magistra) pozbawiła mojego czytelnika gliwickiego prawa do posiadania inkryminowanego tomu: „Zatrzymana publikacja godzi w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej naszego państwa i w jego sojusze, a zatem zakazana jest do przywozu i ulega przepadkowi; decyzja niniejsza jest ostateczna w postępowaniu administracyjnym, służy na nią skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego".

Z wyliczonych skrupulatnie przez recenzenta-magistra grzechów trzeciego tomu mojego dziennika jeden zasługuje na uwagę: „W rozdziale *Ostatnie opowiadanie kołymskie* opisane jest powolne konanie pisarza rosyjskiego, który po dwudziestoletnim zesłaniu na Kołymie umiera w szpitalu w Moskwie". Trudno z tego surowego w tonie zarzutu wywnioskować, co oburzyło celnego (od cła) krytyka. Że pisarz rosyjski konał powoli? Że był zesłany na Kołymę? Że umarł w szpitalu w Moskwie? Że w ogóle umarł? Najprawdopodobniejsze wydaje mi się to ostatnie. W czarnej księdze cenzury istnieje widocznie stary zapis, wzbraniający kwestionowania nieśmiertelności pisarzy rosyjskich.

Cenzura w PRL wydłuża co prawda krok w pogoni za zmianami w Moskwie, ale o niektórych zmianach dowiaduje się z opóźnieniem i po prostu nie nadąża. Toczą się w Moskwie starania admiratorów Szałamowa o wydanie jego *Opowiadań kołymskich,* jeżeli nie w całości, to przynajmniej w wyborze. Urządzono tam niedawno (bez prób interwencji ze strony policji) wieczór publiczny ku czci Szałamowa, z udziałem lekarki, która zrelacjonowała okoliczności śmierci pisarza rosyjskiego (w sposób podobny do mojego „ostatniego opowiadania kołymskiego" *Piętno,* drukowanego także po rosyjsku w *Russkoj Mysli* w przekładzie Natalii Gorbaniewskiej). Jak będzie wyglądał recenzent-magister z Urzędu Celnego w Warszawie, gdy mój dawny znajomy Andrzej Wasilewski, dyrektor PIW, zamówi u herolda *głasnosti* Andrzeja Drawicza tłumaczenie *Opowiadań kołymskich* z moim *Piętnem* w roli polskiego posłowia?

9 stycznia

Kłopoty, ciągłe kłopoty, albo też „wewnętrzne sprzeczności", spowodowane przez burzliwy proces *głasnosti.* Niełatwe będą mieli życie celni krytycy z tytułami naukowymi magistrów, namęczą się i nadenerwują w wysiłkach pokonania dezorientacji, a kto wie czy nie wręcz zamętu. Myślałem o tym nie bez domieszki współczucia, czytając otrzymane dziś wycinki prasowe z Warszawy.

Tygodnik pronowski *Odrodzenie* ogłosił panoramę *Twórcy kultury emigracyjnej,* trzynaście sylwetek, wśród których nie brak i mojej. Potraktowany zostałem życzliwie, ze zrozumieniem i chwilami uznaniem, nawet z pewnym niepokojem o moją pisarską przyszłość: „Miłosz — wiadomo. Gombrowicz — wiadomo. A Herling? Na co stać człowieka o takiej erudycji i takich walorach pióra? Czy tylko na błyskotliwy ton sentencjonalnego dziennika, z którego przebija morze wiedzy wynikłej z czujnej obserwacji świata? Czy Herling napisze dzieło życia?". Sporą satysfakcję dało mi krótkie lecz treściwe uwzględnienie *Innego Świata,* określonego jako „arcydzieło w swoim gatunku", jako „dokument będący książką wybitną w sensie artystycznym, pisarskim". I pomyśleć, że miesiąc wcześniej cenzura wykreśliła tytuł *Inny Świat* (jak również tytuł *Na nieludzkiej ziemi)* w mojej rozmowie z Beatą Chmiel na łamach *Przeglądu Powszechnego.* Wolno mi tam było mówić o mojej książce i o książce Czapskiego, ale nie wymieniając ich tytułów...

Autor mojej sylwetki zaokrągla ją tak: „Nie jest entuzjastą socjalizmu i marksizmu, ale jest przeciwnikiem izolowania literatury emigracyjnej od krajowej. Spośród wszystkich pisarzy emigracyjnych on chyba najtrafniej uchwycił tzw. morale Zachodu. Można go więc nie lubić za jego poglądy, ale to nie jest na pewno pisarz naiwny".

Tego było trochę za dużo dla *Trybuny Ludu,* która nazajutrz przywołała autora sylwetki do porządku: „Nie zamazujmy prawdy eufemizmami, które nie zadowolą ani twórcy, ani polskiego czytelnika. Pisać o Herlingu-Grudzińskim, że nie jest entuzjastą socjalizmu i marksizmu, to brzmi doprawdy groteskowo wobec pisarza, który z antykomunizmu uczynił jedną z głównych osi swojej twórczości. Po co to ukrywać, jeśli jest to nastawienie wręcz obsesyjnie obecne w jego licznych szkicach i esejach, integralnie związane z jego pisarstwem, prawda że — niezależnie od tego — pisarstwem wysokiej próby intelektualnej".

Jak z tego wszystkiego widać, mój gliwicki czytelnik mógłby jednak za jakiś czas spróbować szczęścia w Naczelnym Sądzie Administracyjnym.

13 stycznia

Wielkie poruszenie wywołała długa rozmowa z Dubczekiem w organie włoskiej partii komunistycznej *Unità*, pierwsza jego wypowiedź publiczna po dwudziestu blisko latach przymusowego milczenia i półaresztu domowego.

W dwudziestą rocznicę narodzin „nowego kursu" i Wiosny Praskiej rozległ się głos głównego protagonisty dramatu. Czytałem rozmowę z nim w *Unità* dwie bite godziny, z ołówkiem wciąż gotowym do podkreśleń. Okazało się niestety, że bardzo mało jest w niej do podkreślania. W ciągu dwudziestu lat Dubczek nie poruszył się prawie z miejsca. Odgrzebuje stylem buchalteryjnym zasady „nowego kursu" — śmiałe w roku 1968, przywiędłe i pokryte kurzem dzisiaj — jakby na zesłaniu pod Bratysławą wydarzenia pamiętnego sierpnia i późniejsze nie nasunęły mu żadnych głębszych refleksji, nie skłoniły go do istotnych zmian w myśleniu i korektur w poglądach. Wykłada na stół pedantycznie dowody swojej „prawomyślności". Odpiera punkt po punkcie oskarżenia o tendencje „likwidatorskie", czy „obiektywnie antysocjalistyczne". Domaga się przywrócenia mu „honoru politycznego". Zapewnia, że gdyby w roku 1968 na tronie moskiewskim siedział Gorbaczow zamiast Breżniewa, nie doszłoby do zbrojnej interwencji w Czechosłowacji. Szczyci się podobieństwami *pieriestrojki* do „nowego kursu". Można ręczyć, że nie zostanie mu przywrócony „honor polityczny". Można za to, tytułem wątpliwego pocieszenia, przyznać mu prekursorstwo *pieriestrojki*, ze wszystkimi jej obciążeniami i hamulcami „ideologicznymi".

Wysłannik *Unità* pyta o „najbardziej dramatyczny moment w tym dramatycznym okresie 1968 roku". Dubczek: „Proszę o nie naleganie na odpowiedź". Co mu nie przeszkadza wzywać do zajęcia się „białymi plamami" w stosunkach Pragi z Moskwą, na wzór obietnicy danej Jaruzelskiemu przez Gorbaczowa odnośnie „białych plam" w stosunkach polsko-sowieckich. Nie przychodzi mu do głowy, że mógłby przecież sam i już teraz zapoczątkować operację wypełniania owych „białych plam". Wspomina, że podczas Praskiej Wiosny przedłożono partii komunistycznej postulat odbudowy partii socjaldemokratycznej. I dodaje: „Sprzeciwiliśmy się temu, skoro sprawę załatwiło zjednoczenie obu partii w roku 1948; ja sam przemawiałem na wielkim zebraniu, zwołanym dla upamiętnienia tej rocznicy". Jeszcze dziś, w roli politycznego odszczepieńca i symbolicznego syndyka masy upadłości „nowego kursu", nie rozumie że „upamiętniał" w swoim przemówieniu rocznicę zamordowania i pogrzebu partii socjaldemokratycznej.

Problem systemu monopartyjnego, nieśmiertelny problem,

którego nie są w stanie przeskoczyć i nigdy nie przeskoczą wszelkie *pieriestrojki*, „nowe kursy" czechosłowackie, „dialogi Polaków z Polakami" i nadwiślańskie podpórki „konsultacyjne". Rozmowa dziennikarki włoskiej Barbary Spinelli z Dżilasem ma w podtytule krótką i dobitną diagnozę eks-komunisty jugosłowiańskiego: *„Pieriestrojka* nie przynosi demokracji, problemem jest jedyna partia".

W roku 1936, w Paryżu, Bucharin z płaczem niemal zwierzał się Nikołajewskiemu: „Jakże, bez drugiej partii, reżym sowiecki zdoła się odciąć od hitleryzmu? Nie musi to być koniecznie partia z zasady przeciwna nowemu porządkowi, wystarczy że będzie rzecznikiem przemian i reform. Mogłaby się składać z inteligencji, aby nic nie naruszało jedności klasy robotniczej". Dziesięć lat wcześniej (jak przypomina Michał Heller w zwięzłym i doskonałym *Zarysie sowieckiej historii politycznej*)* podobne lamenty wydobywały się w Moskwie z ust Jakowa Ossowskiego, robotnika i członka partii od roku 1918. Wyrzucono go natychmiast z partii, piętnowali go nawet przedstawiciele opozycji. Obowiązuje i nie przestanie obowiązywać uchwała zjazdu partii z roku 1937, w której występuje (już wtedy!) *„pieriestrojka* pracy partyjnej na podstawie bezwarunkowego i pełnego wprowadzenia w życie elementów wewnątrzpartyjnego demokratyzmu". Heller kończy swoją książeczkę cytatem z książki Wasyla Kliuczewskiego o reformie Piotra Wielkiego: „Piotr chciał żeby niewolnik, pozostając niewolnikiem, działał świadomie i swobodnie". Mądry Czechow pisał o „wyciskaniu z siebie niewolnika kropla po kropli". Kropla po kropli; z bajki rodem są rojenia o siedmiomilowych krokach współczesnego, zesłanego przez dobre nieba, cara-reformatora.

15 stycznia

Inteligentny włoski krytyk literacki zastanawia się w swoim felietonie nad powinowactwami między rysunkiem i opowiadaniem z okazji wydania albumu rysunkowego Gustawa Doré, którego tematem jest dickensowski Londyn. Miesiąc temu na identyczny trop pchnął mnie William Hogarth w londyńskiej *Tate Gallery*. Zachwycił mnie szczególnie słynny cykl ośmiu obrazów *A Rake's Progress*, oglądany po raz pierwszy w oryginale. Znajduję takie wyznanie malarskie Hogartha: „Tematy wymyślałem jak pisarze. Obraz był moją sceną, a mężczyźni i kobiety moimi aktorami, którzy za pomocą pewnych działań i ekspresji

* Patrz: *Zeszyty Historyczne* nr 83, „Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego".

prezentowali pantomimę, *a dumb show*". W ośmiu rozdziałach z życia „rozpustnika" uderzające są dwie cechy: „niemota" wzmaga siłę ekspresji „widowiska" (co oczywiste), każdy epizod jest otwarty (co mniej oczywiste), to znaczy otwiera perspektywy, które częściowo tylko służą kolejnym „działaniom aktorów", pozostawiając akcji i odmalowanym, czy raczej pędzlem opowiedzianym, zdarzeniom duży margines niedopowiedzenia i niedomalowania. Cały cykl malarski, cała opowiedziana historia, jest całością i zarazem nią nie jest, Hogarth pokazuje i równocześnie zasłania, niemą i żywą ekspresję przeplata bezruchem martwego i zagadkowego milczenia. Znakomity malarz, nie obawiał się zarażenia literaturą, od niego więc mogą się także tytułem wzajemności uczyć pisarze.

16 stycznia

Zauważył ktoś, że dobry tytuł jest warunkiem dobrego opowiadania, *zanim zaczyna się je pisać*. Jestem tego samego zdania. Ale prócz dobrego tytułu ogromne znaczenie ma dobry „klucz" narracyjny, „ustawiony" od razu na wstępie opowiadania. Przykładem *The Pit and the Pendulum* Edgara Poe, połączenie jednego i drugiego. „Budząc się z najgłębszego snu, rozrywamy pajęczą sieć jakiegoś widzenia sennego; a przecież w sekundę potem (tak krucha mogła być ta pajęczyna) nie pamiętamy już, żeśmy śnili". Opowiada więzień Inkwizycji w Toledo, zawieszony w jej lochach między czarną Jamą w dole i gilotyną Wahadła w górze. Od pierwszych stronic opowiadania realna tortura ociera się o koszmar snu-nie snu, który towarzyszy jej aż do końca jak subtelny i nieodzowny absolutnie akompaniament.

17 stycznia

Przed laty podarowano mi w luksusowym wydaniu *Zapisnyje kniżki* Czechowa, zeszyty w których notował dla pamięci drobne sprawy codziennego życia, lakoniczne zalążki pomysłów literackich, podpatrzone rysy charakterystyczne spotkanych osób do ewentualnego wykorzystania w postaciach scenicznych bądź nowelistycznych, luźne refleksje i sentencje. Tom wydany był z takim pietyzmem, że każda jego stronica odpowiadała wiernie stronicy zeszytów: „Gdzie jest Masza?" i nic więcej, reszta stronicy biała. Czasem, bardzo rzadko, trafiały się uwagi ciekawe: „Pomiędzy Bogiem który jest i Bogiem którego nie ma rozpościera się szerokie pole, przemierzane w męce przez człowieka mądrego; Rosjanin natomiast zna tylko jedną z tych dwóch skrajności, nie

interesuje go przestrzeń między nimi". W sumie jednak Czechow, gdyby mu za życia zaproponowano wydanie jego zeszytów, kazałby wydawcy stuknąć się w głowę. Traktował je jak wióry z warsztatu i zdawkowe okruchy życia, czytelne i ważne wyłącznie dla właściciela, a po jakimś czasie przeznaczone do spalenia. W najlepszym razie zgodziłby się (z ociąganiem) oddać zeszyty do archiwum, dostępnego kiedyś (po śmierci) dla badaczy jego twórczości. Był przeciwieństwem pychy pisarskiej. Był uosobieniem skromności, powściągliwości, i co tutaj najistotniejsze — kwitował zazwyczaj smutnym, zakłopotanym uśmiechem wszelkie ekscesy egzaltacji na temat roli pisarza i wagi literatury.

Żyje jeszcze Bogu dzięki noblista z roku 1981, Elias Canetti. Żyje i wydał właśnie swoje zeszyty z lat 1973-1985. Tom nazywa się *Tajemne serce zegara,* obiecuje zatem eksplorację delikatnego mechanizmu. Poza kilkoma dłuższymi notatkami, od biedy skłaniającymi do chwili namysłu, zawiera masę wyrwanych z nieznanego kontekstu zdań, które na pewno mówią coś autorowi, nic lub prawie nic nie mówiąc czytelnikowi. Nie wiadomo dlaczego Canetti sądzi, że powinny coś mówić również i nam takie, wybrane na chybił trafił, zdania: „Gdy inni głodują, on pisze; pisze, gdy inni umierają". „Nie jestem próżny, powiedział najpróżniejszy ze wszystkich, jestem wrażliwy". Wybitny pisarz, nie mam co do tego wątpliwości, zasłużył na noblowski laur, jego postne zeszyty są dla mnie jedynie potwierdzeniem szerszego zjawiska. Podejrzewam mianowicie od dość dawna, że w miarę słabnięcia wpływu i znaczenia literatury, poprawia się stale i nieoczekiwanie dobre mniemanie sławnych pisarzy o sobie. Są, zdaje się, przekonani że cokolwiek powiedzą będzie powitane okrzykami podziwu, że w każdym ich najbardziej banalnym zdaniu usłyszymy bicie „tajemnego serca zegara".

20 stycznia

Dopiero dziś przeczytałem pełny tekst relacji lekarki Eleny Zacharowej, na wieczorze poświęconym pamięci Szałamowa w Moskwie 1 lipca 1987, o okolicznościach jego śmierci w styczniu 1982. Znałem dotychczas tę relację w telegraficznym skrócie, który pozwolił mi przypuszczać, że jest podobna do mojego „ostatniego opowiadania kołymskiego" *Piętno*. Napisane w kwietniu 1982, było naturalnie tworem wyobraźni. Istnieją pewne podobieństwa z ducha między relacją Zacharowej i *Piętnem,* ale tzw. „naga rzeczywistość" bywa zwykle pomysłowsza, wymowniejsza i często bardziej brutalna i trywialna od wyobraźni.

Zacharowa odnalazła Szałamowa w agonii w zamkniętym „internacie dla psychochroników", dokąd został siłą i bezprawnie

przeniesiony („związali go i wywieźli, a on biedny tak krzyczał") z domu starców-inwalidów na podstawie błyskawicznego orzeczenia komisyjnego o rzekomej „starczej demencji". Podczas transportu nabawił się śmiertelnego w jego wieku zapalenia płuc. Umarł w sześcioosobowym pokoju „internatu". Obok niego leżał były dygnitarz z urzędu prokuratorskiego, w stanie prawdziwej starczej demencji. W momencie śmierci Szałamowa jadł własne ekskrementy.

Do szyby karetki pogrzebowej, która wiozła zwłoki Szałamowa na cmentarz, przylepiona była przez szofera podobizna Stalina.

Oto najkrótsze „ostatnie opowiadanie kołymskie" autorstwa „nagiej rzeczywistości".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 420 — IGOR NEWERLY

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Igor Newerly — autor wielu książek w tym 2-ch o Januszu Korczaku w latach 60-tych napisał swoje wspomnienia z okresu 1914-1923 w Rosji i na Ukrainie. Wspomnienia te są autentycznym tłem okresu burzy i naporu w Rosji obejmując okres pierwszej wojny światowej, rewolucji i lat porewolucyjnych.

Str. 322. **Cena F. 120,00.**

◆

TOM 427 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

ŻMUT

„... Co to jest żmut? Żmut to bezładnie poplątane włosy, sznurki, tasiemki. Historycy literatury napisali na temat miłości Adama Mickiewicza i Marii z Wereszczaków Puttkamerowej... niezliczoną ilość głupstw. Sam nie wiem jak to było naprawdę, co naprawdę wydarzyło się w Wilnie, Kownie, Bolcienikach. Ale postaram się niczego nie zmyślać, a jeśli coś zmyślę, to zaraz powiem że to jest zmyślone...".

Str. 288. **Cena F. 110,00.**

Pomarańczowa Alternatywa

W 1987 roku cały świat czcił z należytym szacunkiem siedemdziesiątą rocznicę Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. To — bodaj najważniejsze — święto obchodzono na wszystkich kontynentach. Nic więc dziwnego, że uroczystości „ku czci" postanowiono zorganizować również we Wrocławiu. A ponieważ lokalne władze partyjne i miejskie nie potrafiły sobie poradzić z przygotowaniem tak wielkiej imprezy, cały trud spadł na barki rewolucyjnie nastawionej wrocławskiej młodzieży. Na kilka dni przed świętem rozklejono na murach ulotki zatytułowane: „Prawda (pisana cyrylicą) nas wyzwoli". Powagę i rewolucyjną moc druku uwiarygodniał stempel z nazwiskiem towarzysza Lenina i nazwą — zapisaną również cyrylicą — napoju wszystkich szczerych rewolucjonistów, Pepsi Coli.

W ulotce czytamy:

„Towarzysze!!! Dzień wybuchu Wielkiej Proletariackiej Rewolucji Październikowej jest dniem Wielkiego Wydarzenia. Obecnie Święto Rewolucji nie ma swojej wigilii.

Towarzysze, czas przełamać bierność mas ludowych! Zacznijmy obchodzić Wigilię Rewolucji Październikowej. Zbierzmy się już 6 listopada, w piątek, o godzinie 16, na ulicy Świdnickiej pod 'zegarem historii'.

Towarzyszu, ubierz się odświętnie, na czerwono. Załóż czerwone buty, czerwoną czapkę, szalik. Jeżeli nie dysponujesz nawet czerwoną opaską lub innymi elementami garderoby, pożycz od sąsiadki czerwoną torebkę. W ostateczności, z braku czerwonej flagi, pomaluj na czerwono końce palców. Jeżeli nie masz nic czerwonego, możesz kupić czerwoną bagietkę z keczupem. My, czerwoni (czerwone twarze, włosy, spodnie, usta) zgrupujemy się tego dnia pod zegarem około godziny 16-tej.

Spotkajmy się, towarzysze, na wiecu ku czci Rewolucji!!!
Idea i praktyka Lenina i Trockiego wiecznie żywa!!!

Rada Komisarzy Ludowych

Przyprowadź swojego psa — o godzinie 16.15 pod zegarem odbędzie się wystawa psów rasowych i nierasowych pod hasłem: 'Psy na rzecz rewolucji'. Czerwone kokardy przy smyczy mile widziane.

Hau! Hau!

Zakończenie święta odbędzie się w barze Barbara, gdzie uczestnicy wiecu spożyją z jednej miski wigilijny barszcz czerwony oraz inne stosowne potrawy".

Podobne prześmiewcze ulotki i zapowiadane w nich wydarzenia uliczne nie są we Wrocławiu niczym szczególnym. Wrocławianie zdążyli zaprzyjaźnić się z *happening*'ową aktywnością grupy młodych ludzi, nazywających siebie Pomarańczową Alternatywą. Przełom nastąpił 1 czerwca 1987 roku, w Dzień Dziecka, gdy na Świdnickiej, pod zegarem, w okolicach godziny 16-tej pojawiło się kilkadziesiąt osób ubranych w czerwone czapeczki — po raz pierwszy w historii PRL z podziemia wyszły opozycyjne krasnoludki.

Skrzaty reprezentowały różne formacje polityczne, niemal wszystkie działające we Wrocławiu organizacje. Były więc krasnale z Solidarności Walczącej, z ruchu Wolność i Pokój, z Międzyszkolnego Komitetu Oporu i oczywiście z Pomarańczowej Alternatywy. Spotkali się na ulicy, żeby się pobawić, pośpiewać „my jesteśmy krasnoludki", pokrzyczeć „nie ma wolności bez krasnoludków" na intonację sylabową „Solidarności".

Przybyła na Świdnicką milicja osłupiała. Łatwiej rozbijać demonstracje, niż zamykać ludzi w czerwonych czapeczkach tylko za to, że śpiewają dziecięce piosenki. A może zaskoczyła ich reakcja kilkutysięcznego tłumu obserwatorów, ale po części również uczestników *happening*'u. Gdy krasnoludki wędrowały do milicyjnych samochodów, mamy tłumaczyły spłakanym i rozkrzyczanym dzieciom, że w socjalizmie nie ma miejsca dla skrzatów, zaś kiedy „uwięziono" olbrzymiego pluszowego misia w czarnych okularach, ulica zaczęła skandować: „zamknąć Misia Puchatka".

Zresztą zabawa trwała również w komisariacie, gdzie przewieziono zatrzymane krasnoludki. Bo czy można poważnie potraktować pytanie przesłuchującego SB-ka: „W jakim celu udał się pan na nielegalne zebranie krasnoludków?". Surrealizm socjalistyczny sięgnął zenitu.

Po *happening*'u „krasnoludki w PRL" o Pomarańczowej Alternatywie mówił cały Wrocław, a niedługo potem i cała Polska.

Jednak historia ruchu jest znacznie dłuższa — liczy sobie bowiem już siedem lat. W 1981 roku, podczas strajku na Uniwersytecie Wrocławskim, w gmachu filozofii, rychło przemianowanym na Fort nr 1, zaczęto wydawać pismo *Pomarańczowa Alternatywa*. Gazetę animował Ruch Nowej Kultury, a zajmowała się ona przede wszystkim sztuką i jej nowym kierunkiem — surrealizmem socjalistycznym. Manifest „S.S." stwierdzał, iż podstawą każdego działania winna być spontaniczność i uwolnienie umysłu od tradycjonalistycznych ograniczeń. Dotykał również podstaw socjalistycznej teorii: „religia to opium, czyli marzenie ludu" albo „miłość, jeżeli jest spontaniczna, nie przeraża się żadną barierą. Może być na przykład częścią statutu organizacji. Miłość to idea jedyna, którą choćby na chwilę można pogodzić z ideą życia. W socjalizmie można jeszcze mówić o miłości kolektywnej".

Stan wojenny zahamował działalność Pomarańczowej Alternatywy. Lecz już w 1982 roku na wrocławskich domach pojawiły się rysunki krasnali, ozdabiając plamy po skrzętnie zamalowywanych kotwicach Polski Walczącej i solidarnościowych hasłach. Dochodziło też do indywidualnych, nieśmiałych prób *happening*'owych, które jednak w owym czasie trafiały w społeczną pustkę. Aż wreszcie przyszedł czas na krasnoludki, a później na niezależną demonstrację antywojenną 1 września, imprezę pod hasłem „Kto się boi papieru toaletowego?" 1 października, Dzień Milicjanta 7 października, manewry „Melon w majonezie" dla uczczenia święta Ludowego Wojska Polskiego 12 października, Wigilię Rewolucji Październikowej, referendum 27 listopada („Wrocław miastem stu/dwustu/ procent frekwencji) i świętego Mikołaja, nadziei reformy gospodarczej 7 grudnia — wszystkie w 1987 roku.

Głównym pomysłodawcą Pomarańczowej Alternatywy, a także reżyserem i scenografem wrocławskich *happening*'ów jest Waldemar „Major" Fydrych. Ma 34 lata, ukończył historię i historię sztuki. Jest twórcą koncepcji surrealizmu socjalistycznego, którą zaczął praktycznie stosować jeszcze w latach siedemdziesiątych jako uczeń szkoły średniej. Kiedyś pilnującemu 1-majowej trybuny ORMO-wcowi powiedział, że przyniósł kropelki na serce dla ojca. Gdy jego szkoła przechodziła pod trybuną, zaczął w kolegów rzucać kwiatami. Potem dyrektor, żeby uratować twarz, rozgłaszał, że „Major" został wydelegowany na trybunę jako reprezentant Koła Młodych Dziennikarzy.

Praktycznie do Wigilii Rewolucji Październikowej wszystkie wrocławskie *happening*'i były wyłącznego autorstwa „Majora". On rozdawał role, planował tempo akcji, wymyślał tekst ulotek. Lecz z biegiem czasu Pomarańczowa Alternatywa zyskiwała nowych zwolenników, więc już uczczenie Wielkiego Zrywu Prole-

tariatu było zbiorowym dziełem grupy osób — Rady Komisarzy Ludowych — zaangażowanej w techniczne i ideowe przygotowanie całej imprezy. Na kilka dni przed świętem został dokładnie rozpoznany teren *happening'*u, wyznaczono czas i miejsce ataku poszczególnych pododdziałów. O obchodach informowała nie tylko cytowana ulotka, ale także plakaty z wizerunkiem nagiej baletnicy dzierżącej symbole światowego proletariatu — sierp i młot. Eksploatowano również niezwykłą urodę towarzysza Lenina portretowanego w aureoli czerwonych gwiazdek.

Rewolucję rozpoczął atak chluby floty czarnomorskiej, pancernika „Potiomkin". Po kilku chwilach pancernik został otoczony przez siły porządkowe, porwano kartonowe burty okrętu. Załoga siada na ziemi, łapie się błotnika parkującego obok samochodu. Po paru minutach dzielni marynarze lądują, skuci kajdankami, w milicyjnych radiowozach.

Lecz przecież nawet dziecko wie, iż właściwym sygnałem wybuchu Rewolucji były salwy z krążownika „Aurora". Załoga tego okrętu skryła się w stojącym przy Świdnickiej domu handlowym „Merkury". Atak „Potiomkina" miał na celu skołowanie niemundurowych kontrrewolucjonistów. Gdy tajniacy odeszli spod drzwi sklepu, krążownik wypływa na ulicę.

Jednak nadmiar rewolucyjnego zapału pomieszał szyki dowództwu „Aurory". Towarzysz kapitan chce sterować w kierunku rynku, zaś towarzysz komisarz polityczny za cel ataku obrał okolice zegara. Miotana sprzecznymi rozkazami „Aurora" ociera się o milicyjną nyskę. Kontrrewolucja uderza od dziobu. Załoga siada na ziemi, a obecna wokół zrewoltowana młodzież dmie w gwizdki i trąbki, broniąc dostępu do marynarzy. Przechodnie skandują: Re-wo-lu-cja, re-wo-lu-cja. Obok załogi siadają łączniczki floty bałtyckiej i matka chrzestna krążownika.

„Aurora" poległaby niechybnie, gdy nie spodziewana odsiecz. W chwili, gdy siły kontrrewolucji odnoszą do samochodów pojedynczych marynarzy, obrywających przy okazji po kilka pałek, od strony rynku atakuje dziesięcioosobowa tyraliera towarzyszy z kronsztadzkiego garnizonu. Biegną w akompaniamencie palby z drewnianych karabinów, przy ogłuszającym pisku gwizdków. Milicjanci błyskawicznie formują barierę w poprzek ulicy. Nikt już nie interesuje się skandującymi re-wo-lu-cja, re-wo-lu-cja. Nawet marynarze z „Aurory" mogą nieco odetchnąć. Ulica jest w rękach proletariatu — kontrrewolucja okupuje pobliską pocztę i symbolizujący Pałac Zimowy bar Barbara, na którym z odgórnego polecenia wywieszono karteczkę — „awaria".

W końcu milicja dostaje w swoje ręce dowódcę kronsztadzkich marynarzy. Funkcjonariusze wyciągają z kałuży ostatnich członków załogi bohaterskiej „Aurory". Nikt dokładnie nie wie,

czy czerwień policzków zatrzymanych to efekt użycia farbki, czy może skutek uderzeń.

Nagle działania rewolucyjne i ataki kontrrewolucjonistów zostają przerwane. Jednak to życie tworzy najpiękniejsze *happening'*i, które nie mieszczą się w najbardziej pomysłowych i drobiazgowych scenariuszach. Z przejścia podziemnego wychodzi Murzyn, ubrany... w czerwony beret. Idzie spokojnie w kierunku rynku. Ulica zamiera.

Gdy Murzyn znika z pola widzenia, rewolucja wybucha ze zdwojoną siłą. Chcąc odeprzeć nowy szturm proletariatu, milicjanci ustawiają samochody w poprzek ulicy. Liczba zatrzymanych gwałtownie rośnie. W radiowozach siedzą nie tylko główni uczestnicy *happening'*u, ale również przechodnie ubrani w czerwone czapki lub szaliki. Niebawem inkryminowanym kolorem stanie się róż i bordo. Gdzieś słychać krzyk zdesperowanego ojca, który stanowczo oświadcza milicji, że ani myśli zdejmować z dziecka czerwonego kombinezonu. Surrealizm socjalistyczny tryumfuje w całej okazałości.

Czas pomścić klęskę „Potiomkina" i „Aurory", ocalić rewolucyjną reputację Kronsztadu. W podjeżdżającym do pobliskiego przystanku autobusie wzbudza się podejrzany ruch. Z pojazdu wyskakuje oddział czerwonogwardzistów, grupy biedniackie, zapatrzone w stachanowski model 500 % normy i gwiazdę Lwa Trockiego. Napisy na koszulkach informują: „Będę więcej pracować", „Jutro będzie lepiej". Falujący nad głowami transparent głosi: „Żądamy rehabilitacji Lwa Trockiego — twórcy Armii Czerwonej" (kolejny niezamierzony *happening* — zwiedziona treścią płótna zachodnioniemiecka prasa poinformuje o wrocławskiej manifestacji... trockistów). Na innym transparencie proletariusze domagają się ośmiogodzinnego dnia pracy dla funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych. Jeszcze inni krasnoarmiejcy ujmują się za spławionym z radzieckiego Politbiura rzecznikiem *pieriestrojki,* towarzyszem Jelcynem.

Siły kontrrewolucji są zdezorganizowane. Przecież nie wiadomo, kto może być groźniejszy — czy pies w czerwonej kokardzie, defilujący pod zegarem, czy nacierający krasnoarmiejec, czy rewolucyjna tłuszcza z gwizdkami, a może koniunkturalne zwolenniczki postępu, ubrane w czerwone rajstopy. Jednak rutyna pozwala zapanować nad bałaganem. Po chwili na wolności zostaje tylko jeden żołnierz Armii Czerwonej, *nota bene* członek komitetu założycielskiego NSZZ Solidarność we wrocławskim „Polarze", który niezrażony sytuacją biega pod sklepem obuwniczym, ściskając drewniany karabin zakończony błyszczącym bagnetem i dmuchając w gwizdek. Kilka nobliwie wyglądających, lecz w głębi duszy nastawionych wywrotowo pań odbija spod radiowozu jed-

nego rewolucjonistę. Siły reakcji można więc atakować w ich najsilniejszych bastionach.

Rewolucja rewolucją, lecz każda przyzwoita wigilia ma swoje nieśmiertelne prawa, których lekceważyć nie sposób. Po około 20 minutach walk w pobliżu hotelu „Monopol" pojawiają się kolędnicy. Niosą na kiju czerwoną gwiazdę i antyustrojowy transparent o treści „Barszcz czerwony". Za kilka chwil również i ta grupa znajdzie się we właściwym miejscu i pod właściwą opieką. Ocalała tylko gwiazda, kryjąc się w przejściu podziemnym, by niebawem zabłysnąć po drugiej stronie ulicy, niczym zwiastun proletariackiej jedności, zapowiedź kolejnych ataków.

Naciera kawaleria Budionnego. Słychać karabinowe wystrzały, dudnią kopyta kartonowych koników, świdruje powietrze dźwięk gwizdków. Jeźdźcy, pobłogosławieni przez Anioła Rewolucji, wpadają na Świdnicką w defiladowym, odświętnym szyku. Kontratak milicji i resztki czerwonej konnicy grupują się na Placu Wolności, zbierając siły do kolejnego bojowego zadania.

Tymczasem nad głównym teatrem działań czuwa Anioł Rewolucji. Demiurg proletariatu podchodzi do usytuowanego w pobliżu kościoła św. Doroty punktu wypiekającego bagietki z żółtym serem i keczupem. Stojący obok tłum głośno domaga się sprzedarzy zapiekanek. Ale przecież sprzedawać nie wolno, bowiem bagietki zazwyczaj polewa się antyustrojowym w tym dniu — bo czerwonym — pomidorowym sosem. Wytrwały Anioł Rewolucji wyciąga dłoń. Prosi ekspedientkę, by polała mu keczupem palce. Konwersację przerywają nieumundurowani funkcjonariusze. Ich buty wciskają w błoto czerwoną aureolę.

Ostatnia nadzieja rewolucji w niedobitkach konnicy. Około 17-tej resztki kawalerzystów ponownie docierają do Świdnickiej. Pełnym sukcesem kończy się szturm na Pałac Zimowy (bar Barbara), który właśnie otworzono mimo niedawnej informacji o awarii. Wprawdzie barszcz czerwony został wycofany ze sprzedaży, jednak substytutem tej rewolucyjnej potrawy może być sok truskawkowy. Kawalerzyści w szpiczastych czapeczkach popijają go w skupieniu. Są rozradowani — w końcu tylko im udało się zdobyć główną siedzibę kontrrewolucji. Nie zdążą dopić do końca...

Kilka minut po 17-tej jest już po wszystkim. Bilans święta Wielkiego Października to 150 zatrzymanych, których po kilku godzinach wypuszczono do domu. To również wiele uderzeń pałkami, ale i ponad godzinna zabawa dla wielotysięcznego tłumu. A może coś więcej...

Dotychczas w Polsce nie mogliśmy otrząsnąć się z wielu „świąt", które zagościły nad Wisłą po 1945 roku. Obłuda sytuacji polega również na tym, że gdy oficjalnie ogłasza się radosną fiestę, w wielu domach zapalane są cmentarne znicze. I nagle

okazało się, że w związku z rocznicą bolszewickiej rewolucji wcale nie musimy czuć się upokorzeni lub ze wstydem wspominać postać naszego rodaka, Dzierżyńskiego. Okazało się, że święto to można wyśmiać, co choćby dla zdrowia psychicznego jest szalenie ważne.

Lecz rewolucyjny *happening* to nie tylko sprawa śmiechu. W wywiadzie dla *Tygodnika Mazowsze* „Major" powiedział: „Zadaniem, jakie sam sobie postawiłem, jest przezwyciężenie różnych swoich słabości i pomoc w przezwyciężaniu ich u innych. Szczególnie lęku przed milicją — żeby tego koszmaru, tego snu, jaki wywołał stan wojenny pozbywało się coraz więcej ludzi. Nie chodzi o zmiany polityczne, ale o zmiany w psychice — one mogą później wywołać jakieś skutki".

I rzeczywiście — *happening*'i Pomarańczowej Alternatywy spełniają wyznaczone zadanie. Wrocławska ulica powoli przestaje się bać, a poprzez uczestnictwo w zabawie ludzie uczą się wspierać poważniejsze, na przykład WiP-owskie, „zadymy". Prysnął strach przed zatrzymaniem, z reguły kilkugodzinnym, bez poważniejszych konsekwencji. Zresztą występujący w *happening*'ach przyjęli, jako obowiązującą, zasadę, iż pierwsze szeregi aktorów to ludzie, którzy jeszcze nigdy nie odwiedzali komisariatów, druga linia to ci z małym doświadczeniem, trzecia — weterani. Nikt nie ucieka (chyba, że wymaga tego scenariusz), a co najwyżej siada na ziemi i spokojnie pozwala odtransportować się do radiowozu. 7 grudnia po Świdnickiej kręciła się nawet Mikołajkowa Służba Wewnętrzna z naszywkami MSW, która pomagała milicjantom odprowadzać Mikołajów i Śnieżynki do suk. Mikołajów wyłapano po 20 minutach, lecz *happening* trwał jeszcze ponad godzinę. Na koniec milicja rozproszyła pochód, który z okrzykami „Na Łąkową!" (siedziba Dzielnicowego Urzędu Spraw Wewnętrznych — Wrocław Stare Miasto), „Na Bastylię!" maszerował odbijać zatrzymanych Mikołajów. *Happening* wyrósł ponad zamierzenia.

Zresztą podobnie był oceniany *happeging* związany z referendum. W pewnym momencie nikt już nie był pewien — szczególnie wyłapani aktorzy — czy to jeszcze zabawa, czy wstęp do ulicznych zamieszek.

Dzięki *happening*'om zmieniają się również relacje między zatrzymanymi i milicją. Komisariat to dalsza część zabawy — w Wigilię Rewolucji zwalniani z aresztu odśpiewali milicji „Sto lat" i skandowali „dziękujemy za miły wieczór". Czasami na komendzie kilkadziesiąt osób prosi dyżurujących funkcjonariuszy do tańca. Innym razem milicjantom zarzucono brak szacunku do państwowych symboli — kto to słyszał, by w pomieszczeniu, na ścianie którego wisi orzeł „bez czapki" siedzieć w czapkach? Oczywiście, kpiarza można uderzyć — podczas Wigilii Rewolucji rozbijanie *happening*'u było bardzo brutalne — ale to jakoś

głupio, szczególnie po niezależnych obchodach Dnia Milicjanta, kiedy młodzież rozdawała milicji kwiaty. Chyba dlatego, jak również w obawie przed śmiesznością — może ci z Pomarańczowej Alternatywy to jakieś wariaty? — funkcjonariusze zamykają się (!) przed zatrzymanymi w pokojach komisariatu i z utęsknieniem wyczekują chwili, kiedy przyjdzie polecenie zwolnienia.

*Happening'*i integrują. W przygotowaniach do rewolucyjnej zabawy uczestniczyło kilkadziesiąt osób — wiele z nich samo słowo „opozycja" jeszcze kilka miesięcy wcześniej napawało strachem. Teraz nie tylko pomagają w szyciu kostiumów, lecz aktywnie włączają się w działania uliczne. Po każdej akcji do Pomarańczowej Alternatywy przychodzą nowe osoby — każda „zadyma" i kilkugodzinne zatrzymanie kończy się wspólnym spotkaniem, jeszcze tego samego dnia. Do niedawna wszyscy się znali — dziś więcej jest nieznajomych. A ponieważ wielu z „zadymiarzy" dymi w innych firmach, więc Pomarańczowa Alternatywa to również sposób na złapanie kontaktu z „poważną" opozycją.

Jednak nie przesadzajmy z politycznością wrocławskich *happening'*ów. Pomarańczowa Alternatywa tworzy wydarzenia tak w sferze polityki jak i kultury, sztuki, obyczajowości. „Założeniem *happening'*u — powiedział „Major" w wywiadzie dla wrocławskiego pisma *Szkoła* — miało być przekraczanie pewnych norm. Mogą to być normy obyczajowe, normy poczucia formy w sztuce. Strach jest pewną normą, marazm jest pewną normą. *Happening'*i we Wrocławiu przekraczały między innymi normy wyznaczone przez państwo".

Ale nie tylko. Dla wielu osób aktywnie działających w opozycji uliczna zabawa pozwala zachować dystans do własnej roboty. Śmiech i kpina z samego siebie bronią przed sztywnością, skostnieniem, zamykaniem się w opozycyjnym getcie, uczą normalności, gdyż schemat opozycji i opozycyjności może być dla otoczenia bardzo uciążliwy. Gdy w Warszawie reaktywowano PPS, „Major" wraz z kompanami powołali PPR, strasząc widmem szybkiego zjazdu zjednoczeniowego. Na murach pojawiły się hasła „PPS — reakcja, PPR — atrakcja" i „PPS daje, PPR wydaje", a wrocławianie mieli sporo uciechy, widząc zamalowywane w przeraźliwym tempie napisy „PPR walczy". Absurdalna nadgorliwość stróżów porządku, a może kolejny przejaw surrealizmu socjalistycznego.

Pomarańczowa Alternatywa lubi również autoironię. Podczas obchodów Wielkiego Października nie wszyscy towarzysze z godnością wypełnili swoje obowiązki. W co najmniej dwóch przypadkach doszło do ewidentnego naruszenia zasad rewolucyjnego postępowania i kodeksu świadomego proletariusza. Pierwszy, to opisany już bałagan na szczeblu dowódczym krążownika „Aurora", drugi — porzucenie konia przez jednego z kawalerzystów.

Wyłoniony naprędce Trybunał Rewolucyjny wysłuchał podejrzanych i świadków. Okazało się, że sprawa jest poważniejsza, niż się z pozoru wydawało. Nie chodziło już tylko o sabotaż i sianie defetyzmu, lecz o świadome manipulowanie przebiegiem Rewolucji. Domagano się surowych wyroków. I słusznie, gdyż surowa kara winna spotkać „Majora" manipulującego Józefem Piniorem — członkiem władz Solidarności, jednym z najbardziej szanowanych i popularnych ludzi na Dolnym Śląsku, a zarazem aktywnym uczestnikiem *happening'*ów — albo Piniora sterującego „Majorem". Kto kim manipulował i jak dalece cała sprawa była funkcją tajnych związków Pomarańczowej Alternatywy z milicyjną lożą masońską, tego Trybunał nie ustalił do końca, gdyż w końcu rewolucyjna sprawiedliwość nie może bawić się w drobiazgi. Ważne, że i „Major", i Pinior, i funkcjonariusze z Łąkowej byli zamieszani w obchody święta zwycięstwa idei Lenina (wiecznie żywej). A jaki był stopień ich udziału — to przecież nieistotny szczegół.

Pomarańczowa Alternatywa jest otwarta dla każdego. Warto przynajmniej na ich działania popatrzeć, gdyż — jak bardzo celnie zauważył Krzysiek Albin, komisarz do spraw propagandy PPR — to, co się czyta o *happening'*u, jest tylko kalką rzeczywistości. Chodzi bowiem o emocje, nie zaś o przekaz racjonalny. „Na manifestacjach w okresie stanu wojennego, w których uczestniczyłem — mówi dalej Krzysiek — istniała wielka negatywna emocja; emocja siły i odwetu. *Happening* tworzy emocję bardzo ciepłej barwy. Rewolucje mają zawsze silny komponent emocjonalny. Historia pokazuje, co wynika z silnej emocji negatywnej, a co z pozytywnej — to zobaczymy...".

Post Scriptum. Rada Komisarzy Ludowych oznajmia, iż w najbliższym czasie należy spodziewać się eksportu wrocławskiej rewolucji do innych miast Polski. Proletariusze (pomarańczowi) wszystkich miast, łączcie się!

Wiersze

Adam LIZAKOWSKI

AUTOBUS 38 GEARY

Wracałem tym autobusem przed 12 w nocy
z Embarcadero Center

Na przystanku przy skrzyżowaniu ulic
Geary i Powell wsiadła grupa azjatów
gwarno i tłoczno było przez kilka przystanków
a gdy się wygodnie usadowili
zapadli w sen
Ludzie ci zmęczeni byli ciężką harówką
w luksusowych hotelach w których wykonywali
podłą pracę za najmniejsze stawki
(zazdrościłem im pracy, byłem bezrobotny)

Ostatnie autobusy rozwoziły emigrantów
którzy w krajach europy środkowo-wschodniej
azji południowo-wschodniej
ameryki centralnej i południowej
uchodzili za wybrańców Boga
którzy wygrali wielką stawkę na loterii życia

Tym co zazdrości się szczęścia
to pomywacze naczyń kuchennych,
podłóg, zastępcy zastępców w hierarchii kuchennej
oni są z azji

Hotelowi otwieracze drzwi, taksówek
sprzątacze pokoi hotelowych, korytarzy,
łazienek, garaży,
są z drugiej ameryki

Kelnerzy, naprawiacze, bagażowi, windziarze
roznosiciele drobnych przesyłek
są z drugiej europy

Wszyscy oni uciekli przed komunizmem
tak przynajmniej powiedzieli na przesłuchaniach
oficerom FBI

Uciekli przed więzieniem, kulą w łeb,
kajdanami, nocnym pukaniem do drzwi,
biciem po głowie, kopami w jaja

Uciekli do wolności
a wpadli w otwarte ręce kapitalizmu
w którym dyktatorem jest życie
sługą — kapitalista
niewolnikami — oni

Dyktator-życie nie zna litości
przystawia pistolet z kulą beznadziejności do łba
potrząsa kajdanami codzienności
nieustanny brak pieniędzy — to tajniak pukający do drzwi
nie dający spać spokojnie
nieznajomość języka bije po pysku
samotność kopie w jaja

I pomyśleć że są tacy co im (mi) zazdroszczą
ziemi obiecanej

O CZYM MYŚLAŁEM W SOBOTĘ

ojczyzna moja to muzeum
przed gmachem którego stoi
groźny woźny z wąsem stalina

ojczyzna moja to muzeum
w którym nie otwiera się okien
bo świeże powietrze rozwaliłoby
w proch zmurszałe eksponaty

muzeum śni o bohaterach
którzy wygrywali bitwy
przegrywali wojny

muzeum śni o mieszczuchach
którzy umierali na barykadach z dostojnością
angielskich lordów, francuskich hrabiów
niemieckich generałów, pijanych bolszewików

w muzeum stoją pomniki
tych co chcieli dobrze, ale im nie wyszło
zginęli w więzieniach budowanych za swe pieniądze
pomarli na emigracji w nienawiści

nigdy nie wrócę do ojczyzny
nie dlatego że nie mogę
ale dlatego że nienawidzę jej

SAMOTNOŚĆ

we wszystkich barwach tęczy
w każdej sekundzie
w każdym słowie
w każdym oddechu
w każdej kropli deszczu
w każdym słonecznym promieniu

samotność
uformowana na kształt klucza do drzwi
naga blada ściana pokoju
okno-mikroskop samotnych przez które
podglądają życie
samotność
patrzy na mnie okiem telewizora
szepcze głosem radia
dwudziestowieczne skrzydła ikara
zamienione w strony książek i gazet
samotność
nigdy nie zaliczała się do grona

mych przyjaciół lub nieprzyjaciół
zawsze maszerowałem w pierwszym szeregu
jej wielomilionowej armii
zawsze byłem cegłą w murze
drzewem w ciemnym lesie
mostem pomiędzy brzegami rzeki

samotność
to bóg unoszący się nad światem ludzi

Adam LIZAKOWSKI

Maciej NIEMIEC

LIST

Wiem o tobie prawie tak, jak ty o mnie.
Musi coś być nie w porządku z tobą, skoro czytasz
a może nawet piszesz wiersze, dzisiaj,
w Polsce. Nie mógłbyś robić nic bardziej daremnego.

Zresztą, może mógłbyś. Nie wiem. Jednak teraz
czytasz ten wiersz, ułomny ułamek mojej
i twojej nieokreślonej teraźniejszości. U mnie
już noc, 4 czerwca, chłodno, przestał padać deszcz.

Wiem, to na co patrzysz wydaje się być i jest realne.
Książka, której dotykasz, może blat stołu, cisza,
okno, ściana. Tak mogłoby być — lecz jeszcze
są szpitale, więzienia, domy starców, ławki w parku.

To wszystko równie realne. Dlatego rozmawia się trudno.
Przez szyby, ściany, oczka krat. Ta kartka —
zmęczenie, pół-spokój, rezygnacja z gry,
takie na jakie mnie stać.

Nic więcej nie mam dla ciebie. Nigdy nie miałem
nic więcej. Często mniej. Aż wiersz jest już tylko próbą
rozmowy prostszej niż życie. Czy wiersz to list?
Nie tylko list — aż list.

Czy znasz właściwe słowa? Jeżeli szukasz,
chciałbym choć tyle powiedzieć: nie szukaj ich daleko.
Są tam gdzie jesteś, jeśli są. Odchodząc zbyt daleko
będziesz musiał pójść jeszcze dalej.

Nie nabierz się na słowa. Nie można powiedzieć więcej
niż tym, których kochasz — dziecku, żonie.
A chyba też więcej nie warto.
Jeśli nikogo nie kochasz, raczej milcz.

Lub odejdź, zbyt daleko. Nie będziesz wytłumaczony.
Nie znajdziesz odpowiedzi, ani pocieszenia.
Tylko właściwe słowa, może. I trochę ironii,
która na końcu wersu zamiast kropki chce postawić pytajnik.

Maciej NIEMIEC

4/5 czerwca 1987

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Ile, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telefon: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE • KSIĄŻKI FRANCUSKIE DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ • PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.

KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT

WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

Archiwum polityczne

Ameryka Południowa - zagrożony kontynent

W latach trzydziestych dyktator Brazylii Getulio Vargas, który lubił nazywać siebie ojcem biedaków (potem tytuł ten przywłaszczyła sobie Evita Peron), nosił się z zamiarem oderwania od Brazylii czterech południowych stanów. Sao Paulo, Santa Catarina, Parana i Rio Grande do Sul były dobrze zagospodarowane, etnicznie białe, bez groźnych problemów socjalnych, a kawa, kukurydza, cukier, hodowla bydła i szybko rozwijający się przemysł tworzyły dobrobyt. Stolicą tej nowej południowej Brazylii miało zostać miasto Sao Paulo, które nadal z uporem walczy z argentyńską stolicą Buenos Aires o tytuł największego miasta tego kontynentu. Dziś Sao Paulo liczy już 14 milionów mieszkańców, a z każdym rokiem przybywa w poszukiwaniu pracy około pół miliona biedaków z północnego wschodu i oblicza się, że do końca tego wieku Sao Paulo będzie mieć 22 miliony mieszkańców! Rynek pracy jest tam ogromny: masowe budownictwo, osiem fabryk samochodów, 293 tysiące zarejestrowanych firm handlowych, 34 banki krajowe i 17 banków międzynarodowych, z setkami filii i agencji. W Sao Paulo wychodzą trzy najpoważniejsze dzienniki, *O Estado de Sao Paulo,* uważany za miejscowy przykład nowojorskiego *Times'a*, liberalna *Folha de Sao Paulo* i *Gazeta Mercantil,* świetnie redagowana na wzór londyńskiego *Financial Times* i amerykańskiego *The Wall Street Journal.* (Czwarty wielki dziennik *Jornal de Brasil* ukazuje się w Rio de Janeiro). 48 muzeów, 34 teatry, siedem kanałów telewizyjnych i 337 radiostacji, świetne hotele, wytworne restauracje, ekskluzywne kluby, wspaniałe rezydencje — wszystko to stanowi superluksus. Ale jest to luksus tego miasta, a nie tego kraju.

Getulio Vargas dobrze przewidywał. Rezygnował z Rio de Janeiro — niech tam sobie tańczą sambę! — i z wszystkiego na

północ od Rio de Janeiro, gdzie ludność od wieków żyła na zmianę, raz w katastrofie suszy, raz w katastrofie potopu, a przez cały okrągły rok w tragedii głodu. A ziemia tam była urodzajna, mogła wyżywić wszystkich. Opowiadano dykteryjkę, że rząd wysłał kiedyś specjalną komisję do okręgów głodu. Członkowie tej komisji pytali chłopów, czy nie przyjąłby się tam ryż? Kiwali przecząco głowami. A może by tak spróbować kukurydzę? Także nie. A gdyby spróbować zasiać kartofle? Zasiać? — zdziwili się chłopi — jak zasiać, to wszystko się przyjmie. Ta pogaduszka w pewnym stopniu jest nadal wiarygodna. Palące słońce nie jest najlepszym bodźcem do pracy i dziś wiadomo, że wydajność pracy robotnika europejskiego czy amerykańskiego jest równa wydajności sześciu robotników południowoamerykańskich.

Brazylia jest kolosem Trzeciego Świata i — kto wie? — może kiedyś stać się centralnym ośrodkiem Stanów Zjednoczonych Ameryki Południowej. Obserwując jednak permanentne kryzysy polityczne, gospodarcze i społeczne, tego rodzaju wróżba wydaje się być przesadnie optymistyczna, gdyż rozwój tego kraju hamują brak odpowiedzialności i dyscypliny, a nade wszystko brak tego, co nazywamy patriotyzmem. Odnosi się to nie tylko do Brazylii, ale do wszystkich krajów Ameryki Południowej. Trzeba tu zawsze brać pod uwagę różnice semantyczne pewnych pojęć w porównaniu z ich znaczeniem w innych częściach świata. Tak więc słowo „patriotyzm" jest używane wyłącznie w bombastycznych przemówieniach przedwyborczych. Każdy kandydat na jakiekolwiek stanowisko „dla dobra kraju" wzywa swych wyborców do głosowania na siebie, jako cenionego patriotę, który zdobywając mandat odda się patriotycznej pracy dla umiłowanego kraju. Słowo „polityka" posiada na tym kontynencie jedyne tylko znaczenie, a mianowicie skaptowanie największej liczby sympatyków, którym obiecuje się absolutnie wszystko, aby po dojściu do władzy, czyli do pieniędzy, zaszczytów i wpływów, ale w pierwszym rzędzie do pieniędzy, zająć się własnymi interesami. Ludzie zajmujący się polityką są zawodowcami i nie ma wśród nich ludzi niezamożnych, natomiast wszyscy są skorumpowani w swej głównej działalności pośredników, umiejących umożliwić załatwienie interesów niemożliwych. Taki jest zawód polityka. W takiej sytuacji rozwija się nepotyzm. Szuka się wpływowego dygnitarza albo cioci, której syn ma dobre „kontakty na górze" i bez trudu załatwia się każdy interes, przynoszący zwykle 10-procentową prowizję. Przydział rentownej koncesji, pozwolenie na import niedozwolonego towaru, redukcja należnego podatku czy pożyczka bankowa na specjalnie dogodnych warunkach. Tak jest wszędzie, w Argentynie, w Brazylii, w Wenezueli czy w Ekwadorze. Wszędzie istnieje jakiś „polityk", czyjś syn czy zięć albo jakaś wpływowa przyjaciółka. Wszystko to tłumaczy ostrożność,

niezbędną przy inwestycjach w Ameryce Południowej. A przecież Brazylia jest piątym co do wielkości krajem na świecie, po Rosji, Kanadzie, Chinach i Stanach Zjednoczonych, zajmując połowę terytorium tego kontynentu, kiedy drugą połowę zajmuje 13 innych krajów. 8,5 milionów kilometrów kwadratowych i 135 milionów mieszkańców oraz wszystkie bogactwa naturalne, sieć wielkich rzek, wybrzeże morskie długości siedmiu tysięcy kilometrów — wszystko to stwarza wprost idealne warunki rozwojowe. Brazylia jest siódmym producentem stali, produkcja samochodów zajmuje dziewiąte miejsce w świecie, a drugie miejsce produkcja rudy żelaznej. Jest też największym eksporterem kawy i największym producentem cukru, prześcigając Kubę, oraz drugim największym hodowcą bydła.

Kiedyś w warszawskim kabaracie Qui-Pro-Quo Lopek Krukowski śpiewał: Jeśli jest tak dobrze, to dlaczego jest tak źle? Można wyliczyć setki powodów, ale lekkomyślność i dezorganizacja dominują nad wszystkimi innymi. W czasach boomu gumy w Amazonii wybudowano w Manaus kopię opery paryskiej; panie ubierały się w Paryżu, a panowie szyli sobie ubrania u londyńskich krawców. Całą bieliznę wysyłano do prania do Lizbony, bo tutejsza woda nie dawała dostatecznej bieli. I tak przez sto lat bogacze samolubnie rządzili tym krajem, mieszkając stale w Paryżu, dokąd ich rządcy wysyłali im bajońskie sumy, osiągane z eksportu kawy i cukru. Brazylijscy milionerzy byli najwyżej notowani przez służbę hotelu Ritz, jako godni następcy carskich arystokratów; dopiero później oddali prym w ręce nafciarzy z Teksasu.

Potem czasy się zmieniły. Dwie wojny światowe, kryzysy gospodarcze, konflikty polityczne, bomba atomowa, szaleństwo zbrojeń — ale wydawało się, że tysiące kilometrów, dzielące Amerykę Południową od ośrodków rządzących światem powinny ją uchronić przed zawieruchą ostatnich lat. Ale nie uchroniły, o czym będzie mowa za chwilę.

Naczelnym zjawiskiem jest nadal okrutna, krzycząca niesprawiedliwość społeczna. W samej Brazylii 40 % ludności żyje w nędzy absolutnej, w warunkach podludzkich, a w innych krajach ten odsetek jest jeszcze straszliwszy. Rodziny tych nędzarzy mają po sześcioro, ośmioro czy dziesięcioro dzieci, bo sztywna polityka Kościoła nie dopuszcza do używania środków antykoncepcyjnych ani do przerywania ciąży. Był to jeden z ważnych punktów dyskusji podczas spotkania polskich intelektualistów katolickich z brazylijskimi katolikami w Rio de Janeiro, kiedy rozważano Teologię Wyzwolenia. W poszukiwaniu jedzenia miliony małych dzieci opuszczają rodziców i idą w świat, śpiąc na ulicach miast, żebrząc, kradnąc lub napadając na turystów. Sprytniejsi znajdują

zarobek jako roznosiciele narkotyków. Dochód niewykwalifikowanego robotnika wynosi w Brazylii równowartość 50 dolarów miesięcznie. Po potrąceniu podatków i świadczeń socjalnych, dostaje on na rękę 40 dolarów miesięcznie. Mieszka z rodziną na faweli *(slums)* albo na dalekich przedmieściach miast i na autobus czy na pociąg podmiejski do miejsca pracy i z powrotem wydawać musi 11 dolarów, pozostaje mu więc na wyżywienie rodziny 29 dolarów miesięcznie. Nawet oficjalne statystyki rządowe, które na ogół obniżają stopę inflacji, nie są w stanie ukryć takiego stanu rzeczy. A gdzie szkoły, a gdzie buty, a gdzie mleko czy lekarstwo?

Największym hamulcem rozwoju Brazylii był wojskowy zamach stanu w roku 1964. Wprawdzie prześladowania, represje i tortury nie mogły być porównywane z tym, co się działo w Argentynie czy w Urugwaju, tym nie mniej dwudziestolecie dyktatury spowodowało tragiczną klęskę kulturową, wykreślając z obiegu dwa pokolenia młodych ludzi, inżynierów, lekarzy, architektów, profesorów i socjologów, którzy albo uciekli za granicę przed represjami, albo wyjechali legalnie z tego samego powodu. Większa część tych ludzi stworzyła sobie nowe życie i nigdy więcej do Brazylii nie powróciła. Dziś powtarza się taki sam smutny obraz w obliczu super-inflacji, rosnącego bezrobocia, drożyzny i całkowitej bezradności rządu: przed konsulatami wielu państw stoją długie ogonki ludzi w poszukiwaniu wiz.

Kiedy w roku 1985 wojskowa dyktatura wojskowa zakończyła swój żywot, w ludzi wstąpił nowy duch. W powszechnych wyborach nowym prezydentem republiki został Tancredo Neves, polityk zdolny, doświadczony, umiarkowany, cieszący się zaufaniem społeczeństwa. Niestety ciężko zachorował i mimo siedmiu operacji chirurgicznych zmarł na kilka godzin przed swym zaprzysiężeniem w kongresie. Przysięgę złożył wiceprezydent José Sarney, prowincjonalny konserwatywny polityk, ściśle związany z 20-leciem dyktatury. Pisarz, poeta, członek Akademii Literatury, szybko wykazał swą bezradność w ciężkim okresie przejściowym od dyktatury do demokracji. Chcąc zwalczyć szalejącą inflację, ogłosił dekret ustanawiający „inflację zero". W ekonomii tego rodzaju dekrety na ogół nie przynoszą spodziewanych skutków i wtedy zaczął się chaos, trwający aż do dnia dzisiejszego. Rząd próbował najrozmaitszych chwytów, zamrażał ceny rynkowe, aby je potem zwalniać, podwyższał zarobki w skali poniżej rosnących bezustannie cen, chcąc w ten sposób zredukować konsumpcję. Kiedy ciężkimi karami uderzył w kupców, aby zmusić ich do obniżenia cen, towary zniknęły z półek sklepów. Kiedy na rynku zabrakło wszystkiego, w obawie przed rozruchami rząd zorganizował błyskawiczny import lotniczy mięsa, masła, mleka, fasoli, jajek, a nawet kawy. Ten pomysł pochłonął wielką część posiadanych jeszcze rezerw walutowych, a kiedy się okazało, że wielka część importowanych towarów nie nadawała się do użytku — mleko było skażone, mięso zgniłe, jajka cuchnące, a masło skwaśniałe, bo nieuczciwi pośrednicy rządowi, widząc okazję do dużych zarobków, zakupywali za granicą wszystko, co było najtańsze i co gwarantowało im odpowiednie prowizje — ogólny protest doprowadził do początku końca rządu Sarneya. Ulica krzyczała: Precz z Sarneyem! Był to już rok 1987 i prezydent miał za sobą trzy lata mandatu. Inflacja szalała. Z pozycji zerowej w pierwszym miesiącu triumfu wzrastała do 6 % miesięcznie, do 12 %, do 14 % i zamknęła ubiegły rok inflacją 415 %, z poważnymi prognostykami 20 % - 25 % miesięcznie na ten rok. Wiadomo, że walkę z inflacją należy rozpoczynać od cięć budżetowych, od redukcji deficytu rządowego, a nie od podwyższenia podatku dochodowego całej klasie średniej, zupełnie bezbronnej, jako że ten podatek jest potrącany już przy wypłatach pensji. Ale Sarney nie miał odwagi, aby zlikwidować 355 przedsiębiorstw państwowych, jakie od lat przynoszą straty, gdyż wszystkie stanowiska kierownicze zajmują przychylni rządowi politycy lub przyjaciele prezydenta. Tymczasem Sarney coraz to zmieniał swych ministrów i nawoływał społeczeństwo do optymizmu.

Nowa Konstytuanta kończy swe prace nad nową konstytucją, dyskutując mandat prezydenta i przychylając się do obcięcia go o dwa lata. Cztery lata zamiast sześciu. Oznaczałoby to odejście Sarneya i nowe wybory już w tym roku. Mało tego, trwają dyskusje, czy nowa konstytucja wprowadzi system rządów parlamentarnych, czy też w dalszym ciągu uzna system prezydencki. A to znów oznaczałoby, że Sarney już w tym roku, przy wprowadzeniu rządów parlamentarnych, będzie musiał mianować prezesa rady ministrów jako szefa rządu, a sam zakończy swój mandat w roli królowej angielskiej.

W Argentynie jeszcze gorzej

Wielki kryzys gospodarczy Brazylii powtarza się w Argentynie. Te same objawy, te same eksperymenty ratowania waluty i tak samo rosnąca inflacja. A do tego wszystkiego rozszerzający się konflikt rządu z siłami zbrojnymi. Wielka to szkoda i prezydent Alfonsin z pewnością zasługiwał na lepszy los. Zręczny polityczny pragmatyk, który pokonał dwie dyktatury, peronistyczną i wojskową, doprowadzając kraj do demokratyzacji, był już tak blisko pełnego sukcesu. Ale w każdym kraju i w każdym systemie ludzie popełniają błędy. Błędem Alfonsina było z pewnością pozostawienie wojska poza nawiasem narodowej zgody. Oczywiście był to wynik procesu rozpoczętego w imię wymierzenia sprawie-

dliwości za dokonane zbrodnie i w klimacie ogólnej nienawiści społeczeństwa, domagającego się ukarania winnych. Z biegiem czasu proces przerodził się w niedopuszczalną sytuację zepchnięcia całych sił zbrojnych do roli pariasów.

W Argentynie korpus oficerski był pozbawiony praw do rokowania z nowymi władzami cywilnymi. Kiedy pozbawiono ich władzy, mieli już za sobą dwie porażki, gdyż konstytucja określała działalność wojska jako obronę granic oraz utrzymywanie porządku w kraju. W pierwszym wypadku przeżyli upokarzającą klęskę w szaleńczej próbie okupacji wysp falklandzkich i stali się pierwszymi i jedynymi dowódcami armii południowoamerykańskich w XX wieku, którzy podpisali kapitulację na polu bitwy. W drugim wypadku represje przeciw terrorystom zamienili na bezkarne mordowanie tysięcy ludzi.

Nie ulega wątpliwości, że oburzenie całego społeczeństwa nie miało granic i że siła powszechnej nienawiści kazała sądom skazać na ciężkie kary najwyższych dostojników sił zbrojnych. Wyroki zostały wykonane i generałowie i admirałowie pozostają w więzieniach. I w tamtej chwili zabrakło rozsądku rządowi i społeczeństwu, aby zakończyć całą akcję karną. Kiedy ukaranie odpowiedzialnych szefów sił zbrojnych przemieniło się w sąd nad całą instytucją, rozwarła się prawdziwa przepaść, która doprowadziła do piętrzących się trudności i coraz głębszych konfliktów. Bo ludzi winnych należy karać, ale nie można eliminować całej organizacji ani odbierać jej honoru, na jakim jest oparta w całym świecie służba wojskowa. Zwłaszcza w niezdyscyplinowanych krajach tego kontynentu. O tej zasadzie zapomniano w Argentynie Alfonsina i dlatego dziś rezerewuje się więcej miejsca rozsądkowi niż szacunkowi dla bólu matek z Majowego Placu. Podobno polityka jest sztuką mierzenia możliwości. Należy wierzyć, że Argentyna wybierze raczej drogę rozsądku niż widmo wojny domowej.

Ale ten rozsądek przybrał inne formy, kiedy wybuchł nowy konflikt i prezydent Alfonsin, w porozumieniu z dowództwem sił zbrojnych, zastosował tym razem taktykę siły, z zastosowaniem ścisłego przestrzegania regulaminów wojskowych. Oto ppłk Aldo Rico, przywódca zbuntowanych oficerów w okresie zeszłorocznych świąt Wielkanocy i który wówczas, dla uspokojenia umysłów, nie został oskarżony o bunt, ale o złamanie dyscypliny, był osadzony w domowym areszcie, w domu bogatych przyjaciół, gdzie mógł grywać w tenisa i pływać w basenie. Ale awanturniczy Rico, typ sienkiewiczowskiego Kmicica, rozpoczął nowy bunt. Ogłosił, że nie zamierza się więcej poddać przewodowi sądowemu. Tym razem szef sztabu generalnego, generał José Dante Caridi, wysłał czołgi pod rezydencję przyjaciół ppłk. Rico, aby go

aresztować i przewieźć do więzienia w obozie wojskowym pod Buenos Aires. Kiedy czołgi otoczyły dom, rozległy się strzały i ktoś zawiadomił, że Rico padł ofiarą zamachu. Była to tylko zmyślona historyjka, mająca na celu ułatwić mu ucieczkę. Nie było żadnego zamachu, lecz „honorowe" wyjście na zamaskowanie jego ucieczki.

Zagadka zniknięcia pułkownika wyjaśniła się już po kilku godzinach. Przy pomocy wiernych mu oficerów został przerzucony do miasteczka Monte Caseros, w północnej prowincji Corrientes, nad samą granicą z Brazylią. Znalazł tam do swej dyspozycji około stu żołnierzy z miejscowego garnizonu i butnie oświadczył: prawdziwy żołnierz odrzuca pertraktacje, prawdziwy żołnierz walczy! Kazał założyć miny na okolicznych drogach, wystawił karabiny maszynowe i ogłosił, że będzie się bronić. Na rozkaz prezydenta generał Caridi wezwał na pomoc jednostki lotnictwa i marynarki, a oddziały pancerne zaczęły otaczać miasteczko. Już po paru godzinach Rico próbował nawiązać kontakt z otaczającymi go oddziałami, ale wszelkie rokowania zostały odrzucone i wtedy, wbrew głoszonym hasłom, Rico się poddał. Przewieziono go i jego zbuntowanych oficerów helikopterami do pobliskiego więzienia garnizonowego. Na podstawie obowiązującego kodeksu wojennego Rico i inni dowódcy buntu będą skazani na śmierć albo na bezterminowe więzienie.

Zachodzi zasadnicza różnica między buntem zeszłorocznym i obecnym. Wtedy chodziło o oskarżenie 400 oficerów o zamordowanie kilku tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci, ale zaogniona sytuacja w kraju wymagała ustępstw. Na podstawie formułki o „należnym posłuszeństwie podwładnych" zwolniono z odpowiedzialności karnej 350 oficerów, a ppłk Rico zachował swój stopień wojskowy. Dziś sytuacja zmieniła się. Rico został zdegradowany i wyrzucony z wojska. Jest cywilnym zbrodniarzem, winnym zbrojnego zamachu stanu w celu wywołania rewolucji i obalenia władz konstytucyjnych.

Tym razem podniósł się krzyk całej opinii publicznej. Żąda się głowy buntownika, a syndykaty robotnicze, pozostające pod wpływem peronizmu, oraz sześć innych stronnictw opozycji domagają się wznowienia wszystkich procesów karnych przeciw 400 oficerom, oskarżonym o morderstwa i tortury. Rodolfo Perez Esquivel, argentyński laureat nagrody Nobla, wysłał z Paryża depeszę do Alfonsina: „Rozstrzelać tego bandytę!".

Piosenkarz z Quartier Latin rządzi w Peru

Trzydziestopięcioletni Alan Garcia, demokratycznie wybrany prezydent Peru, z miejsca zdobył sobie opinię publiczną. Dla

dwóch powodów: raz, że wprowadził ostre warunki dla uzdrowienia kraju, trapionego od 18 miesięcy ciągle rosnącą akcją terrorystycznej organizacji „Sendero Luminoso" czyli świetlanej ścieżki (rzekomo wiodącej do szczęścia) a dwa, że 54 % Peruwianek uważa młodego i przystojnego prezydenta za swego idealnego *namorado*. Jako student ekonomii na Sorbonie Garcia utrzymywał się w Paryżu, obchodząc wieczorami *brasseries* i kafejki Montparnassu i akompaniując sobie na gitarze śpiewał sentymentalne piosenki hiszpańskie, zbierając franki do kapelusza.

Na początku swych rządów Garcia cieszył się poparciem całego centrolewu, aż któregoś dnia zaskoczył społeczeństwo dekretem, który z dnia na dzień upaństwowił wszystkie banki, firmy maklerskie i towarzystwa ubezpieczeń. Reakcja była burzliwa i po pięciu dniach dekret był już odwołany i to w sposób niewiarygodny. Oto wbrew wszystkim zatargom między pracodawcami i syndykatami pracowniczymi, przez trzy kolejne dni Lima stała się miejscem ulicznych demonstracji, protestujących przeciw dekretowi prezydenta. Prawdopodobnie nigdy i w żadnym państwie nie zdarzyło się, aby kapitał i praca zgodnie i solidarnie wystąpiły przeciw rządowi. Federacja pracowników bankowych, kontrolowana przez partię komunistyczną, oczywiście popierała upaństworzenie, ale w Peru syndykaty bankowców i pracowników towarzystw ubezpieczeń tylko w 30 % należą do Federacji. Ulicami Limy szły więc pochody protestu. Maszerowali wspólnie urzędnicy bankowi, kasjerzy i maszynistki, prokurenci i szefowie wydziałów, portierzy i woźni, sekretarki prezesów i sprzątaczki, a wśród nich, witani oklaskami zgromadzonych tłumów, dyrektorzy banków i prezesi towarzystw ubezpieczeniowych. Po tego rodzaju nauczce Alan Garcia musiał się wyrzec swych radykalnych posunięć i włączyć się do umiarkowanego centrolewu, opierając tym razem swą popularność na solidarności Peru z innymi krajami łacińskimi w ich akcji zwalczającej politykę prezydenta Reagana w Ameryce Środkowej i w basenie Morza Karaibskiego.

Stroessner i Pinochet

W tej próbie analizy Ameryki Południowej chyba nie warto zajmować się sytuacją dwóch wysepek autorytaryzmu, gdzie nic się nie zmienia i nic, niestety, nie wskazuje na odrodzenie wolności i na powrót do życia w ludzkich warunkach.

W Paragwaju jest chyba lepiej niż w Chile. Stroessner zbudował doskonały system bezpieczeństwa: główni działacze opozycji od lat siedzą w więzieniach, a ci co pozostali na wolności nawet już nie próbują się buntować. System gra, kiedy Stroessner wyjeżdża ze swego pałacu na jakieś spotkanie. Ulice jego przejazdu są obstawione wojskiem. Jeśli takie spotkanie ma miejsce w jednym z luksusowych hoteli w Assuncion, to wszystkie drzwi i okna hotelowe są obstawiane przez policję, a żandarmi dyżurują nawet przed drzwiami każdego gościa hotelowego i poruszają się w ślad za nim. Ale Paragwaj posiada zdrową gospodarkę, ma opinię dobrego płatnika i dlatego inwestycje zagraniczne nie stanowią problemu. Jest to świetnie zorganizowane imperium, w którym możni żyją w przepychu, a biedni w pokornym milczeniu. Jednym z ważnych źródeł dochodu jest szmugiel broni. Paragwaj zakupuje najnowocześniejszą broń, głównie produkcji amerykańskiej i izraelskiej, i szmugluje ją do Brazylii. Na granicy brazylijsko-paragwajskiej oczekują przemytnicy, którzy za karabiny maszynowe, rewolwery i automatyczne pistolety płacą gotówką, wyłącznie w dolarach. Ta broń jest przeznaczona dla „ochrony" handlarzy kokainą, z którymi walczy policja brazylijska. Kokainę przerzuca się masowo do Brazylii z Paragwaju i z Boliwii, a lotnisko międzynarodowe w Sao Paulo jest jednym z wielkich centrów przerzutu narkotyków do Stanów Zjednoczonych i do zachodniej Europy. Tak więc Stany Zjednoczone prowadzą rozpaczliwą walkę ze szmuglem kokainy, prowadzonym za pieniądze amerykańskie i organizowanym przez przemytników chronionych przez *pistoleiros* uzbrojonych w kupowaną za dolary broń amerykańską.

Inna natomiast jest sytuacja w Chile. Naród nigdy nie pogodził się z dyktaturą wojska. Inteligentni, wykształceni i kulturalni Chilijczycy nie potrafią się zmusić do współżycia z reżymem zupaków. Opór trwa, bunt rośnie, niedawna pielgrzymka Ojca Świętego dała tego najlepszy przykład. Niestety, rozbita opozycja, podzielona na liberalnych demokratów i socjaldemokratów z jednej strony i na skrajną radykalną lewicę z drugiej, paraliżuje wszelką akcję i dodaje sił Pinochetowi.

Jedynie Boliwia przezwyciężyła kryzys

Boliwia utraciła swą złośliwą dotąd nazwę południowoamerykańskiej republikiety, gdzie wszystko kończyło się niepowodzeniem, nieudolnością i bankructwem. Przestała być wyśmiewanym i pogardzanym krajem, rządzonym przez 192 kolejne rządy w swej 200-letniej historii.

Dziś Boliwia cieszy się powszechnym szacunkiem, jako godny naśladowania przykład dla wszystkich krajów Ameryki Południowej. Po wielu latach rządów wojskowych, kiedy skorumpowani generałowie zajmowali podwójne stanowiska prezydentów republiki i szefów handlu kokainą, okradając skarb państwa na

setki milionów dolarów rocznie, prezydent Victor Paz Estensoro, który w swym życiorysie posiada dwadzieścia lat wygnania z kraju, potrafił przemienić Boliwię w świetnie rozwijające się przedsiębiorstwo handlowe, pozostające w rękach prywatnej inicjatywy.

Jeszcze dwa lata temu inflacja wynosiła tam 24.000 % rocznie, a ceny wzrastały już nie codziennie, ale dosłownie co godzinę: gospodynie idąc na zakupy musiały zabierać ze sobą walizki z setkami milionów pesos — dziś inflacja skurczyła się do 1,6 % miesięcznie. Prawdziwa rewolucja przeprowadzona przez rząd prezydenta Estensoro zdewaluowała peso i po skreśleniu sześciu zer ustanowiła nową jednostkę walutową pod nazwą „boliviano". Obcięto szalone wydatki rządowe: kopalnie cyny, największego bogactwa kraju, przeszły w ręce prywatnych przedsiębiorstw; zniesiona została kontrola cen, wprowadzając wolny handel na podstawach rynkowych; zniesiona została również ustawa kontrolująca wynagrodzenia pracowników, a na jej miejsce wprowadzono indywidualne umowy między pracodawcami i pracownikami, a obrót walutami zagranicznymi został oparty o notowania giełdowe. Wykonawcą tego planu jest minister planowania Gonzalo Sanchez de Lozado, który wytłumaczył, że uzdrowienie ekonomii zależy w 90 % od psychologów i tylko w 10 % od techników. Parafrazując słowa Churchilla, że wojna jest sprawą zbyt poważną, aby ją oddawać w ręce wojskowych, Sanchez de Lozado stwierdził, że zawodowi ekonomiści są pełni teorii i formułek wyuczonych na uniwersytetach, które jednak inaczej wyglądają „w praniu". Minister mówi po hiszpańsku z amerykańskim akcentem, jako że spędził 20 lat w Stanach Zjednoczonych i jest dumny, że na uniwersytecie w Chicago ukończył filozofię, a nie ekonomię.

Ale najważniejszym, choć zapewne najbardziej kontrowersyjnym posunięciem tej prawdziwej rewolucji była legalizacja uprawy liści koki i handlu kokainą. Kokaina była zawsze czymś złym, o plantacjach i laboratoriach nikt nie chciał mówić głośno. Zrywając z hipokryzją, produkcja i handel narkotykami zostały włączone do ekonomii państwowej, wzbogacając skarb państwa dziesiątkami milionów „marko-dolarów". W tym celu nowy dekret zabronił urzędom skarbowym badania źródeł bogacenia się obywateli. Nikt nie jest więcej obowiązany do deklarowania źródeł swych zarobków. W ten sposób zahamowano ucieczkę nielegalnie zarobionych dolarów, które przerzucano za granicę w setkach milionów. Obecnie giełda w La Paz codziennie ogłasza kursy dewiz zagranicznych i okazało się, że wielu dotychczasowych handlarzy narkotykami odeszło od czarnego rynku i zaczęło deponować pieniądze w banku państwa, który płaci za depozyty 18 % rocznie. Rezerwy walutowe zaczęły rosnąć i powoli zanikał deficyt rządowy.

Należy wyjaśnić stronę moralną tego planu. Oto w Boliwii śmiertelność noworodków wynosi 14 %, analfabeci stanowią 42 % ludności, przeciętny wiek człowieka wynosi 50 lat, a przeciętny zarobek wynosi 25 dolarów rocznie. W takich warunkach uprawa koki i handel kokainą są nie do zwalczenia, bo kokaina jest naturalnym wynikiem nędzy. Takie było przynajmniej stanowisko ministra spraw wewnętrznych Juana Carlosa Durana. Rolnicy nie mają po prostu siły odrzucać propozycji handlarzy, którzy im ofiarują po 12 tysięcy dolarów rocznie za każdy hektar uprawy koki, kiedy uprawa drzew cytrynowych nie daje więcej niż 500 dolarów rocznie. Minister Duran przypomina, że uprawa koki jest w Boliwii częścią kultury narodowej i nie jest uważana za przestępstwo. Od najdawniejszych czasów Inków koka jest uważana za roślinę świętą, a żucie jej liści pozwala zapomnieć o głodzie, łagodzi cierpienia i leczy choroby związane z wysokością kraju. W dobrych hotelach w La Paz, położonym na wysokości 4 tysięcy metrów, gościom podaje się napój z koki celem lepszej aklimatyzacji.

Czy legalizacja handlu kokainą jest zbrodnią? Minister Sanchez de Lozado ironicznie przypomina, że robotnicy w fabrykach broni w innych krajach jakoś nie czują żadnych wyrzutów sumienia, choć broń zabija więcej ludzi niż liść koki. Dlatego walka z kokainą jest beznadziejna i sytuacja mogłaby się jedynie zmienić w wypadku braku rynków zbytu. Bo wtedy rolnicy przestaliby uprawiać kokę, a handlarze przestaliby zarabiać miliony na eksporcie kokainy. Ale na to się nie zanosi i dlatego próby walki przez palenie upraw i niszczenie laboratoriów, ukrytych w głębokich lasach, nie przynoszą rezultatów. Młodzi oficerowie chętnie płacą swym dowódcom po trzy tysiące dolarów łapówki za odkomenderowanie ich do dżungli, gdzie byle porucznik może łatwo zarobić kilkadziesiąt tysięcy dolarów tylko za to, aby udawał, że nie widzi co się dzieje pod jego nosem.

Rząd uważa, że nowy plan jest słuszny i realny, a wysiłki w zwalczaniu dramatu narkotyków należy całkowicie przerzucić na siły represji w krajach konsumpcji. *It's their business* — śmieje się minister Gonzalo Sanchez de Lozado.

Kolumbia w nieustannych konwulsjach

W mieście Medellin, przed luksusową rezydencją, wybuchnął nad ranem 20-kilowy ładunek dynamitu w samochodzie, zaparkowanym przy bramie domu. Eksplozja zabiła dwóch policjantów, ciężko poraniła pięć innych osób, wybiła 4-metrowy wyłom w murze domu i uszkodziła sąsiednie budynki. Ponadto ujawniła

dwa fakty w życiu Kolumbii. Raz, że do zamachu użyto samochodu, ulubionego instrumentu terrorystów w Libanie, światowej stolicy gwałtów politycznych, wprowadzając ten system do Medellin, światowej stolicy kokainy. Dwa, że celem zamachu byli żona i syn Pabla Escobara, szefa jednej z trzech najpotężniejszych grup handlarzy narkotykami. Sędziowie i ministrowie, wojskowi i policjanci, członkowie ultra-lewicowej organizacji terrorystycznej M-19, czy też bogaci przedsiębiorcy — mało z nich może się uratować przed gwałtami, jedynie baronowie kokainy, rozporządzający miliardami dolarów i żyjący pod ochroną całych batalionów uzbrojonych agentów, są nadal nietykalni. Przy okazji zamachu wyszły na jaw otoczone tajemnicą szczegóły z życia Pabla Escobara, którego majątek jest oceniany na trzy miliardy dolarów i który figuruje na liście amerykańskiego magazynu *Fortune* jako jeden z dwudziestu najbogatszych ludzi świata. W jego zrujnowanym po wybuchu mieszkaniu znaleziono wiele cennych dzieł sztuki, obrazów, rzeźb i porcelany, jak również dwieście torebek i par pantofli Madame Marii Ofelii, małżonki kokainowego magnata. Mieszkanie było opuszczone.

Na razie nieznani są jeszcze autorzy zamachu. Pablo Escobar, cieszący się ogólnym szacunkiem i tytułem „Don Pablo Dobry" ze względu na jego szczodre ofiary na cele filantropijne, mógł paść ofiarą konkurencyjnej grupy „Gama". W mafii handlarzy kokainą często są praktykowane wzajemne napady. Pod hasłem oczyszczania kraju z handlu narkotykami likwiduje się organizacje konkurencyjne, a przy tej okazji zabija się sędziów, adwokatów, prokuratorów i policjantów, którzy okazują się zbyt gorliwi w walce z narkotykami. W ostatnich paru latach zamordowano sześćdziesięciu sędziów i nawet poprzedni prezydent sądu najwyższego musiał się ratować ucieczką do Ekwadoru.

Od czasu do czasu, gdy mafia baronów kokainy przekracza granice, wzburzenie opinii doprowadza do reakcji władz. Kiedy w roku 1986 został zamordowany Guilermo Cano, wydawca dziennika *El Espectador,* policja schwytała Carlosa Rivasa, wielbiciela Adolfa Hitlera. Dzielił on władzę z Pablo Escobarem. Odstawiono go błyskawicznie samolotem do Stanów Zjednoczonych, gdzie jest sądzony za długą listę zbrodni. Ale to były wyjątki. Na ogół władze państwowe, żyjące w nieustannym strachu o swe życie, starają się zamykać oczy. Natomiast władze amerykańskie, walczące z importem kokainy, rozpoczęły w tym roku ostrą walkę. Wszyscy przybywający tu obywatele Kolumbii są poddawani ścisłej rewizji osobistej, a towary kolumbijskie przechodzą dokładną rewizję, skrzynia po skrzyni, sztuka po sztuce. Ale prezydent Kolumbii, Virgilio Barco, uniósł się honorem i zwrócił się do Organizacji Państw Amerykańskich (OAS) z prośbą

o interwencję w sprawie dyskryminacji niewinnych obywateli jego kraju.

W tej atmosferze walk wszystkich przeciw wszystkim górę bierze tendencja zwalania całej winy za handel narkotykami na amerykańskich konsumentów, a nie na rodzimych producentów (*vide* przykład Boliwii). A tymczasem ultra-lewicowi terroryści mordują swych rzekomych przeciwników, a ultra-prawicowe szwadrony śmierci, finansowane głównie przez baronów kokainy, mordują terrorystów, rozszerzając ostatnio swój program na żebraków, złodziei i prostytutki. Prefekt miasta Medellin, Jaramillo Gomes, rozłożył bezradnie ręce: „Straciliśmy zdolność samoobrony. Jest to najwyższy kryzys ludzkich wartości".

Katastrofy — kompleksy — zagrożenia

Pisząc o Ameryce Południowej, trzeba w pierwszym rzędzie zanalizować Argentynę, jako kraj najbardziej rozwinięty i najbardziej w swych obyczajach europejski, oraz Brazylię, kraj największy i najbogatszy. Te dwa kraje dają chyba najbardziej autentyczny obraz tego kontynentu. Oczywiście istnieją inne niewymienione tu kraje, które nie zmieniają struktury tej części świata. Wiadomo, że Kolumbia ma najstarszą organizację terrorystyczną M-19, która od 35 lat zatruwa życie kraju. Wenezuela i Ekwador mają przywilej własnej nafty, co im zapewnia pewien dobrobyt, choć nie eliminuje konfliktów społecznych, a trzy Gujany, Francuska, Brytyjska i dawna Holenderska, dziś nazywająca się Surrinam, nie wnoszą większych poprawek.

Wszędzie rozgrywają się dramaty nie do pomyślenia w innych częściach świata. Kiedy katastrofa nuklearna w Goianii, stolicy stanu Goiaz, spowodowała śmierć sześciu osób i zakażenie 235 innych, władze starały się wyjaśnić, że był to wypadek mały w porównaniu z katastrofą w Czarnobylu. Nikt jednak nie wytłumaczył, że ofiary Czarnobylu to ludzie, którzy tam pracowali i dlatego musieli się liczyć z pewnym ryzykiem, podczas gdy w Goianii katastrofa była spowodowana przez dwóch ulicznych śmieciarzy, którzy w opuszczonym domku miejscowego instytutu radioterapii znaleźli bryłę ołowiu, którą sprzedali w składzie starego żelastwa i po rozbiciu znaleźli błyszczące niebieskie światełko. Ale nie był to brylant, lecz wysoce radioaktywny cez-137. Trudno dać wiarę, że epoce dzisiejszej technologii nuklearnej katastrofę mogli spowodować dwaj śmieciarze.

Dr José Goldenberg, b. profesor fizyki nuklearnej na uniwersytetach w Stanford i w Paryżu, a dziś rektor uniwersytetu w Sao Paulo, gwałtownie zaatakował rząd za jego lekkomyślną poli-

tykę atomową. W nadmorskiej miejscowości Angrados-Reis, w odległości 100 kilometrów od Rio de Janeiro, są zainstalowane dwa reaktory atomowe, na które wydano już ponad dwa miliardy dolarów, ale które pozostają w nieustannych reperacjach. Angrados-Reis jest terenem luksusu, ze wspaniałymi hotelami, ekskluzywnymi klubami sportowymi, z przystanią dla jachtów i prywatnych łodzi motorowych i z wysepkami, na których ich właściciele mają korty tenisowe i lądowiska dla awionetek. Zdaniem dra Goldenberga, w przypadku katastrofy nikt się nie uratuje. Nie istnieje żaden plan ewakuacji i 50 tysięcy ludzi zginie w panice ucieczki przez jedyną zatłoczoną szosę.

Trzynaście krajów Ameryki Południowej nigdy nie umiało znaleźć wspólnej platformy. Liczne próby, narady i projekty sformowania wspólnego rynku nie doprowadziły do konkretnych wyników. Istnieje jeden jedyny temat, który łączy jednak wszystkich. Jest nim głęboko zakorzeniony kompleks antyamerykański. Jeszcze niedawno odbyło się w meksykańskim Acapulco spotkanie ośmiu prezydentów celem znalezienia ratunku na przecięcie wrzodu, jaki w postaci 400-miliardowego długu zagranicznego — w dolarach — gnębi Latynosów. Prezydenci nie doszli do żadnego porozumienia, więc z wyraźną satysfakcją zajęli się trudnościami rządu prezydenta Reagana. Ten kompleks wcale nie ogranicza się do lewicy i nie tylko komuniści, ale również nacjonaliści cierpią na tę chorobę. Zresztą komuniści nie reprezentują na tym kontynencie żadnego poważnego niebezpieczeństwa. W walce z dyktaturą Pinocheta uniemożliwiają jakąkolwiek wspólną akcję opozycji. W Peru komuniści są reprezentowani jedynie przez organizacje terrorystyczne, a w Brazylii, gdzie zawsze istniało co najmniej pięć różnych partii komunistycznych, na placu pozostały tylko dwie, klasyczna prosowiecka, która na ogólną liczbę 559 członków Konstytuanty posiada zaledwie 3 posłów, oraz proalbańska, która ma aż pięciu posłów. Patrioci proalbańscy nie mają zielonego pojęcia o tym kraju, w pełnej izolacji od świata wyznają stalinizm bez Stalina. Największą ilość głosów w wyborach otrzymała 29-letnia lekarka, Jandira Fegnali, która nie umiała odpowiedzieć na żadne moje pytanie dotyczące Albanii, ale zyskała ogólną sympatię dla tego kraju, jako seksualny symbol plaży Copacabany. Piękna, zgrabna i oszczędna w wymiarach swego bikini, Jandira porwała całą męską młodzież pływaków i surfistów i dzięki ich poparciu wygrała wybory. Jandira przeżyła jeszcze inny sukces, kiedy to mogła przedstawić prezydentowi republiki pierwszego ambasadora Albanii, akredytowanego jednocześnie w Argentynie i w Brazylii, który na konferencji prasowej wytłumaczył, dlaczego jego kraj żyje w odosobnieniu: Chcieliśmy uniknąć ataków Chruszczowa, perfidii Chińczyków, nacisków marszałka Tito i amerykańskich pogróżek!

Akredytacja albańskiego ambasadora w dwóch głównych krajach kontynentu wchodzi w skład polityki „na złość" Stanom Zjednoczonym. Tak jak coraz wyraźniejsze próby nawiązania stosunków dyplomatycznych z Kubą i solidarna obrona Nikaragui przed naciskami Białego Domu. Kiedy prezydent Reagan nazwał contrasów, dowodzonych przez ludzi z dawnej gwardii dyktatora Somozy, „obrońcami demokratycznych wolności", we wszystkich krajach łacińskich wybuchł zgodny krzyk oburzenia.

W ostatnich czasach ten antyamerykański kompleks wzmógł się jeszcze bardziej, kiedy prasa południowoamerykańska zajęła się analizą układu Reagan - Gorbaczow na waszyngtońskim szczycie. Do wszystkich komentarzy i krytyk doszedł nowy argument, opublikowany w poważnym dzienniku *Jornal do Brasil* w Rio de Janeiro. Rewelacją tego artykułu jest udowodnienie, że układ w Waszyngtonie może doprowadzić do dramatycznych następstw na wodach Południowego Atlantyku, gdzie można się spodziewać wielkiej akcji łodzi podwodnych, poruszanych energią atomową i zaopatrzonych w dalekosiężne rakiety nuklearne.

Choć Południowy Atlantyk jest drugorzędnym obiektem w ewentualnym konflikcie międzynarodowym, nie oznacza to jednak, że zostanie oszczędzony. W rzeczywistości już obecnie jest on zbrojony przez obie strony. W samym środku oceanu, w mniej więcej równej odległości od Brazylii i brzegów Afryki leży wyspa Wniebowstąpienia (Ascention Island), należąca do Wielkiej Brytanii, ale oddana Stanom Zjednoczonym dla używania jej jako bazy morskiej. Z jednej strony oceanu, w Angoli, stacjonują dywizje Fidela Castro, a z drugiej strony stoi w pogotowiu garnizon angielski na wyspach Falklandzkich. Zapalna sytuacja istnieje nie tylko w Angoli, ale również w Namibii i w Afryce Południowej.

◆

Takie są dramaty, kompleksy i zagrożenia 250 milionów mieszkańców tego kontynentu. Mimo niesprawiedliwości społecznej, megalomanii narodowej i niespodziewanych konfliktów wierzą, że „jakoś to będzie". Wyznają doktrynę nie brania zbyt do serca rosnących trudności jako najlepszej recepty na życie w tropikalnym upale. W swym własnym przekonaniu uważają się za ludzi szczęśliwych, którym piłka nożna, taniec i piosenka rozjaśniają twarze.

Maciej FELDHUZEN

Pisane w Rio de Janeiro, w styczniu 1988 roku

Widziane z Brukseli

SOŁDATY! DWADZIEŚCIA TRZY WIEKI NA WAS PATRZĄ!!!

Pytanie za 25.000 dolarów US. Kto i kiedy powiedział te słowa?:

„Jestem bardzo rad, że mogę przyjąć na Kremlu przedstawiciela narodu afgańskiego, walczącego z imperialistycznym niebezpieczeństwem... Nasza przyjaźń powinna nie tylko wzmocnić nasze stosunki dobrosąsiedzkie, ale także naszą wspólną walkę z imperialistycznym zagrożeniem, które utrudnia wolny i pokojowy rozwój narodu afgańskiego... Rządy afgański i sowiecki mają na Wschodzie wspólne interesy i nie ma takich kwestii, które mogłyby naruszyć naszą przyjaźń lub też wywołać nieporozumienia... Wy macie swój rząd, my mamy nasz własny. Wy macie wasze poglądy, my — nasze. W imię dobra obu naszych narodów, Rosja pozostanie na zawsze oddanym przyjacielem wielkiego państwa afgańskiego...".

Odpowiedzi może być kilka.

Przed rokiem 1973 mógł te słowa wypowiedzieć Stalin, Chruszczow czy Breżniew, przyjmując na Kremlu króla Afganistanu Mohameda Zahira.

Potem, przez 5 lat, mógł tak przemawiać Breżniew do neutralnego, ale przyjaznego Sowietom księcia Mohameda Dauda, który obalił był swego króla (i szwagra) Zahira. Zahir, na szczęście, był wtedy na Zachodzie i tylko dzięki temu jeszcze żyje. W Rzymie. Jego następcom powiodło się gorzej.

Na Dauda przyszła kolej w kwietniu 1978. Książę zginął w czasie komunistycznego puczu pod ruinami swego pałacu w Kabulu. Jego morderca i następca, komunistyczny prezydent Taraki, mógł z kolei usłyszeć te słowa od Breżniewa w czasie jednej ze swych wizyt w Moskwie. Mógł niedługo, bo tylko do września 1979, kiedy on także, w kilka godzin po powrocie z ZSSR, zginął w pałacu w Kabulu od kuli swego następcy, także komunistycznego, ale z innej frakcji, prezydenta Amina.

Choć Amin też nie trwał długo, bo tylko kilka miesięcy, ale on także miał możliwość wysłuchania naszej wstępnej tyrady o przyjaźni afgańsko-sowieckiej, bowiem i on bywał na Kremlu. Bywał tylko do grudnia 1979, kiedy i na niego przyszła kolej. Padł od kuli, która otworzyła drogę jego następcy, też prezydenta i też komunisty, Babraka Karmala. Ten miał wyjątkowe podwójne szczęście: mógł był wysłuchać tych elegii od kilku kolejnych szefów KPZS: Breżniewa, Andropowa, Czernienki i Gorbaczowa i — choć posadę stracił w 1987 — to — wielka premiera — uratował życie. Jego następca (na razie żyje) nowy prezydent Nadżibulah, był uprzednio szefem afgańskiego KGB, także był już kilka

razy w Moskwie i mógł być przyjęty tymi samymi słowy przez obecnego lokatora Kremla.

Wybór więc jest bogaty. *Faites vos jeux!* Nikt nie wie? Nikt nie woła? Trudno. Poprawna odpowiedź brzmi: słowa cytowane na wstępie należą do Lenina, wypowiedziane zostały w październiku 1919 roku do ambasadora Afganistanu Wali Khana, który zjawił się na Kremlu, aby podziękować za pomoc moralną i materialną, jaką Rosja niosła jego krajowi. Od tego czasu tekst Lenina w różnych wersjach był naturalnie regularnie powtarzany na użytek kolejno ginących prezydentów Afganistanu.

Tekst się nie zmienia, ale w grudniu 1979 roku nastąpiła zmiana jakościowa. Kiedy mianowicie okazało się, że komunistyczny przeszczep się nie przyjął i że w wyniku serii puczów, morderstw i ślepej komunizacji trybalnego Afganistanu kraj ten wpadł w anarchię, a wojna domowa pociągnęła już 300.000 ofiar w ludziach, tekst Lenina o „stosunkach dobrosąsiedzkich" i o „dobru obu narodów" został poparty przez 120.000 żołnierzy Armii Czerwonej, którzy jako „ograniczony kontyngent sił sowieckich czasowo przebywających w Afganistanie" zostali przerzuceni mostem powietrznym do Kabulu w odpowiedzi na — jak to obliczył Gorbaczow — „jedenaście wezwań rządu afgańskiego".

Śladami Dżyngis Chana

Wszystko wydawało się wówczas proste. Breżniewowi zdawało się, że może także w Afganistanie zastosować swoją doktrynę o konieczności i możliwości interwencji zbrojnej ZSSR zawsze i wszędzie tam, gdzie — jak np. w Czechosłowacji w 1968 roku — Kreml uzna, że socjalizm czyli interesy ZSSR znalazły się w niebezpieczeństwie lub też, że wyjątkowa koniunktura międzynarodowa czy lokalna — jak np. w Angoli — pozwalają Rosji na bezkarne lub mało kosztowne umocnienie jej pozycji na arenie świata.

W kilka dni po desancie w Kabulu *Nowe Czasy* tak pisały: „Negować prawo do takiej pomocy byłoby wprost dziwne. Odmowa użycia potencjału, jakim dysponują kraje socjalistyczne oznaczałaby odmowę wypełnienia naszego internacjonalistycznego obowiązku i powrót do czasów, kiedy imperializm mógł bezkarnie niszczyć wszelki ruch rewolucyjny". Nasz stary znajomy Borys Ponomariow dał wtedy, a jakże, wykładnię ideologiczną. „Gdziekolwiek i kiedykolwiek powieje sztandar walki o wolność i niepodległość — powiedział szef departamentu zagranicznego KC KPZS — tam narody mogą liczyć na naszą pomoc i solidarność". A ówczesny minister Obrony Ustinow tak orzekł: „Zgodnie z jego internacjonalistycznym obowiązkiem, Związek Sowiecki zawsze udzielał i będzie udzielał braterskiej pomocy narodom walczącym o niepodległość i rewolucyjne zdobycze". Kropkę nad „i" postawił osobiście Breżniew. Dziesięć miesięcy po inwazji wódz powiedział: „Proces rewolucyjny w Afganistanie jest nieodwracalny".

HOWGH, jak mawiał Winetou u Karola Maya.

Ale Afganistan, to nie Czechosłowacja. Na pozór wszystko się zgadzało: i socjalizm, i pomoc braterska, i rewolucja, i dobro narodów. Pomyliły się Sowietom tylko geografia i historia.

Gdyby studiowali byli coś innego niż tylko „Krótki kurs WKP(b)", wiedzieliby, że 23 wieki przed ich „ograniczonym kontyngentem" połamał sobie sporo zębów na Afganistanie Aleksander Wielki. Syn Filipa Macedońskiego wtargnął na ziemie afgańskie pod koniec roku 330 przed naszą erą. Miał wtedy lat 26 (tylko 7 pozostało mu do życia, ale tego nawet on nie przewidział). Przedtem, w ciągu krótkich — jeżeli uwzględnić ówczesną technologię — 4 lat, Aleksander podbił ogromne imperium Dariusza: Egipt, Fenicję, Syrię, Palestynę, Irak, Persję. Ale na niegościnnych ziemiach (góry, klimat) obecnego Afganistanu musiał zwolnić: 2 lata wojował, zanim spacyfikował ziemie afgańskie i przebił w ten sposób drogę do Indii.

Dominacja grecka trwała dwa wieki, po czym przez następnych prawie 2.000 lat historia Afganistanu zapisała wszystkie możliwe inwazje: Partów, Hunów, Turków, Arabów, Mongołów, w tym wyjątkowo nieprzyjemny epizod, w XIII wieku, w wykonaniu Dżyngis Chana. Afganistan „nowoczesny" narodził się w połowie XIX wieku, ale wtedy Mongołów zastąpili Anglicy. Trzy wojny angielsko-afgańskie były potrzebne, zanim podpisany został w 1921 roku traktat kabulski, gwarantujący niepodległość Afganistanu. Ślepa polityka komunistów afgańskich i błędna strategia komunistów sowieckich sprawiły, że sprawa tej „niepodległości" wróciła do stanu sprzed 2.300 lat.

W chwili pisania tych słów wojna w Afganistanie trwa już ponad 8 lat, dwa razy dłużej niż druga wojna światowa. Z konfliktu regionalnego przerodziła się w konflikt międzynarodowy, wojna toczy się bowiem nie tylko między Sowietami a powstańcami, mudżachedinami, ale w mniejszym czy większym stopniu wmieszane są także Pakistan, Iran, islam, trzeci świat, a przede wszystkim USA. Wojna w Afganistanie stoi — a raczej leży — na porządku dziennym każdego szczytu, inwazja Afganistanu w grudniu 1979 położyła kres *détente* i spowodowała m.in. odmowę ratyfikacji układu SALT II; jakiś typ od-angażowania się w Afganistanie jest niezbędny, aby stosunki ZSSR - USA wróciły do stylu lat 70-tych, aby ratyfikacja układu o demontażu eurorakiet przeszła bez wstrząsów, a na tym Gorbaczowowi przede wszystkim zależy.

Afganistan a Wietnam

Wśród moich zachodnich kolegów bardzo popularne jest porównywanie Afganistanu z Wietnamem. To nieporozumienie. Różnice są zasadnicze. ZSSR ma granicę lądową z Afganistanem, podczas kiedy korpus ekspedycyjny USA walczył o 10.000 km od własnego zaplecza. Rozbici, często skłóceni, podzieleni na

szczepy, klany czy rodziny, rebelianci afgańscy to nie Wietkong, który stanowił wysoko i fachowo zorganizowane wojsko, ideologicznie spójne, świadome celów walki. No i przede wszystkim, w Afganistanie nie ma telewizji zachodniej, a zwłaszcza amerykańskiej. Wojna w Wietnamie — powiadają fachowcy od mediów — przegrana została na ulicach Waszyngtonu, zanim nie doszło do klęski w Sajgonie (to samo dotyczy zresztą Cisjordanii czy Gazy). W Afganistanie nie ma telewizji, a jeżeli jakiś dziennikarz się nielegalnie pokaże, to trafia do kryminału. Świat, który „nie widzi", nie przejmuje się dramatem Afganów. Dlatego Gorbaczow, który od 1985, na własny rachunek, niszczy Afganistan i Afganów, mógł zostać „osobistością roku" i kandydatem do pokojowej nagrody Nobla, a Reagan, który na oczach telewizji pomaga — coraz mniej zresztą — powstańcom w Nikaragui, uważany jest przez wielu za zbrodniarza wojennego.

Jeżeli jednak między Wietnamem a Afganistanem zachodzą zasadnicze różnice, to kraje te mają jednak coś ze sobą wspólnego: lekcję historii. Z obu wojen wniosek jest identyczny, ten mianowicie, że łatwiej jest się wplątać w wojnę tzw. egzotyczną, niż się z niej wyplątać. Gorbaczow rozumiał od początku, że Afganistan stanowił jeden z największych błędów Breżniewa i jeden z najbardziej nieprzyjemnych elementów „bilansu otwarcia" jego kadencji. Gorbaczow rozumiał, że błąd ten polegał nie tyle na bezpośredniej interwencji zbrojnej ZSSR poza strefą Jałty, co na interwencji w strefie psychologicznej, w środowisku, w którym w historycznie rozumnej perspektywie przeszczep komunistyczny będzie stale odrzucany. Że koszty materialne, ale przede wszystkim polityczne, obecności sowieckiej w Afganistanie będą stale rosnąć, że należy raka Afganistanu wyciąć i wypalić ze zdrowego ciała sowieckiego.

Kiedy Gorbaczow doszedł do władzy, było już wiadomo, że próby rozwiązania kwestii Afganistanu przez zagłodzenie, niszczenie zasiewów, wywożenie rezerw — na zasadzie modelu Ukrainy wyniszczonej przez Stalina — czy też przez wywózkę dzieci, indoktrynację młodzieży, wymordowanie elity — zgodnie z modelem Katynia — się nie udały. Nie rezygnując wcale z „osiągnięć" swych poprzedników, Gorbaczow podejmuje więc podwójną próbę wyjścia z impasu.

Niedługo po jego wejściu na Kreml ruszają dwie wielkie ofensywy, wojskowa i polityczna. Akcja czysto wojskowa szybko się wypaliła. Akcja polityczna trwała dłużej, była perfidna, ale też nieskuteczna. Proponowała formułę „porozumienia narodowego", na zasadzie której Gorbaczow usunął skompromitowanego Babraka, postawił na jego miejscu Nadżibulaha, dał do zrozumienia, że były król miałby określoną rolę do odegrania i że islam będzie religią państwową. Zaproponował, krótko mówiąc, coś w rodzaju afgańskiego PRON-u. Formuła ta odniosła taki skutek jak w Polsce: dla wszystkich stało się jasne, że chodzi o manewr mający zapewnić partii i Sowietom kontrolę nad rządem, jakikolwiek byłby jego kolor, charakter i skład. Obie akcje się nie udały. Sto miesięcy po inwazji rak afgański toczył organizm

sowiecki bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Trzeba było zacząć szukać dalej i gdzie indziej.

I tak pojawił się wzruszający (dla Zachodu) krzyk rozpaczy Gorbaczowa na temat „krwawiącej rany" afgańskiej i jego nieodwracalnej decyzji doprowadzenia do „rozwiązania politycznego". Łatwo powiedzieć, zrealizować trudniej.

Koncepcja wycofania się ZSSR z Afganistanu jest bardzo skomplikowana. Decyzja Gorbaczowa nie wywodzi się z przesłanek humanitarnych (śmiechu warte), ekonomicznych czy ideologicznych, a wynika z klęski strategii sowieckiej w terenie. Nie wątpię, że Rosjanie chcą się z Afganistanu wycofać. Zaraz zobaczymy dlaczego. Ale nie wątpię także, że się z Afganistanu tak naprawdę wycofać nie mogą. I chcieliby i boją się.

Kwestia Afganistanu stanowi bardzo klasyczny i podstawowy *study case* z politologii współczesnej; choć naturalnie w polityce wszystko jest możliwe, zwłaszcza w warunkach kilkutygodniowego dystansu, jaki dzieli pisanie artykułu od chwili jego druku w *Kulturze*, gotów jestem zaryzykować egzamin z tego przedmiotu.

Dlaczego by chcieli...?

1) *Bo dostają w skórę.* Z wojskowego punktu widzenia sytuacja jest beznadziejna. Oczywiście, mudżahedini nie mogą wygrać wojny wprost z superpotęgą sowiecką. Ale Sowieci też nie mogą. Mogliby, naturalnie, ale według obliczeń fachowców, musieliby wysłać do Afganistanu 10 razy więcej wojska, zmienić uzbrojenie i sposób walki, przejść do masowej eksterminacji, co jest dziś dla Gorbaczowa niemożliwe gospodarczo i politycznie, tym bardziej, że wcale nie ma pewności (spytajcie Brońskiego) czy i wtedy mogliby kontrolować rzeczywiście sytuację. Zresztą, po to aby zlikwidować partyzantkę, Rosjanie musieliby zniszczyć ich zaplecze, to znaczy destabilizować Pakistan. Rosjanie prawdopodobnie nie mieliby nic przeciwko temu, zresztą figuruje to prawdopodobnie w jakimś sztabowym scenariuszu sowieckim, ale na razie perspektywa taka nie wchodzi w grę.

2) *Bo jest za dużo pogrzebów.* Bilans jest ciężki. Według nieoficjalnych, naturalnie, obliczeń w Afganistanie zginęło ok. 10.000 żołnierzy sowieckich. Nie jest to dużo jak na wielomilionowy kraj i armię, nawet jeżeli dodać do tego 30.000 rannych. Ale wojna afgańska jest bardzo niepopularna. To było jasne już dawno, ale teraz *głasnost'* sprawiła, że Afganistan przestał być tematem tabu. Gazety drukują listy, które nie kryją głębokiej antypatii do ekspedycji afgańskiej. Matka jednego z weteranów, a może już poległych, napisała, a gazeta wydrukowała, że wojna w Afganistanie „to nie Wielka Wojna Patriotyczna, kiedy nasi ludzie ginęli broniąc ojczyzny". 15-minutowy film dokumentalny „Powrót" w reżyserii Sergiusza Sidorenki składa się z wywiadów z weteranami Afganistanu. Jeden z rozmówców protestuje przeciwko porównywaniu ich z żołnierzami drugiej wojny światowej: oni, powiada, bili się z najeźdźcą, nam kazano zabijać ludzi, którzy bronili własnej ojczyzny.

Ludzie sowieccy nie rozumieją, po co ich przywódcy zapchali się w Afganistan. Interwencja, gdyby np. przyszło znowu bronić socjalizmu i imperium, w Polsce czy w Rumunii, to coś innego, ale w Afganistanie?! A ponadto wojna afgańska jest źródłem demoralizacji, dezercji (nie tylko żołnierzy z sowieckich republik azjatyckich czy Afganów — nawet brat Nadżibulaha „przeszedł na stronę wroga"), wzrostu spożycia narkotyków, czarnego rynku handlu bronią, nie mówiąc już o czarnym rynku w ogóle.

3) *Bo drogo kosztuje.* Nikt nie zna pozycji w budżecie przeznaczonej na wojnę w Afganistanie. Musi być kolosalna. Amerykanie przyznają się do wydania w 1987 roku ponad 600 milionów dolarów na pomoc dla „kombatantów wolności" w Afganistanie. W istocie suma ta musi być wyższa. A przecież USA nie mają żołnierzy w Afganistanie. Można sobie wyobrazić koszty ZSSR, który utrzymuje swój korpus ekspedycyjny i ponosi ciężar właściwie całej wojny. I to w czasie, kiedy *pieriestrojka* ciągle jest za rogiem, sklepy ciągle puste, a ludzie sowieccy zamiast radować się *głasnostią* martwią się nieuchronnymi podwyżkami cen i cieniem nadchodzącego bezrobocia.

4) *Bo cena polityczna jest wysoka.* Afganistan rujnuje, a co najmniej utrudnia realizację wszystkich ważniejszych inicjatyw dyplomatycznych Gorbaczowa. Jego uśmiechy np. pod adresem Chin — a to dla niego ważne — rozbijają się przede wszystkim o afgańskie góry. Jedyna okazja, kiedy ZSSR jest naprawdę w izolacji w ONZ, to coroczne głosowanie nad rezolucją w sprawie Afganistanu. Oczywiście, Afganistan to nie Izrael, który nie schodzi ani z ekranów telewizji, ani z porządku dnia sesji ONZ, ale choć i rzadka i w istocie mało bolesna, nie jest to dla ZSSR chwila przyjemna.

Przede wszystkim jednak jest to test stosunków z USA, egzamin z jego wiarygodności jako partnera. Wiarygodność w ogóle nie stanowi dla ZSSR jakiegoś wielkiego problemu moralnego, ale akurat teraz, kiedy negocjuje rozbrojenie i kiedy stawką jest dopasowanie, przy współpracy i dobrej woli USA, budżetu wojskowego Rosji do jej możliwości ekonomicznych, czynnik „wiarygodność" ma swoje znaczenie, zwłaszcza w odniesieniu do zachodniej opinii publicznej, tak czułej na czar Miszki i Raissy.

W dniu przyjazdu do Waszyngtonu na szczyt z Reaganem w grudniu 1987, Gorbaczow oświadczył: „Decyzja polityczna wycofania się z Afganistanu już zapadła". Kombinacja była jasna: Gorbaczow prosił Amerykanów o pomoc w znalezieniu formuły, która by mu pozwoliła wycofać wojska z Afganistanu bez utraty najważniejszych strategicznych zysków na miejscu. Gorbaczow proponuje więc (stan na 11 lutego, kiedy piszę te słowa) wycofanie wojsk sowieckich z Afganistanu, które rozpoczęłoby się w dniu 15 maja 1988, pod jednym (pozornie) tylko warunkiem, tym mianowicie, że negocjacje prowadzone w Genewie za pośrednic-

twem ONZ-tu między rządem w Kabulu a rządem Pakistanu (wprost obie wysokie strony ze sobą nie rozmawiają) zakończą się podpisaniem porozumienia najpóźniej 15 marca. Gorbaczow dodaje, że ewakuacja korpusu ekspedycyjnego, która miałaby trwać 10 miesięcy, mogłaby się rozpocząć wcześniej, jeżeli negocjacje w Genewie zakończą się przed 15 marca. Zapomniał tylko powiedzieć, że ewakuacja rozpocznie się zapewne później, jeżeli negocjacje w Genewie nieco się opóźnią.

W chwili kiedy ten numer *Kultury* dojdzie do czytelnika, będzie już wiadomo, jak dalece scenariusz wytrzymał próbę życia. Już jednak dziś widać, że 2 miesiące „rozziewu" między podpisaniem układu a początkiem ewakuacji (gdyby do niej doszło) potrzebne są Gorbaczowowi na uniknięcie „Berezyny", na zachowanie pozorów siły i godności. Przede wszystkim chodzi o to, aby zanim on zacznie się wycofywać, albo przynajmniej równocześnie z początkiem ewakuacji, Amerykanie zaprzestali udzielania pomocy powstańcom, wstrzymali dostawy broni, a przede wszystkim ręcznych rakiet przeciwlotniczych „Stinger" (i brytyjskich *blow-pipes*), które — według świadków — zwalają jeden helikopter dziennie i zlikwidowały sens sowieckiej dominacji afgańskiego nieba.

Plan sowiecki okazał się mniej naiwny niż przypuszczano. Początkowa reakcja amerykańska była zdrowa i sprowadzała się do podwójnej formuły. Po pierwsze, gdy USA gniły w Wietnamie, to Rosjanie nie ruszyli palcem, aby im pomóc. Wprost przeciwnie. Niech się więc teraz męczą sami. Po drugie, Gorbaczowa trzeba nauczyć szanować słowo. Zapowiedział wycofanie się, niech je realizuje.

Ale zaraz potem na Waszyngton spłynęła sentymentalna chmurka. Mniejsza o detale. Shultz doszedł do wniosku, że USA mogłyby rozważyć sukcesywne zmniejszanie i wstrzymywanie pomocy dla afgańskich partyzantów, zanim ZSSR zakończy ewakuację. Jeszcze ani jeden żołnierz sowiecki nie opuścił Kabulu, a Shultz już poszedł na ustępstwa pod warunkiem — jak to określił — że postępy ewakuacji byłyby „nieodwracalne". Jak on to chce stwierdzić, tego nie wiem. Nikt chyba nie wie, bo w polityce, jak wiadomo, z wyjątkiem śmierci polityków, nie ma niczego nieodwracalnego. Zwłaszcza w polityce sowieckiej.

... i dlaczego się boją?

Wiemy już mniej więcej, dlaczego Gorbaczow chciałby rzeczywiście wycofać się z wojskowej katastrofy w Afganistanie i dokonać drugiej, po zgodzie na demontaż SS 20, bardzo bolesnej rewizji polityki Breżniewa. Można teraz więc spokojnie przejść do tłumaczenia, dlaczego Gorbaczowowi będzie bardzo trudno wycofać się z Afganistanu. Znowu — powtarzam — lubię ryzyko. A więc:

1. *Bo byłaby to katastrofa wojskowa.* W obecnych warunkach ewakuacja Afganistanu oznacza wycofanie się Armii Czerwonej na zasadzie klęski wojskowej. Byłby to fakt bez precedensu. Nie, nie dlatego, że Rosjanie nigdy się znikąd nie wycofywali. To nieprawda. Rosjanie wycofywali się już z rozmaitych krajów w rozmaitych okolicznościach: z Finlandii i z Iranu, z Austrii i z Rumunii, ale nigdy w wyniku przegranej wojny, a tak przecież odczytana byłaby ewakuacja Afganistanu. To, że tak powiem, od strony moralnej czy psychologicznej Armii Czerwonej. Ale jest wszak, i to może ważniejsze, strona strategiczna. Wspaniałe bazy, radary, 30 minut lotu do ciepłych oceanów. No i nożyce nad Iranem i Pakistanem, prawie kontrola nad Zatoką Perską, krótko mówiąc stawka większa niż nafta, o czym niedawno w *Kulturze* pisałem.

2. *Bo kompromitacja polityczna.* W swojej „deklaracji afgańskiej" Gorbaczow stwierdził, że „utworzenie rządu koalicyjnego stanowi problem ściśle wewnętrzny" Afganistanu, że „tylko sami Afgańczycy są w stanie ten problem rozwiązać, nawet jeżeli należą do różnych obozów, czy nawet do obozów wrogich". Taki rząd, powiada Gorbaczow, „to nie nasza sprawa". Jeżeli słowa mają mieć jakiś sens, a Kreml ma odzyskać cień kredytu na świecie, to oznacza to, że Gorbaczow zrezygnował z jednego ze swych do niedawna jeszcze podstawowych warunków wstępnych. Tego mianowicie, że przed ewakuacją Afganistanu musi w Kabulu powstać coś w rodzaju rządu „lubelskiego", twór zaprzyjaźniony, to znaczy kontrolowany przez Moskwę. Jeżeli jednak utworzenie rządu w ewakuowanym przez Rosjan Kabulu jest sprawą samych Afganów, to — znając stosunek sił na miejscu — można przewidzieć, że jeszcze zanim pierwszy żołnierz sowiecki naprawdę się „nieodwracalnie" wycofa, rozpadnie się w gruzy komunistyczna partia afgańska.

Już dziś, w wyniku trybalnych i frakcyjnych walk i morderstw przywódców w łonie tej kompartii, poza 30.000 funkcjonariuszami afgańskiego KGB niewiele z niej zostało. Bez rosyjskich czołgów partia nie przeżyje 24 godzin. Nie przeżyje nie tylko w przenośni, ale i dosłownie. Rzeź sprawiona w Kambodży przez obłąkańców Pol Pota przypominałaby bal na Burgu u Waldheima w porównaniu z losem, jaki czekałby komunistów afgańskich po odwrocie Moskwy spod Kabulu. Oczywiście, dwa miesiące czasu i układ z Pakistanem (a pośrednio z USA) prowadzić mają w zasadzie do znalezienia gwarancji dla uniknięcia tej właśnie perspektywy. Ale jakież to gwarancje uchronić by mogły afgańskich komunistów przed furią 5 milionów uchodźców, nie mówiąc już o mudżahedinach, schodzących z gór w poszukiwaniu zemsty za wymordowanie miliona ich braci, profanację islamu, rusyfikację dzieci i ruinę kraju? Czy Gorbaczow może pozostawić afgańskich komunistów takiemu losowi? Co myśli o takiej perspektywie świat komunistyczny? I jego przywódcy? Kto wierzy w lojalność wielkiego brata?

3. *Bo perspektywa niezachęcająca.* Gorbaczow rysuje wizję neutralnego Afganistanu, ale to iluzja. Afganowie, to w większości nie szyici jak w Iranie, ale wojna i niedola dostatecznie ich

sfanatyzowały, aby można było spodziewać się utworzenia na gruzach komunistycznego Afganistanu czegoś w rodzaju państwa integrystów, przede wszystkim antykomunistycznego i antysowieckiego. Taki drugi Iran, tylko jeszcze bardziej antyrosyjski. No i nowe niebezpieczeństwo destabilizacji sowieckich republik azjatyckich. Po obu stronach granicy afgańsko-sowieckiej mieszkają ci sami Turkmeni, Tadżycy, Uzbecy. Można sobie wyobrazić efekt, jaki na muzułmańskich braciach w ZSSR wywoła zwycięstwo Afganów nad potęgą sowiecką. Islam i tak udowodnił, że nie tylko nie ma kompleksów wobec ZSSR, ale że ma większą siłę mobilizacyjną i większą dynamikę niż komunizm. Czy w tych warunkach przynależność do islamu nie będzie konkurować skutecznie z poczuciem przynależności do Związku Sowieckiego?

4. *Bo stawka jest większa niż Afganistan.* Co zrobi Moskwa, kiedy się okaże, że domino, że tak powiem, zaczyna padać ze złej strony? Ja wiem, że porównywanie sytuacji w Afganistanie z sytuacją w Europie wschodniej jest zajęciem ryzykownym i mało precyzyjnym. Ale siła wyobraźni jest większa od dyscypliny intelektualnej, zwłaszcza percepcji masowej i zwłaszcza kiedy się o niczym innym nie marzy. Otóż w tym kontekście wycofanie się z Afganistanu na zasadzie faktycznie przegranej wojny lub, mówiąc oględnie, na zasadzie niezrealizowania celów wojskowych ZSSR, byłoby wydarzeniem na skalę historyczną w perspektywie całej Europy wschodniej, byłoby równoznaczne z odwróceniem doktryny Breżniewa. Jeżeli bowiem — jak to określił sam Gorbaczow — awantura afgańska była „krwawiącą raną" i „gangreną", to dlaczego stosować inne kryteria do oceny inwazji Węgier czy Czechosłowacji? Jakkolwiek mocne byłyby logiczne i polityczne zastrzeżenia, jak wielki by nie był stopień abstrakcji tego rozumowania, nie trzeba cofać się przed stwierdzeniem, że gdyby miało dojść do wycofania się Rosjan z Afganistanu i zagwarantowania niepodległości tego kraju, stanowiłoby to, w percepcji Europy wschodniej, pierwszy w historii akt dekolonizacji imperium sowieckiego i pierwszy w historii akt desatelizacji kraju zsatelizowanego i okupowanego przez Armię Czerwoną.

Byłby to pod względem wojskowym akt na miarę powstania „Solidarności" w płaszczyźnie politycznej. Tak jak po „Solidarności", tak po ewakuacji Afganistanu świat już nigdy nie będzie taki, jak przedtem. Tak jak „Solidarność" udowodniła, że jest możliwe tworzenie stref wolności wewnątrz pancerza dyktatury, tak Afganistan udowodniłby, że jest możliwe położenie kresu sowieckiej okupacji wojskowej.

W swojej deklaracji z 9 lutego br. Gorbaczow powiada, że będzie szczęśliwy, mając w Afganistanie za sąsiada państwo „pokojowe, niepodległe, niezaangażowane, neutralne". Warto zapamiętać to zdanie. Nasuwa ono podwójne spostrzeżenie. Po pierwsze, że taki właśnie Afganistan Gorbaczow by miał, gdyby jego poprzednicy nie postanowili go na siłę uszczęśliwić komunizmem. Po drugie, że to samo szczęście posiadania „pokojowych i neutralnych" sąsiadów mógłby Gorbaczow — gdyby tylko chciał —

odczuwać w Europie. Czyżby — można by spytać naiwnie — to co jest dobre na wschodzie, psuło się na zachodzie? Rysując wizję ewakuacji Afganistanu, Gorbaczow nawet nie wspomniał o „świętym obowiązku niesienia pomocy internacjonalistycznej". Jeżeli jednak Gorbaczow istotnie zrezygnował z ratowania na siłę komunizmu w Afganistanie, to może przestanie się upierać przy ratowaniu go na siłę w Europie wschodniej?

Gorbaczow wyraził pragnienie, aby uregulowanie sprawy Afganistanu uruchomiło wielką dynamikę rozwiązywania innych konfliktów regionalnych. Popieram to pragnienie, zwłaszcza w odniesieniu do tego splotu konfliktów regionalnych, jaki stanowi obszar Europy wschodniej i środkowej.

5. *Bo byłby to jeszcze jeden koniec ideologii.* Ja wiem, że nie należy przesadzać i puszczać bez kontroli wodzy fantazji. Ale, czy chcemy czy nie, ewakuacja Afganistanu prowadziłaby do generalnego wniosku, że komunizm jest odwracalny i że aksjomat o tym, że tam gdzie się komunizm raz zainstalował, stamtąd już nie wyjdzie, jest także fałszywy. Jeżeli komunizm zawalił się w Kabulu, to dlaczego nie mógłby pewnego dnia zawalić się w Taszkiencie lub w Warszawie? *Ex Oriente lux*, powiadają. Historia rzeczywiście sprawiła, że dowód na odwracalność komunizmu będzie być może przeprowadzony przez kraj leżący w Azji. Nie ma jednak powodu sądzić, aby było to zjawisko w Europie nierealne.

Mówiąc uczenie, wyjście z Afganistanu stanowiłoby dowód, że Związek Sowiecki wszedł w fazę post-totalitarną (to ma już swoje nazwy, ale to inny temat) oraz że komunizm w imperium sowieckim jest dziś kwestią niepodległości narodowej, a nie ideologii, że to kwestia obcej okupacji, sprawa imperializmu, a nie marksizmu. Ale to także jest inny temat.

Pisząc o Afganistanie, *Wall Street Journal* zacytował słowa Louisa Duprée, „jednego — jak pisze — z najlepszych fachowców w tej dziedzinie", który ponad 20 lat temu, zanim się komukolwiek Afganistan przyśnił, miał powiedzieć: „Kto chce zniszczyć ZSSR, niech go namówi na połknięcie Afganistanu". Długo szukałem, kto to był Duprée, i nie znalazłem. Ale rację miał.

Leopold UNGER

Pisane 11 lutego 1988

Podskórne wrzenie

Poniższy tekst krąży po Moskwie w kilku odręcznie przepisywanych wersjach. Ta, która publikujemy, jest najpełniejsza. Po jej ogłoszeniu w *Le Monde* 2 lutego *attaché* prasowy sowieckiego MSZ oświadczył, że jest to fałszerstwo. *Le Monde* odpowiedział,

że najlepszym sposobem obalenia „fałszerstwa" byłoby ogłoszenie prawdziwego, autoryzowanego przez autora tekstu. Na to *attaché* prasowy odparł — na kolejnej konferencji prasowej — że partia ma prawo do sekretów.

Naturalnie, wszyscy mają prawo do sekretów. Ale w okresie jawności i w przypadku przemówienia pierwszego sekretarza moskiewskiej organizacji partyjnej Jelcyna na plenum KC, na którym wszyscy występowali przeciw niemu — teksty ich przemówień zostały ogłoszone — a sam podsądny na koniec przyznał się do wszystkiego i prosił o przebaczenie — to także zostało opublikowane — sens zachowywania w sekrecie przemówienia Jelcyna nie jest całkiem jasny.

Przede wszystkim jednak zdecydujmy, czy tekst jest fałszywy, czy nie. Kilka elementów pozwala suponować odpowiedź. Przede wszystkim przemówienia Gorbaczowa i innych członków KC na plenum 11 listopada 1987, z oburzeniem odpierające wystąpienie Jelcyna; następnie materiały prasowe po plenum, a także szeroko kolportowane przecieki o treści przemówienia byłego pierwszego sekretarza moskiewskiego *gorkomu*. Wreszcie ważne, a niedostrzeżone na Zachodzie plenum moskiewskiego komitetu partyjnego z 8 sierpnia 1987 (patrz „W sowieckiej prasie", *Kultura* nr 9/1987).

Borys Jelcyn został „wybrany" pierwszym sekretarzem moskiewskiej organizacji partyjnej „z poruczenia Biura Politycznego" w 1985 roku, po objęciu stanowiska generalnego sekretarza partii przez Gorbaczowa. Był „człowiekiem z zewnątrz", do Moskwy wezwano go ze Swierdłowska. Jego przemówienie na XXVII Zjeździe partii zwróciło na niego uwagę, bo ostro osądzał epokę Breżniewa i wzywał do „szybkiego i wszechstronnego rozwiązania" wszystkich problemów. Potem stało się głośne jego spotkanie z moskiewskim aktywem partyjnym, na którym obiecał radykalną „przebudowę", wykorzenienie korupcji i całkowitą wolność krytyki. Na tym to spotkaniu odczytał nadesłaną mu z sali karteczkę następującej treści: „Kradliśmy i będziemy kraść". W Moskwie wiele mówiono o jego metodach *à la* Harun Al-Raszid i niespodziewanych wizytach a to w sklepie, a to w metrze. Światową sławę zdobył sobie przybyciem do gmachu moskiewskiego Sowietu, w którym zebrali się członkowie Stowarzyszenia „Pamiat'".

Jelcyn uchodzi za wiernego sojusznika Gorbaczowa i konsekwentnego zwolennika *pieriestrojki*. Granice „przebudowy" samego centrum władzy — partii — ukazały się oczom wszystkich na plenum moskiewskiego *gorkomu* w sierpniu 1987 roku. Porównanie stenogramów przemówień z plenum (*Moskowskaja prawda* z 9 sierpnia 1987) z krótkim artykułem w *Prawdzie* (11 sierpnia 1987) wyjaśnia przyczyny upadku Jelcyna. *Prawda* krytykowała m.in. jego „zbytnią podatność na pianę demagogii społecznej" (m.in. chodziło o spotkanie z „Pamiatią") i zbytnią surowość w stosunku do „swoich". M.in. zacytowano fragment przemówienia, którego autor mówił, że moda na „metal w głosie" i „zdolność wymuszania" powinna ustąpić inteligencji i kulturze, umiejętności słuchania i przekonywania, głębokiemu zrozumieniu ludzi.

Nie ludzi w ogóle, ma się rozumieć. Jeden z mówców powiedział na plenum, że Jelcyn „zmienił 22 sekretarzy rejonowych komitetów partyjnych, czasami po prostu rozprawiał się z towarzyszami". Już w sierpniu mówcy wspominali o „karuzeli kadr". W listopadzie „karuzela" była głównym zarzutem pod adresem Jelcyna.

W tekście Jelcyna odnajdujemy jego znane skargi na bezwstydne przywileje nomenklatury. Wiele razy mówił — a 8 sierpnia szczególnie szczegółowo — o ciężkim życiu moskwiczan, o rozpadzie sieci handlowej, transportu, służby zdrowia, o głębokim, coraz gorszym kryzysie mieszkaniowym.

Jednak głównym punktem konfliktu między Jelcynem a Gorbaczowem i całym Biurem Politycznym było tempo wymiany starych kadr partyjnych na nowe. Gorbaczow zacytował tylko jedno zdanie z przemówienia Jelcyna: „Kierownictwo partii nie wykazuje dostatecznego 'entuzjazmu rewolucyjnego' w realizacji *pieriestrojki*". Zdanie to nie figuruje w tekście, który publikujemy, jednak cały patos przemówienia Jelcyna dotyczy właśnie tej sprawy. Jelcyn chce „rozgromić armię biurokratów", doszczętnie i natychmiast. Gorbaczow też do tego zmierza, ale stopniowo, nie za jednym zamachem. Jelcyn jest zwolennikiem silnej władzy: „Pora zrobić użytek z władzy, a władzę mamy". Gorbaczow rozumie, że nie ma jeszcze pełnej władzy. Nieszczęście Jelcyna polega na tym, że w dzisiejszym Związku Sowieckim „karuzela kadr" nie jest sprawą prostą. Towarzyszowi Stalinowi było łatwo, bo wiedział, co robić z tymi, których odsuwał od steru. Jelcyn usuwał sekretarzy rajkomów, ale z tytułu przynależności do nomenklatury szybko przesuwano ich na inne wysokie stanowiska, i to z reguły w Moskwie. Połowa mówców na plenum KC 11 listopada ub.r. to ofiary Jelcyna.

Nieszczęście Jelcyna polega także na tym, że zbyt pospiesznie robił użytek ze swoich możliwości. Uważał, że uda mu się zmusić Gorbaczowa, żeby dostosował się do jego rytmu. Michaił Gorbaczow jest jednak sprytniejszym politykiem. Pamięta na pewno, że kiedy Stalina spytano w drugiej połowie lat 20-tych, które z odchyleń jest gorsze, lewicowe czy prawicowe, generalny sekretarz odpowiedział, że to tak samo jak gdyby go spytano, czy gorszy jest diabeł zielony, czy niebieski. Stalin odpowiada: oba są „gorsze". To samo oświadczył Gorbaczow 11 listopada ub.r.

Wszyscy mówcy nazwali przemówienie Jelcyna demagogicznym. Trudno się z tym nie zgodzić. W opublikowanym tekście widać charakter Jelcyna, znany z innych jego oficjalnych wystąpień: niepohamowana żądza władzy, przypominająca Aleksandra Szeliepina, zadufanie, skłonność do atakowania bez ogródek. Szturm na wszystkich wpływowych członków Biura — Ligaczowa, Czebrikowa, Szewardnadze i przede wszystkim Gorbaczowa — budzi niewątpliwie pewne zdziwienie. Na dodatek cios w generalnego sekretarza wymierzony został w najczulsze miejsce — w Raissę Maksimownę.

Można też myśleć, że jest to przemówienie zwyciężonego, który nie ma już nic do stracenia. Na XXVII Zjeździe Jelcyn wprawił wszystkich o osłupienie, kiedy szczerze wyznał, że znał wszystkie błędy epoki Breżniewa, ale milczał — bo się bał. Teraz być może postanowił powiedzieć, co myśli o kolegach.

Ale nie na długo starczyło mu odwagi. Wysłuchawszy krytycznych uwag pod swoim adresem, Jelcyn w ostatnim słowie prosił o wybaczenie: bardzo zawiniłem zarówno w stosunku do moskiewskiej organizacji partyjnej, jak i do samego Michaiła Siergiejewicza Gorbaczowa, który cieszy się tak dużym autorytetem w naszej organizacji, w naszym kraju i na całym świecie.

Jeśli poniższy tekst nie jest autentycznym przemówieniem Borysa Jelcyna na plenum 11 listopada ub.r., to jest w każdym razie zlepkiem jego fragmentów, spisanych i złożonych w całość przez kogoś dobrze znającego „kuchnię" Politbiura. Jedno jest pewne: jest to wierny dokument ery *pieriestrojki*, epoki nowych słów i wciąż tych samych spraw.

Michał HELLER

STENOGRAM PRZEMÓWIENIA TOW. B. N. JELCYNA NA PLENUM KC KPZS 11 LISTOPADA 1987

Towarzysze! Przemówienie tow. Gorbaczowa M. S. zrobiło na mnie wielkie wrażenie, jak na wszystkich obecnych. Bohaterska droga, jaką nasz naród przemierzył przez 70 lat budownictwa socjalizmu, wyrażona została w przemówieniu w całej swej złożoności. Jesteśmy wszak pionierami, i to na pewno tłumaczy niektóre ciężkie, męczeńskie stronice naszej historii. Rację ma oczywiście tow. Gorbaczow, że jeśli chcemy ufnie iść do przodu, musimy znać i uczyć się naszych błędów na tej drodze, aby ich już nigdy nie powtórzyć. Przemówienie daje szczegółową i obiektywną analizę burzliwego, chwilami pełnego sprzeczności życia politycznego na naszej planecie. Pokazuje wiodącą i — powiedziałbym — fundamentalną rolę naszego państwa w tym życiu. I my, towarzysze, mamy prawo szczycić się dobroczynnym, pozytywnym wpływem, jaki nasz kraj wywiera na wydarzenia międzynarodowe. Nie omylę się chyba, jeśli powiem, że z wielkim przejęciem wysłuchaliśmy tej części przemówienia tow. Gorbaczowa, w której pokazane są sens i perspektywy dokonywanej obecnie w naszym kraju przebudowy życia społecznego.

Tak, trudno przecenić znaczenie przebudowy naszego społeczeństwa dla losu socjalizmu na całej kuli ziemskiej. Tak, właśnie teraz my mamy rozstrzygnąć o być albo nie być socjalizmu na planecie. I właśnie dlatego, towarzysze, chciałbym się zatrzymać na niektórych bolesnych kwestiach, hamujących, a w niektórych przypadkach zatrzymujących bieg przebudowy. M. S. proponował mi, bym odłożył rozpatrywanie tych zagadnień do zakończenia uroczystości jubileuszowych, ale ja myślę, że uroczysty świąteczny nastrój nie zaszkodzi, a pomoże nam rozpatrzeć te kwestie z całą partyjną odpowiedzialnością i uczciwością i dać ich pryncypialną, leninowską ocenę.

Jak towarzysze wiecie, pod adresem moskiewskiego komitetu partyjnego i także do mnie, na moje nazwisko, napływa dużo listów od ludzi pracy, w których moskwiczanie dzielą się swoimi myślami, wątpliwościami i nadziejami, związanymi z przebiegiem *pieriestrojki*. Cóż, towarzysze, jak człowiek zacznie czytać tę pocztę i szukać odpowiedzi, to opuszcza go świąteczny, jubileuszowy nastrój. Tak, towarzysze, trudno mi wytłumaczyć robotnikowi w fabryce, dlaczego w siedemdziesiątym roku jego politycznej władzy musi godzinami stać w kolejkach po parówki, w których jest więcej krochmalu niż mięsa, a na naszych świątecznych stołach, towarzysze, znajdzie się i wędzony jesiotr, i kawiorek, i inne delikatesy, kupione bez kłopotów tam, gdzie jego nawet na kilometr nie dopuszczą. Jak mam to wytłumaczyć weteranom i uczestnikom wojny domowej, których można policzyć na palcach? Widzieliście listę towarów, jakie zamówili na uroczystość? A mnie przynieśli, pokazali. Co im mam powiedzieć, kiedy mi mówią, że to odpadki z pańskiego stołu? Rozumiecie, towarzysze, czyj stół mają na myśli? Jak mam im w oczy spojrzeć? Przecież to oni, nie szczędząc krwi, wywalczyli i wręczyli nam władzę. Cóż mam im teraz odpowiedzieć? Może tow. Ligaczow mi podpowie? Myślę, towarzysze, że wszystkie te koryta, jak je naród nazywa, są dziedzictwem okresu zastoju w życiu. I z tym zjawiskiem pora skończyć. A tym, którzy wszechmocne przywileje uważają za najważniejsze w życiu, w pracy, tym, myślę, towarzysze, z nami nie po drodze. Nie trzeba na mnie krzyczeć, tow Ligaczow. I pouczać mnie też nie ma po co. Nie jestem dzieckiem, ja po prostu zajmuję takie pryncypialne stanowisko. I muszę wam, towarzysze, powiedzieć z całą otwartością, że trudno jest pracować, kiedy zamiast konkretnej pomocy towarzyszy spotyka się pouczenia albo grubiańskie krzyki. W związku z tym, towarzysze, zmuszony jestem prosić Biuro Polityczne o uwolnienie mnie od drobiazgowej opieki Raissy Maksimowny, od jej niemal codziennych telefonów i reprymend.

Towarzysze, mam tu przygotowanych trochę niewesołych cyfr nt. redukcji aparatu administracyjno-kierowniczego w Moskwie w rozmaitych resortach, ale nie będę psuł świątecznego nastroju obecnych, tym bardziej, że większość towarzyszy je zna. Przypomnijcie sobie, ile było dyskusji, ile uchwał podejmowano, a liczebność naszej biurokracji w większości resortów nie zmniejszyła się, a w Agropromie na przykład nawet wzrosła! Oto gdzie są hamulce! Oto gdzie *pieriestrojka* buksuje! Oto gdzie grzęzną w urzędniczym błocie wszystkie szlachetne zamiary! Towarzysze, musimy jasno zrozumieć, że dopóki nie rozgromimy armii rozlazłych biurokratów, właśnie armii, towarzysze, to *pieriestrojka* nie ruszy z miejsca i wszystkie nasze postanowienia i dyrektywy ugrzęzną w potoku instrukcji i cyrkularzy. Także w handlu sprawy się nie poprawiają. Mówiłem wam, towarzysze, jak wygląda sytuacja w Moskwie. Od tamtego czasu niewiele się zmieniło i ci sami urzędnicy w ministerstwach wszystkimi siłami chronią złodziei zza lady. Nie myślę, żeby to robili z nadmiaru humanitarnych uczuć. Nie, tow. Czebrikow; niestety, są fakty.

Dużo się mówi, towarzysze, a sprawa nie rusza naprzód. Jak na razie szary obywatel nie ma żadnej korzyści z tych wszystkich rozmów o przebudowie, bo kot Waśka słucha, gwiżdże na gadanie i je, póki mu miski z żarciem nie zabiorą. Pora, towarzysze, przejść od słów do czynów. Pora zrobić użytek z władzy, a władzę mamy. Naród nam ją powierzył. Jeśli utoniemy w gadulstwie i nie zrobimy z niej użytku, jeżeli nie zaczniemy bronić prawdziwych interesów narodu przed obżartymi kotami, to *pieriestrojka* nie przyniesie żadnych owoców.

I jeszcze jedna sprawa, towarzysze, jeszcze jedna trudna sprawa, którą dostaliśmy w spadku. To, towarzysze, Afganistan. Mniej więcej jedna trzecia napływających do nas listów tak czy inaczej porusza tę kwestię. Wszyscy znacie wyniki ankiety, jaką francuski korespondent przeprowadził wśród moskwiczan. Myślę, towarzysze, że co do tego nie może być dwóch zdań. Tę kwestię trzeba jak najprędzej rozwiązać. Należy wyprowadzić stamtąd wojska. Myślę, że właśnie tą kwestią powinien się zająć na serio tow. Szewardnadze, który tymczasem zajmuje się innymi, moim zdaniem mniej palącymi, sprawami i całymi miesiącami przebywa poza krajem.

Na koniec mego wystąpienia pragnę, towarzysze, wyrazić głębokie przekonanie, że nasze dzisiejsze trudności, to początkowe trudności okresu przejściowego, które musimy przezwyciężyć i obowiązkowo przezwyciężymy w jak najkrótszym czasie. I chcę was, towarzysze, zapewnić, że moskiewska organizacja partyjna, silna poparciem wszystkich komunistów miasta i moskwiczan, patriotów, zrobi wszystko, aby ten okres choroby zakończył się jak najprędzej pełnym zwycięstwem idei *pieriestrojki*, idei odnowy naszego społeczeństwa.

List z Londynu (15)

Po jesiennych decyzjach, w których liberałowie, na swym kongresie, olbrzymią większością głosów wypowiedzieli się za fuzją z socjaldemokratami, a ci przytaknęli, wydawało się, że powstanie nowej partii jest prawie formalnością. Stało się jednak inaczej. Obydwie układające się strony wybrały komisje, te podjęły dyskusję i przygotowały dokument, mający być podstawą programu nowej partii. David Steel, przywódca liberałów i Robert Maclennan, nowy leader socjaldemokratów, z dużą pewnością siebie, zaprezentowali go swoim partiom i nagle podniósł się huragan protestów. Publiczne życie w Wielkiej Brytanii dawno nie było świadkiem tak żałosnego widowiska. Liberałowie prawie jednogłośnie odrzucili proponowane warunki fuzji, zachwiała się pozycja Steela, socjaldemokraci jakby nagle zapadli się pod ziemię, odwołano konferencję prasową w Izbie Gmin, na której miano ogłosić triumf negocjatorów, dokument co prędzej odesłano do komisji dla przeprowadzenia radykalnych zmian.

Zawierał on 5 zasadniczych punktów: uznanie broni nuklearnych jako koniecznych w obronie kraju; uznanie wykorzystania energii nuklearnej jako konieczności w przemyśle; stopniowe zniesienie ulg podatkowych przy pożyczkach na nieruchomości; ograniczenie zasiłków na dzieci wyłącznie do biednych rodzin; rozciągnięcie podatku VAT na żywność i ubrania dla dzieci oraz na gazety.

Te punkty, tak od siebie odległe, są bardzo mocno związane z charakterem obydwu partii. Liberałowie od wielu lat są przeciwni broni nuklearnej, głównie rakietom Trident, i energii nuklearnej w przemyśle, a socjaldemokraci, będący stuprocentowo innego zdania, właśnie dlatego wystąpili z *Labour Party* i stworzyli własne stronnictwo. Liberałowie tradycyjnie wypowiadają się za sprawiedliwością społeczną i kierują uwagę na miliony biednych ludzi, socjaldemokraci są na te sprawy mało wyczuleni.

Programy programami, ale największą rolę odegrała tu tradycja i poczucie własnej ważności. Liberałowie mają wielką przeszłość, kiedyś byli najsilniejszą partią w kraju i rządzili nie tylko Wielką Brytanią, ale także potężnym imperium, a socjaldemokraci ledwo się wykluli kilka lat temu i niczego jeszcze nie osiągnęli. Nawet teraz, mimo wielkiego odwrotu, liberałowie posiadają 15 posłów w Izbie Gmin, a socjaldemokraci tylko 5 i na dodatek trzech z nich z dr. Owenem na czele sprzeciwia się fuzji. A właśnie tych kilku ubożuchnych parlamentarzystów z SDP próbowało narzucić liberałom swój punkt widzenia.

Obydwie partie zarządziły zwołanie nadzwyczajnych kongresów i kongresy te uchwaliły połączenie i stworzenie nowej partii. U liberałów 85 % 2.500 delegatów wypowiedziało się za fuzją. Nie próbowano nawet zbyt radykalnie zmieniać odrzuconych zasad programu nowej partii, po prostu uznano, że da się to zrobić już po połączeniu się z socjaldemokratami, bo liberałowie będą ich pod każdym względem przewyższać. Poczucie konieczności powrotu na wielką polityczną arenę, z szansami w następnych wyborach, przeważyło.

Socjaldemokraci, rozdarci wewnętrznie, zebrali tylko 350 delegatów na 480 upoważnionych do głosowania i także uchwalili fuzję i utworzenie nowego stronnictwa. Za połączeniem głosowało 273 delegatów, 28 było przeciwnych, 49 nie głosowało. Nawet ten rezultat nie przekonał dr. Owena: jest zdania, że tylko 57 % uprawnionych do głosowania wypowiedziało się za połączeniem, będzie nadal gromadzić socjaldemokratów przeciwnych fuzji i reprezentować malutką partyjkę, która żadnej roli nie będzie mogła odegrać.

Następnym krokiem będą referenda w obydwu partiach, a gdy opowiedzą się za połączeniem, podjęte zostaną dalsze rozmowy i stworzenie nowej partii będzie możliwe latem, może jesienią. Dopiero wtedy zostanie wybrany przywódca nowego stronnictwa. Dotychczas wyraźnym kandydatem był liberał, David Steel, po

blamażu szanse jego spadły do zera, ale odbudował je na ostatnim kongresie, wykazując wielką zręczność w niespodziewanym kryzysie.

Stworzenie nowej, centrowej partii z jednej, kiedyś potężnej, mającej za sobą wielką tradycję, i z drugiej, która dopiero co powstała z odprysku od socjalistów, to jednak problem bardzo trudny. Czy powstanie z tego konkurencja dla konserwatystów i *Labour Party?* Dotychczas uzgodniono tylko nazwę nowego tworu: „Socjalni i Liberalni Demokraci".

◆

Kilka lat temu poruszyłem w „Liście z Londynu" problem polonistyki na wyspach brytyjskich i na podstawie danych z drugiej ręki, bez dokładnego sprawdzenia, podałem informacje o *School of Slavonic and East European Studies,* należącej do londyńskiego uniwersytetu.

Taki błąd otwiera normalnie wielomiesięczną polemikę, jakże więc byłem mile zdziwiony, gdy od dyrektora szkoły, profesora Michaela Brancha, otrzymałem bardzo uprzejmy list. Zapraszał mnie na cały dzień do siebie, proponował spotkanie ze wszystkimi swoimi współpracownikami, zapoznanie się z urządzeniami i programami szkoły, wspólny obiad i wymianę poglądów.

Był to jeden z rzadkich dni w moim życiu, do których wracam pamięcią z uczuciem ciepła i przyjaźni. Przywitał mnie prof. Branch, specjalista od fińskiego folkloru i sąsiednich ugrofińskich ludów w północnej Rosji, znający świetnie problematykę polityczną wschodniej Europy. Spotkałem prof. Normana Daviesa, specjalizującego się w naszej historii, i dr. Keitha Sworda (obydwaj mówią po polsku), dr Stanisława Eile z Krakowa, Bolesława Mazura i kilka innych osób. Cały dzień spędzony razem pozwolił mi na dokładne poznanie nie tylko planów, ale także intencji kierownictwa szkoły. Zbliżyłem się do niej, zacząłem uczęszczać na niektóre wykłady, sam miałem wykład o stosunkach polsko-brytyjskich w czasie ubiegłej wojny w związku z ukazaniem się angielskiego wydania mojej książki, *Polska w drugiej wojnie światowej.* Przekonałem się, że mamy w Londynie, na bardzo ważnym, uniwersyteckim terenie, grono prawdziwych przyjaciół.

Szkoła, która powstała w roku 1915, rozwija działalność w dwóch zasadniczych kierunkach: regularne wykłady i cotygodniowe seminaria oraz szeroko sięgające międzynarodowe konferencje dotyczące ważnych, historycznych wydarzeń. Wystarczy spojrzeć na listę wykładów we wiosennym semestrze tego roku, by się przekonać o rozległości polskiej tematyki. „Możliwości wolnej ekonomicznej strefy w Polsce"; „Nieoficjalne mechanizmy polskiego społeczeństwa: podziemna gospodarka, przekupstwo, stosunki między producentem i klientem"; „Niesłyszane słowo: forma w nowoczesnym polskim dramacie"; „Przybliżenie Polski do anglosaskiego czytelnika, 1957-1987"; „Uwagi o polskiej dwuznaczności"; „Reforma, referendum i odrzucenie go"; „Białoruska mniejszość w międzywojennej Polsce"; „Polska jako element we francuskich militarnych i strategicznych planach w roku 1939".

Wykładowcami są naukowcy brytyjscy i polscy, z Zachodu i z kraju, na seminaria regularnie przychodzi 35-40 osób, w zakresie nauki o Polsce spełniają one ważną rolę.

Szkoła przygotowuje też międzynarodową konferencję, która odbędzie się w dniach 14-17 grudnia br. dla upamiętnienia 70-tej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Trudno przecenić jej wagę. Inicjatorem konferencji jest dr. Paul Latawski, mówiący po polsku Amerykanin polskiego pochodzenia, który na kilka lat przybył ze Stanów do Wielkiej Brytanii; wraz z prof. Daviesem przewodniczą specjalnemu Komitetowi, którego jestem członkiem. Tematyka konferencji jest rozległa, obecnie Komitet stara się zdobyć jak najwybitniejszych historyków różnych narodowości, by nasz problem został naświetlony z rozmaitych punktów widzenia.

Jeszcze ta konferencja nie uzyskała ostatecznych ram, a już planuje się następną, związaną z naszą historią. Ma się odbyć w kwietniu 1989 roku i dotyczyć sowieckiej okupacji Polski w latach 1939-1941, w 50-tą rocznicę tamtych wydarzeń.

Znam te sprawy bardzo dobrze, kilkakrotnie objechałem Europę, Stany Zjednoczone i Kanadę z wykładami, wiem, że tu i tam spotyka się podobne inicjatywy, ale są one z reguły wysuwane przez lokalnych Polaków. Tu decyzję podejmują i wykonują Brytyjczycy i dlatego szkoła jest prawdziwą wyspą na wielkim światowym oceanie obojętności.

◆

Następny krok Komitetu Obrony Spraw Polskich po występie w tutejszej telewizji *(Right to Reply)* został wykonany. Zaplanowany film o Polsce w języku angielskim, na podstawie mojego skryptu, powstał w ciągu trzech miesięcy w Paryżu, w reżyserii Witolda Zadrowskiego. W 57-miu minutach pokazano chrzest Polski, jej okres jagielloński, wielkość Rzeczypospolitej, jej upadek, rozbiory, zmagania o odzyskanie wolności, wreszcie niepodległość, odbudowa kraju, trudne, ale zwycięskie dwudziestolecie, druga wojna światowa i Polska Ludowa do ostatnich dni. Całość została ujęta w klamry sekwencji polskiego Papieża.

Film, zrobiony przede wszystkim dla odbiorcy anglosaskiego, musiał być oceniony przez ekspertów brytyjskich i dlatego na pierwszy pokaz zaproszono reżyserów tutejszej telewizji. Według ich oceny film jasno przedstawia nasze dzieje, jest obiektywny, nie kryje polskich błędów i niepowodzeń, daje nie propagandowy, ale historyczny obraz naszego kraju. Jego poziom techniczny i dźwiękowy pozwala mieć nadzieję, że znajdzie się on na ekranach w Wielkiej Brytanii, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Nowej Zelandii, może w Skandynawii i w Niemczech. Sprzedanie filmu jest obecnie głównym zadaniem Komitetu. Zrobiona została także wersja polska dla szkół, polskich skupisk i kraju.

Józef GARLIŃSKI

Kraj

Dziennik zewnętrzny

Droga, którą przebyliśmy od 13 grudnia 1981 roku? Łatwo ją policzyć w czasie — sześć lat — trudniej podsumować straty. Ofiary mają to do siebie, że nie chcą dawać sumy. To zaś, co widać, jest tylko nosem góry lodowej. Kilkunastu zabitych, setki tysięcy emigrantów i wielki cmentarz utraconych nadziei — między nami i w nas.

Po zimie stanu wojennego przyszła od razu błotnista jesień. W tym błocie taplamy się teraz. Jak opisać te lata, ocenić zmiany? Boję się uciekać od faktów, więc podam dwa przykłady.

Mój znajomy napisał niedawno tekst do miesięcznika pod cenzurą. Cenzura pochyliła się czule nad jego myślami. Ołówek podkreślił jedno zdanie: „zbrodnie Stalina i Hitlera". Kogo pożałował cenzor? Niegdyś bez wahania można by odpowiedzić — Stalina. Dzisiaj czujny obserwator zdarzeń zawaha się. I nie bez powodu. Cenzura skreśliła Hitlera. Niezorientowanym w subtelnościach obecnej sytuacji wyjaśniam, że cenzura ma nowe instrukcje. Stalin był zbrodniarzem, nie określono jednak, jak wielkim. Zestawienie z Hitlerem wydaje się więc ryzykowne, bo co będzie, jak przyjdą instrukcje, że był zbrodniarzem od Hitlera dwukrotnie mniejszym? Ostateczna wersja po zabiegu cenzorskim brzmiała więc „zbrodnie Stalina".

Po miesiącach coraz bardziej niepokojącej ciszy przyszły w końcu uderzenia w niezależne firmy wydawnicze. Wpadły lokale, maszyny drukarskie, samochody pełne książek. Wszystko zostało zarekwirowane. Ludzi zatrzymano na 48 godzin, a po uiszczeniu grzywny puszczono.

W pierwszym przypadku mamy do czynienia z przesunięciem granicy prawdy. Przesunięto ją, ale stoją tam ci sami strażnicy z psami.

Morał z drugiej historii? W dziedzinie walki z opozycją Polska Ludowa przebyła od stanu wojennego długą drogę. Dzisiaj sytuacja niemal bliźniacza jak w schyłkowym okresie panowania Gierka (weterani opozycji wspominają te czasy z rozrzewnieniem). Droga od 13 grudnia to przestrzeń od surowych wyroków i paranoidalnych oskarżeń do dzisiejszej względnej i niepewnej tolerancji. Droga mimo wszystko długa, ale trudno się oprzeć wrażeniu, że jakby w kółko. Opozycji sytuacja ta bynajmniej nie rozrzewnia, bo błędne koła zwykle nie budzą wzruszeń.

Przy okazji — niejako w *post scriptum* — warto wspomnieć o Gierku. Żyje jako emeryt na Śląsku i zaczynają do niego docierać dziennikarze z prasy obecnie nam panującego generała. Były Pierwszy skarży się na niską rentę, którą dostaje w dolarach z Francji, ale okrutne państwo przelicza je na złotówki. Skarży się też na swojego zbyt małego fiata, w którym z trudem się mieści z powodu nadwagi. Złośliwi dziennikarze wypominają mu, że sam ponosi winę za taką politykę dewizową i samochodową, więc nie powinien narzekać. Jak widać nie ma litości dla byłych dygnitarzy, co jest typowe dla każdej mafii. Tylko czasy łagodne, więc nie płaci się głową, a jedynie honorem. Rzecz w tym, że tej waluty komuniści nie posiadają, utracili ją na samym początku wędrówki ku ziemskim rajom.

Obok procesów politycznych trwał w PRL nieustanny proces zatruwania różnych pojęć. Zmieniano znaczenie słów, czasami powoli, podstępnie, kiedy indziej prymitywnie i brutalnie. Najnowszym mutantem językowym jest „centrum". Mówiło się centrum miasta, centrum zdarzeń. I oto nagle to stosunkowo poczciwe pojęcie zaprzęgnięto do nie byle jakiej pracy. Jego skromne ramiona muszą objąć PZPR, stronnictwa sojusznicze, rząd i wszystkie fasadowe przyległości. Bo od niedawna PRL-em rządzi, kieruje i steruje właśnie c e n t r u m.

Kiedyś partia była odpowiedzialna za wszystko, za chleb powszedni i klęski żywiołowe. Dzisiaj nie chce być odpowiedzialna za nic. Odpowiedzialne jest centrum.

Coraz częstsze i liczniejsze spotkania działaczy „Solidarności". Zdarza się, że zjeżdżają z całej Polski, bezczelnie i publicznie. Jedno z bardziej tłumnych spotkań tego typu miało miejsce w Warszawie w pomieszczeniach przykościelnych na ulicy Karolkowej, gdzie przybyło około 400 osób. Gromadzimy się wokół pytania: co robić? Wszyscy są zgodni, że nadszedł czas, by coś zrobić. Tylko co? Nikt nie wierzy, że można odnaleźć zagubiony złoty róg. Tańczymy więc przytuleni do siebie, ale niechętnie przytuleni, bo bardzo jest dużo wzajemnych pretensji. Kłócimy się

o rzeczy drugorzędne. Rzeczy pierwszorzędne dawno zostały uzgodnione, ale właśnie ich nie da się ruszyć nawet na milimetr.

Aresztowany został Kornel Morawiecki, założyciel „Solidarności Walczącej". Ukrywał się od grudnia 1981. Najdłużej ukrywający się żołnierz „Solidarności".

Kilka lat temu odnaleziono w japońskiej dżungli żołnierza cesarskiej armii, który nie pogodził się z klęską i ukrywał się od drugiej wojny światowej. Japonia, którą zobaczył jest krajem dostatnim i wolnym. Pisano o nim w gazetach całego świata i przyjął go bodajże sam cesarz. Czy my będziemy pamiętać o Morawieckim? Aresztowano go pod zarzutami kryminalnymi, bo w Polsce nie ma teraz więźniów politycznych.

Tradycyjnie słaba jest nasza pamięć o tych, co przegrali lub choćby „z konia spadli". „Koledzy go nie żałują...". Urósł egoizm izolujących się od siebie grup podziemnych. Każdy troszczy się o własny sprzęt, kolportaż i swoje pieniądze. Brak solidarności jest z pewnością największą klęską „Solidarności".

Okolice kina „Bajka" na Marszałkowskiej. Bynajmniej nie bajkowo: ciemno, brudno, klatki schodowe pachną moczem, gotowanymi kartoflami i zmęczeniem, którym ściany zaraziły się od ludzi. Na chodniku wyjątkowo tłoczno. I nagle ten przypadkowy tłum staje się tłumem zorganizowanym. Rusza rozwijając sztandary i wrzeszcząc „Solidarność!". Na szarych ścianach zakwitają kolorowe napisy. Milicjant od ruchu drogowego uskakuje na bok i skulony jak zając pod miedzą szepce coś do nadajnika. Znalazłem się niespodziewanie w samym nurcie pochodu i chcąc nie chcąc przemieszczałem się z nim w kierunku ulicy Królewskiej, nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć. Mój stosunek do władzy ludowej jest jednoznaczny, ale wolę sam dokonywać wyboru, czy biorę udział w manifestacji, czy nie. Tu zostałem poniekąd na nią skazany. Ulotki sypały się na głowę jak płatki śniegu, a wszystko odbywało się w smudze reflektora jak w blasku aureoli. To ekipa telewizji zachodniej z czujnym czarnym nosem mikrofonu i z kamerą dawała świadectwo zdarzeniu (można by tu snuć refleksje nad teatralnością Sierpnia, czasu „Solidarności" i w ogóle wszystkich współczesnych demonstracji nie tylko w Polsce, czemu sprzyjają środki masowego przekazu).

Pochód doszedł do ulicy Królewskiej i rozpłynął się w niezgłębionych mrokach Ogrodu Saskiego. A ja schroniłem się przezornie na przystanku tramwajowym.

Zajechały z piskiem opon milicyjne samochody, a funkcjonariusze rzucili się, jakby chcieli aresztować ciemność. Jedynym punktem oparcia dla ich aktywności stała się ekipa zachodniej telewizji, która zupełnie zdezorientowana kręciła się w kółko szukając na próżno zagubionego tematu. Wsadzono ich do samochodu niedbale i niechętnie, jak chowa się nędzny łup. Oddelegowano dwóch młodych milicjantów do zbierania ulotek. Bez broni i pałek, by nie hańbić tym nędznym zajęciem szlachetnych narzędzi prawa. Przechodnie zbierali jednak szybciej, czasami pełnymi garściami, by się nie zmarnowało, a dwaj biedni funkcjonariusze stali się przedmiotem żartów rozbawionej smutnej warszawskiej ulicy.

Czym była owa, nagła jak wybuch, kilkusetosobowa demonstracja? Doprawdy nie wiem. Brała w niej udział młodzież, najwyraźniej szkolna, bo pod rzadkim jeszcze wąsem. Wprawiła mnie w osłupienie znakomita organizacja, brak przecieku i dlatego całkowite zaskoczenie milicji. Najwyraźniej pod powierzchnią dzieje się u nas więcej, niż na to wskazują pozory.

Próbne referendum w Garwolinie transmitowane skwapliwie przez telewizję jak pokaz mody. Cóż za pełen wdzięku pomysł. Krążył kiedyś dowcip, że komunizm należało najpierw wypróbować na świniach. Nikt jednak nie wpadł na ten pomysł, i teraz mamy próbne referendum. Czekają nas pewnie próbne podwyżki i próbna demokratyzacja i Bóg wie co jeszcze.

Spotykam na ulicy kolegę dziennikarza. Niegdyś aktywny działacz „Solidarności", dzisiaj już niemal znormalizowany. Mówi, że właśnie wrócił z próbnego garwolińskiego referendum.

— Ty wiesz, jak oni tam oszukiwali, we łbie się nie mieści.

Zaproponowałem mu, by o tym napisał. Podrapał się w głowę. Domyśliłem się, że to zamiast tekstu. Ściskając na pożegnanie jego znormalizowaną rękę nie miałem poczucia, iż żegnam się z normalizacją.

Pisałem niedawno, że ludzie sztuki i nauki po sześciu latach chudych spragnieni są publiczności. Nie spodziewałem się jednak, że tak wielkie jest to łaknienie i tak szybki bieg. Otwieram telewizor, a tu K. i L. oraz W. Pokazują się pełną gębą, nie zawsze w najcnotliwszych programach i w najlepszym towarzystwie. Nie potępiam nikogo, może tak trzeba, nowe czasy, nowa taktyka. W końcu K. i L. oraz W. wszyscy oni coś tam również skrobią w podziemiu. Tu się człek pokaże, tam poskrobie, jedno dla próżności, drugie dla sumienia.

Reklamy referendum jak na Zachodzie mydła i szamponów. Piękne panienki, rajskie chórki a nawet sportowcy. Ogromnie podobało się to naszym dzieciom, które znają na pamięć teksty i recytują je ze śmiechem.

Śmiech jest jedyną cenną pozostałością tej imprezy. Oczywiście śmiech jest przywilejem tych, którzy mają jeszcze czym się śmiać. Wielu ludzi tutaj zrujnowało swój narząd śmiechu.

Krakowski rynek zmienia się pomału w angielski Hyde Park, demonstruje tu KPN i WiP. Popularne jest włażenie na coś wysokiego przy pomocy sprzętu alpinistycznego i przemawianie. Potem demonstranci zjeżdżają na linach i wędrują samodzielnie do milicyjnych Nysek zapraszani tam serdecznie przez sympatycznych milicjantów. Puszczani są szybko i sprawnie. Rzecz staje się na tyle powszechna, że można obawiać się, iż wkrótce przestanie przyciągać widzów.

We Wrocławiu zatrzymano grupę świętych Mikołajów. Święci najpierw rozdawali dzieciom cukierki, a potem rozwinęli transparenty polityczne.

Na dobre zadomowiły się na murach naszych domów krasnale. Zamieszkują zamalowane napisy, którymi upstrzona jest Polska. Od dawna męczył mnie problem, kto maluje te kolorowe krasnoludki. Okazuje się, że to ta sama grupa od Mikołajów. Nazywa się „Pomarańczowa Alternatywa" i ma filie w całym kraju. „Pomarańczowa Alternatywa" wyciągnęła do końca wnioski z naszego absurdu.

Ludzie starzy, szczególnie kobiety, a więc staruszki, stanowią od dawna najliczniejszą klientelę Jaruzelskiego. Kpić z tego to zbyt łatwe i okrutne. Ludzie pochyleni nad swoim wiekiem, zniszczeni przez wojny światowe i wojny kolejkowe, oni właśnie — jak się okazuje — najbardziej potrzebują choćby najcieńszej gałązki nadziei.

Starcy i chłopi zrobili frekwencję referendum. Zarówno starcy jak i chłopi nienawidzą komunizmu i wierzą w Boga. I jakby tego było mało, proponowane zmiany bez wątpienia najmocniej uderzą w emerytów i chłopów. Można by sobie połamać zęby o ten paradoks, gdyby nie to, że straciliśmy już zęby na tysiącach innych paradoksów.

Śródmiejski lokal wyborczy był świadkiem głęboko poruszającej patriotycznej sceny. Na progu tego lokalu pojawiła się zgięta w pół staruszka z laską. Dowlokła się tu resztką sił i padła na ten próg. Ocucono ją, nie chciała do szpitala, chciała do urny (nie w formie popiołów, bynajmniej). Zawleczono ją za kotarę, by tam dokonał się akt demokratycznego skreślenia, po czym do skrzynki. Odwieziona została do domu samochodem. Przypomniało mi się, jak Szwejk na wózku inwalidzkim jechał na pierwszą wojnę światową.

Wyniki referendum okazały się komunikatem niemal równie wieloznacznym jak Biblia. Każdy może wziąć sobie coś dla siebie. Opozycja — sukces bojkotu, władza — poparcie dla zmian (zanotowałem nawet prywatny głos pewnego aparatczyka, że to legitymizacja władzy, uzyskana po raz pierwszy od czasu zainstalowania jej tu przez Rosjan). A sfrustrowany przechodzień też miał trochę przyjemności. Uważa, że pokazaliśmy im d... Można by więc uwierzyć, że wszyscy są zadowoleni. Ale to pozory. Władza jest przerażona, do czego jednak nie może się przyznać nawet przed sobą. Ta ekipa ma spryt tylko doraźny, a brak koncepcji i bezradność przebiły już własne dno. Przez dziury widać gwiazdy i wszechświat, który wcale nie przejmuje się tym nędznym dramatem.

Ubocznym skutkiem referendum może być rozbudzenie — mimo królującego sceptycyzmu — pewnych nadziei nie tyle w świadomości, co w podświadomości społecznej. Ta nadzieja, nie spełniona w najbliższym czasie, łatwo może zmienić się w dynamit.

Pewien skądinąd rozsądny politolog krajowy oświadczył, że wyniki referendum uwiarygodniają intencje władzy, bo nie zostały sfałszowane. Wkrótce on, podobnie jak wielu innych ludzi i instytucji, które uchodzą za wiarygodne, otrzymał telefony z prowincji. Rozgorączkowani informatorzy opowiadali o fałszerstwach na wsiach i w miasteczkach, mówili, że mają dowody, podawali nazwiska swoje i świadków. Monitowani przez przerażonych słuchaczy, że telefony są na podsłuchu, że trzeba ostrożnie, dziwili się: „Dlaczego? Przecież to prawda!".

Czyżby prawda odzyskiwała u nas swoją wagę? Czyżby zaczynała uczyć odwagi?

Panika przed nowym rokiem, który ma rozpocząć siedem lat chudych. Ludzie pozbywają się złotówek, jakby to były judaszowe srebrniki. Wykupywane jest wszystko, co ma znamię trwałości. Znowu więc ten zapach wojny, gorączki, rozszarpywania zwłok. Najbardziej zacięte bitwy wokół sklepów z pralkami i lodówkami, szczególnie zaś wzruszające są kolejki pod Pewexami. W Alejach całonocne kolejki za polskimi samochodami za dolary (za złotówki nie kupisz) plączą się w supły z dolarową kolejką po wódkę. Na widok tego supełka zapłoniłby się nawet absurd, gdyby miał policzki. W okolicy swego domu wpadłem na kolejkę pod sklepem z artykułami gospodarstwa domowego. Kolejka zwarła swój szyk bojowy w lęku, że się w nią wkopię. Przeważały stare kobiety i mężczyźni, w zależności od fizycznej kompleksji purpurowi lub sini od chłodu nocy. Kolejka przytupywała i pohukiwała, a jej stosunkowo dobra forma bojowa dawała się wytłumaczyć zbliżaniem się godziny 11-tej, a więc czasu szturmu na śnieżnobiałe pralki.

Wyjście z domu o tej porze roku kojarzy się z wyjściem z

ziemianki do okopu. Wychodzę, żeby zdobyć na lewo benzynę, ustawić się w kolejce po to czy owo... Przed wyjściem rozkołysuję się w sobie, by uzyskać odpowiednią sumę energii. Obawiam się, że kiedyś tak już zostanę rozkołysany. U dzieci nazywa się to chorobą sierocą. U dorosłych będzie to choroba II etapu reformy.

Świąteczne ozdoby wiszą na Warszawie jak niegustowna sztuczna biżuteria na zniszczonej kobiecie. Bezzębne usta pomalowane szminką. Smutek tego miasta pogłębiony przez poczucie, że jest to jednak, mimo wszystko, moje miasto.

Zabrano nam już tyle, że ledwie zauważyliśmy, kiedy zniknęła przyjemność obchodzenia świąt. Święta to kolejki, tłok i zmęczenie. Ludzie rzucają się sobie do gardeł, nie z życzeniami, ale z kłami. Jak kupić prezenty, karpia, wędlinę, jak wcisnąć się do pociągu i z niego się wydostać.

„Bóg się rodzi, moc truchleje" — a chociaż struchlała i scherlała, nadal nas dręczy.

Witold CHARŁAMP

Notatki z Polski

GRUDZIEŃ 1987 - STYCZEŃ 1988

Podwyżki, oczekiwane z przerażeniem od wielu miesięcy, zostały wreszcie ogłoszone 30 stycznia. Teoretycznie wzrost kosztów utrzymania ma wynosić 40 %, ale w praktyce będzie na pewno dużo wyższy: optymiści szacują go na 50 - 60 %, pesymiści mówią nawet o 75 %. Skoro energia elektryczna drożeje o 100 %, węgiel o 200 %, paliwo o 60 - 100 %, to muszą lawinowo pójść w górę wszystkie ceny nieurzędowe (te, których nie wyznacza państwo).

W powszechnym odczuciu ta podwyżka uderzy ludzi po kieszeni mocniej niż głoszą oficjalne zapowiedzi, zaś rekompensaty niczego tak naprawdę nie wyrównają. Zapewne dlatego już w dniu wejścia w życie nowych cen zaczął się w dużych zakładach nacisk na płace: wiece, ulotki, grożenie strajkiem (w Ursusie, łódzkich zakładach im. Marchlewskiego, wrocławskim Elwro, PaFaWagu, Dolmelu, Polarze). Najwyraźniej władzom zależy na tym, żeby uspokoić nastroje, bo dyrekcje albo wypłacają żądane pieniądze od razu, albo obiecują dać je przy najbliższej wypłacie.

Wzburzenie po podwyżkach cen było jednak mniejsze, niż się spodziewano. Może dlatego, że od paru lat robotnikom udaje się wymuszać dodatkowe pieniądze bez strajków i wielkich akcji. Dwie manifestacje, jakie w przededniu podwyżek odbyły się w Warszawie i Gdańsku — tradycyjnie po niedzielnych mszach u św. Stanisława Kostki i w kościele św. Brygidy — rozeszły się w spokoju, a wśród transparentów zwracały uwagę raczej ironiczne niż buntownicze: „Rząd się sam wyżywi — a co z nami?", „Głodny naród zje władzę", „Niech żyje Urban — z rekompensat".

Jakiś wpływ na uspokojenie nastrojów miało też na pewno podwyższenie rekompensat po targach z OPZZ z zapowiedzianych 1.750 zł miesięcznie do 6 tysięcy. Tę kwotę, w końcu dość pokaźną, ludzie dostali w pierwszych dniach lutego, w parę dni po otrzymaniu pensji.

W sumie wszystko wskazuje na to, że ekonomiczny sens całej podwyżkowej operacji zostanie zniweczony w ciągu paru tygodni. Można się było tego spodziewać, natomiast zaskakuje tempo, w jakim realizują się najgorsze przewidywania ekonomistów o dalszym nakręcaniu się spirali inflacyjnej.

Z obietnic władz sprzed referendum nie pozostało prawie nic. Program realizacyjny II etapu reformy — choć i jemu zarzucano połowiczność i brak zdecydowania — okazał się zbiorem pobożnych życzeń, w całej rozciągłości utrzymana została nomenklatura, udział dotacji w budżecie nie zmniejszył się, zachowane zostało centralne rozdzielnictwo surowców, utrzymany monopol skupu płodów rolnych. Obiecywanych posunięć demokratyzacyjnych również nie widać: żadnych konkretów odnośnie zmiany ustawy o stowarzyszeniach, projekt ordynacji wyborczej niewiele lepszy od poprzedniej.

Kiedy się przyjrzeć postępowaniu władz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, można dojść do wniosku, że nie ma ona żadnej spójnej strategii, lecz działa tak, jak gdyby jednocześnie usiłowała wyjść naprzeciw oczekiwaniom społecznym i zachować swój nienaruszony monopol. Przykładem nie tylko manewr podwyżkowy, ale i kompleks spraw związanych z samodzielnością przedsiębiorstw. Deklarując cały czas dążenie do decentralizacji zarządzania, jednocześnie tworzy się superkoncerny, które przejmują większość uprawnień wchodzących w ich skład jednostek. Tak stało się ze Wspólnotą „Polski Węgiel", grupującą kopalnie czy z „Elpolem", w którego skład weszła przytłaczająca większość branży elektronicznej. Pod nazwą spółki udało się przemycić twór administracyjny, *quasi*-ministerstwo (i to za zgodą rad pracowniczych, zwabionych kłamliwymi obietnicami poważnych ulg podatkowych, z których miały wyniknąć znaczne korzyści dla poszczególnych zakładów i ich załóg). W tej sytuacji ustawa antymonopolowa, która weszła w życie z dniem 1 stycznia br., musi oczywiście pozostać papierową fikcją.

Nie inaczej rzecz ma się z ordynacją wyborczą. W projekcie ogłoszonym 31 stycznia rezygnuje się z preferencji dla kandydatów na „lepszych miejscach" — ma być wprowadzony obowiązek

skreślania, z kandydatów ułożonych w pary przechodzić będzie ten, który otrzyma więcej głosów — ale listy kandydatów mają ustalać mianowane kolegia wyborcze. Co prawda wobec licznych głosów krytycznych od „Solidarności" po PRON wprowadzono do projektu możliwość zgłaszania kandydatów na radnych przez zebrania przedwyborcze, ale i tak ostatnie słowo należeć będzie do kolegiów, gdzie PZPR i stowarzyszone stronnictwa mają zagwarantowaną większość.

Ogłoszone w miesiąc później założenia do zmiany ustawy o radach narodowych również zatrzymują się w pół kroku, chociaż z pozoru mają na celu radykalne zwiększenie autonomii lokalnej władzy. W myśl tych założeń można będzie wybierać wojewodów oraz naczelników miast i gmin, ale tylko spośród kandydatów zaproponowanych przez władze zwierzchnie (one też będą mogły ich odwoływać); rady będą uchwalać budżet, lecz wojewodowie i naczelnicy będą go mogli zmieniać; Rada Państwa ma zyskać uprawnienia do uchylania uchwał rad niższych szczebli, m.in. z powodu sprzeczności z „zasadniczą linią polityki państwa" — przy takim sformułowaniu można unieważnić dowolną uchwałę. Wreszcie sprawa chyba najistotniejsza dla autentycznej samorządności: przekazanie części przedsiębiorstw państwowych radom wojewódzkim i gminnym jako przedsiębiorstw komunalnych zostało odłożone do bliżej nieokreślonego „II etapu umacniania rad narodowych".

◆

W ciągu ostatnich dwóch miesięcy wciąż głośno było o WiP-ie. Ruch „Wolność i Pokój" podjął wielką ogólnopolską akcję w obronie więzionych za odmowę służby wojskowej — jest ich 11 i stanowią ponad połowę więźniów politycznych. We Wrocławiu od połowy grudnia niemal codziennie w centrum miasta wychodziły pikiety z tzw. ludźmi-kanapkami, niosącymi na piersiach i plecach plakaty; w Bełchatowie, Gorzowie, Poznaniu, Gdańsku, Wrocławiu zebrano tysiące podpisów pod petycjami do władz; w Gorzowie co kilka dni młodzi ludzie rozlepiają plakaty i rozrzucają ulotki. Kilkanaście osób z różnych miast głodowało w Warszawie przez dwa tygodnie — również przez Święta — w tej samej intencji, tygodniowe głodówki odbyły się też w Opolu i w Sopocie.

Władze zapowiadały wielokrotnie, że będą ostro reagować na „osłabianie mocy obronnych" PRL, zaś sprawa służby zastępczej, o którą zwracali się wszyscy aresztowani, jest zadowalająco rozwiązana w istniejących przepisach (tymczasem skierowanie do pracy społecznie użytecznej zamiast służby wojskowej można uzyskać tylko za zgodą komendanta Wojskowej Komendy Uzupełnień). W grudniu i styczniu zapadło 5 nowych wyroków po 2 i pół i 3 lata.

I oto nagle na konferencji prasowej 19 stycznia Urban oświadczył, że w kołach wojskowych rozpatrywany jest projekt przyznawania służby zastępczej w ochronie zdrowia, opiece społecznej lub służbach komunalnych na podstawie oświadczenia poborowego, że pójście do wojska jest sprzeczne z jego sumieniem. Bulwersująca była tylko projektowana długość jej trwania — 4 lata w zamian za 2 lata służby zasadniczej. Po enuncjacjach Urbana spodziewano się więc jakiejś zmiany sytuacji więzionych, tymczasem już tydzień później zapadł kolejny 2 i pół-letni wyrok. Oczekiwano zwłaszcza zwolnienia po rozprawie rewizyjnej Sławomira Dutkiewicza z Bydgoszczy, który od dnia aresztowania 12 listopada głoduje w więzieniu, jest dokarmiany siłą, a stan jego zdrowia budzi poważne obawy. Jednak Izba Wojskowa Sądu Najwyższego 21 stycznia zatwierdziła mu karę 2 lat i 3 miesięcy więzienia.

◆

WiP broni nie tylko „swoich ludzi" — w ramach wrocławskiej akcji wielokrotnie pojawiały się też nazwiska Kornela Morawieckiego i jego współpracowniczki Hanny Karniej. Aresztowanie w Gdańsku 25 stycznia drugiego przywódcy „Solidarności Walczącej", Andrzeja Kołodzieja, powinno zintensyfikować wysiłki na rzecz ich uwolnienia. Zwłaszcza że propaganda stwarza wokół „Solidarności Walczącej" atmosferę, jakby to była organizacja terrorystyczna, a obu przywódcom przedstawiono niepolityczne zarzuty, m.in. o posługiwanie się cudzymi dokumentami. Za to wykroczenie nawet w najgorszych czasach stanu wojennego zapadały wyroki w zawieszeniu. O tym, że władzom chodzi o przetrzymanie wyjątkowo znienawidzonych przez nią działaczy „Solidarności Walczącej", świadczy sprawa Hanny Karniej: w momencie, gdy kończyła się sankcja prokuratorska, kolegium wymierzyło jej karę 3 miesięcy bezwzględnego aresztu za kolportaż wydawnictw niezależnych, a więc za czyn, który od dawna już jest standardowo karany grzywną.

◆

Ożywienie aktywności społecznej, jakie obserwujemy od jesieni, nie słabnie. Powstało w ciągu ostatnich dwóch miesięcy kilka nowych komitetów założycielskich NSZZ „Solidarność", w tym w Kombinacie im. Lenina w Nowej Hucie, na Uniwersytecie Warszawskim, w ZNTK Wrocław. Sąd Najwyższy, który jest ostateczną instancją apelacyjną, zdążył odrzucić parę nowych odwołań. Mimo to niezarejestrowane komitety działają: we wrocławskim „Dolmelu" np. KZ przygotował raport o warunkach pracy kobiet, w kopalni miedzi „Polkowice" opracował listę postulatów załogi, w Hucie Stalowa Wola zapowiedział przystąpienie do jawnej pracy na wydziałach.

Coraz więcej jest samorządów, które chcą rzeczywiście reprezentować załogę i mieć coś do powiedzenia w zakładzie — w skład takich aktywnych samorządów, a jest ich ok. 15 %, zwykle wchodzą członkowie „Solidarności". Na oficjalnym spotkaniu re-

prezentantów rad pracowniczych w Dziwnówku 20 listopada postanowili oni powołać Stowarzyszenie Działaczy Samorządów Pracowniczych. Wiele rad poparło tę inicjatywę. Relacje pomiędzy samorządem a Związkiem były głównym tematem drugiego już spotkania na Karolkowej, zorganizowanego przez Duszpasterstwo Ludzi Pracy Archidiecezji Warszawskiej. Jak i poprzednie, zgromadziło ono kilkaset osób: działaczy „Solidarności", samorządowców, redakcje podziemnych pism. Przybył też Lech Wałęsa. Można mieć nadzieję, że te warszawskie spotkania samorządowo-związkowe staną się stałym forum dla tych, którzy chcą zmieniać sytuację w zakładach.

Rozrasta się w dość szybkim tempie PPS, który na przełomie roku, w 6 tygodni po zawiązaniu się liczył ok. 400 członków. Wychodzą cztery pisma socjalistów: w Warszawie, Szczecinie, Krakowie i Płocku; zawiązało się kilka kół zakładowych partii, m.in. w paru fabrykach wrocławskich i w „Ursusie". Zainspirowane przykładem PPS kolejne, nieliczne zresztą, grupy postanowiły stowarzyszyć się w partie — mamy więc już Polskie Stronnictwo Ludowe oraz Partię Radykalną.

Dają o sobie znać studenci, m.in. w Warszawie od kilku tygodni trwa akcja ratowania zagrożonych zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej — z petycjami, zbiórką pieniędzy (w styczniu było już 160 tys. zł), *happening*'owymi akcjami na dziedzińcu przed biblioteką. Jej najbardziej spektakularnym akcentem była licytacja dzieł klasyków marksizmu i wybitnych socrealistów pod hasłem „Od partii i bezpieki na remont biblioteki", zakończona symbolicznym pogrzebem BUW ze świeczkami i czarną flagą.

Trzeba tu jeszcze wspomnieć o tym, jak przebiegał w Warszawie — przeprowadzony z inicjatywy Karty 77 — Dzień Solidarności z narodem rumuńskim. Inicjatorami tej akcji w Polsce były: „Solidarność Polsko-Czechosłowacka", PPS i Ruch „Wolność i Pokój". Kierownictwu „Solidarności" niezręcznie było wzywać do manifestacji w dniu wejścia w życie podwyżek, ale przed ambasadą rumuńską 1 lutego znaleźli się i członkowie RKW „Mazowsze", i działacze struktur międzyzakładowych. W sumie zebrało się ok. 150 osób z licznymi transparentami; zatrzymywano wszystkich natychmiast przy próbach ich rozwijania (w sumie milicja zatrzymała ok. 40 osób).

◆

W mass mediach coraz większa *głasnost'*: nowe pismo *Konfrontacje* drukuje w odcinkach „Folwark zwierzęcy" Orwella, Jaruzelski publicznie zapowiada zrewidowanie oceny wydarzeń marcowych, w prasie codziennej ukazują się szczegóły afer łapówkarskich milicjantów i SB-ków. A jednocześnie... mała PAP-owska notatka o spotkaniu noblistów w Oświęcimiu 17 stycznia pełna jest przemilczeń i fałszów. Ani słowa o tym, że laureaci nagrody Nobla zjechali do Polski, by otworzyć tu paryską konferencję, na którą nie mógł przyjechać Lech Wałęsa; za

to wybite, że zjawili się w Oświęcimiu w przededniu 43-ciej rocznicy wyzwolenia obozu. Ani słowa o uczestnictwie Lecha Wałęsy, za to podkreślona obecność przedstawicieli ZBoWiD-u.

Sama uroczystość miała zresztą swoją historię, której oczywiście nie odnotowano. Jeszcze dwa dni wcześniej nie było jasne, czy w ogóle do niej dojdzie. Konsulat PRL w Waszyngtonie nie wydawał wiz, licząc zapewne, że termin minie. Sprawę rozstrzygnęła interwencja wiceprezydenta Busha, który zadzwonił do ambasadora i powiedział, że trudno mu uwierzyć w postępy normalizacji, jeżeli polskie władze obawiają się przyjazdu kilku laureatów nagrody Nobla. Pospiesznie wydano zgodę na lądowanie specjalnego czarterowego samolotu, ale na wizy było już za późno, tak że na lotnisku w Krakowie zastosowano specjalną procedurę: zatrzymano gościom paszporty, a na drogę do Oświęcimia i Brzezinki wyposażono w milicyjną eskortę.

I na tym przykładzie widać, jak nieudolnie władze próbują wchodzić w nową rolę: nawet jeżeli ustępują, to zwykle na tyle późno i nieelegancko, że i tak nie mogą tego zdyskontować.

(ja)

Czym żyje wieś? (cz. I)

Odpowiedź na tak postawione pytanie nie jest łatwa. Pozornie na polskiej wsi panuje cisza. Z wiadomości w prasie oficjalnej można by wnosić, że jest to oaza spokoju na wzburzonym oceanie. Z kolei osobom, które ze względów zawodowych baczniej śledzą rozwój wsi, wiele rzeczy wydaje się tak oczywistych, że ani ich nie odnotowują, ani nie upowszechniają, bo wiedzą z doświadczenia, że na problemy chłopów nie ma miejsca w życiu oficjalnym, przynajmniej dopóty, dopóki dotkliwe braki żywności w sklepach nie wniosą sprawy na wokandę. Zarazem historia Fundacji Rolnej trochę ożywiła zainteresowanie polską wsią.

We wrześniu ub. roku minęło pięć lat od chwili, kiedy prymas Polski kardynał Józef Glemp wystosował do generała Jaruzelskiego list, w którym zaproponował mu zorganizowanie długofalowej, trwałej pomocy dla indywidualnych gospodarstw chłopskich. Inicjatywę tę nazwano Fundacją Rolną. We wrześniu 1986 roku po czterech latach pertraktacji nadano z Warszawy w Świat wiadomość, że wskutek stawianych przez władze PRL warunków prace tymczasowego komitetu organizacyjnego Fundacji Rolnej zostają decyzją prymasa przerwane, a sam komitet rozwiązany. Wiosną 1987 roku dowiedzieliśmy się, że kardynał Glemp powołał

do życia Kościelny Komitet Rolniczy. W jego skład weszły wszystkie osoby z tymczasowego komitetu organizacyjnego Fundacji Rolnej poza jego przewodniczącym, prof. Andrzejem Stelmachowskim, którego zastąpił prof. Witold Trzeciakowski. Potwierdza to pogłoski, że jednym z punktów spornych w pertraktacjach nt. Fundacji Rolnej była osoba prof. Stelmachowskiego. Zarazem był to sygnał, że mimo oficjalnego rozwiązania w/w komitetu gdzieś na niższych szczeblach trwały rozmowy między obu stronami. Ich wynikiem był właśnie nowy Kościelny Komitet Rolniczy. Zmiana nazwy też nie była przypadkowa: w ten sposób sygnalizowano, że teraz batalia idzie o coś zupełnie innego.

Minionego lata stanęła niespodziewanie na forum kongresu Stanów Zjednoczonych sprawa Fundacji Rolnej. Okazało się, że przyznane przez prezydenta Reagana w 1984 roku 10 milionów dolarów na pomoc kościelną dla polskich chłopów wciąż leży na odpowiednim koncie i czeka na wykorzystanie. 18 września 1987 kardynał Glemp podpisał w Warszawie akt notarialny, powołujący Fundację Wodną. Wszyscy zorientowani wiedzieli, że leżące w USA 10 milionów dolarów można podjąć bez żadnych dodatkowych zabiegów do 30 września. Jednak akt notarialny podpisany przez prymasa to jeszcze za mało, by z tych pieniędzy skorzystać. Do tego niezbędny był podpis ministra Rolnictwa i jego ostateczna akceptacja wynegocjowanego przez obie strony tekstu statutu fundacji. Minister Stanisław Zięba się nie spieszył. Swój podpis pod dokumentem złożył dopiero w ostatnich dniach października. Przewodniczący Kościelnego Komitetu Rolniczego prof. Trzeciakowski w wypowiedzi dla dziennikarzy zagranicznych powiedział, że osobiście jest usatysfakcjonowany tym, co osiągnięto, zaś formalna rejestracja statutu w sądzie będzie już tylko formalnością. Wyraził jednocześnie nadzieję, że od stycznia 1988 roku będzie można przystąpić do działania, chociaż wcześniej trzeba poczynić trochę dodatkowych, spowodowanych ministerialną zwłoką zabiegów, by się do tych 10 milionów dolarów w ogóle dostać.

Ostatecznie statut fundacji i fundacja zostały przez władze zarejestrowane na początku grudnia. Ta niczym nie uzasadniona zwłoka spowodowała oczywiście, że na początki praktycznej działalności fundacji trzeba będzie jeszcze poczekać. Dziesięciu milionów dolarów jeszcze na razie na konto fundacji nie przekazano. Nie oznacza to jednak, że oczekiwanie na czek ma być czasem straconym dla sprawy. Wydaje mi się, że członkowie Kościelnego Komitetu Rolniczego wykorzystują go dla przygotowań organizacyjnych. Wyobrażam sobie, iż trwa przede wszystkim rozpoznanie terenu i zbieranie niezbędnych informacji, tak by w momencie kiedy będą już pieniądze przystąpić do pracy. Sądzę też, że w ramach tych przygotowań prowadzi się akcję informacyjną na wsi. Ale powtarzam, tak sobie jedynie wyobrażam. Jak jest w rzeczywistości — nie wiem. Dziwne wydaje się milczenie prasy katolickiej na ten temat. Nie ma żadnych informacji, by cokolwiek w tym zakresie robiono w wiejskich wspólnotach parafialnych. Minęło już kilka miesięcy od momentu podpisania statutu przez prymasa kardynała Józefa Glempa i sporo czasu od chwili formalnego zarejestrowania fundacji, ale sam statut jest znany jedynie wąskiemu gronu osób z Ministerstwa Rolnictwa i Kościelnego Komitetu Rolniczego. Nigdzie go nie opublikowano, nawet nigdzie go szerzej nie omówiono. Stosowne wydaje się w tym miejscu pytanie — czyżby zawierał jakieś postanowienia o których lepiej, żeby społeczeństwo nie wiedziało? Z publicznych wypowiedzi prof. Trzeciakowskiego i sekretarza Kościelnego Komitetu Rolniczego Marii Stolzman można przypuszczać, że jednak władze zgodziły się na to, by ostatnie słowo co do wykorzystania zachodnich dotacji należało do komitetu, a nie do ministra Rolnictwa, że zwolniono te środki z opłat celnych i że wyrażono zgodę na jakąś działalność gospodarczą.

W miarę optymistyczny nastrój osób z komitetu przyćmiły oświadczenia osób ze strony rządowej. Najpierw odezwał się rzecznik prasowy Jerzy Urban, który poinformował, że minister Rolnictwa właśnie zaakceptował przedłożony statut fundacji wspomagającej zaopatrzenie wsi w wodę. Już słowo WSPOMAGAJĄCEJ sugeruje, że program ma być tylko fragmentem jakiejś większej całości. Potwierdził to wkrótce wiceminister Rolnictwa Wiesław Młynarczyk. Powiedział on, że „zamierzenia fundacji będą cząstką koordynowanego przez resort rolnictwa całościowego programu poprawy zaopatrzenia wsi w wodę". Dalej dodał, że „programy zaopatrzenia wsi w wodę wraz z lokalizacją, jak również listy importu rzeczowego maszyn i urządzeń będą uzgadniane z resortem Rolnictwa". W świetle tych słów zapowiadana samodzielność i autonomia fundacji wyglądają nieco inaczej, niż można było sobie wyobrażać. Dopiero zapewne praktyka pokaże, co oznacza słowo „uzgadniane". Czy w takiej formule możliwe jest na przykład veto ministerstwa w przypadku, gdyby KKR zdecydował się zakładać wodociąg we wsi w której władze uznają, że jest to niepotrzebne? Czy w momencie kiedy KKR wystąpi z listą zakupionych za granicą urządzeń władze będą mogły także powiedzieć NIE? Wiadomo przecież, że zawsze można znaleźć stosowne wytłumaczenie i podać je do publicznej wiadomości.

Na uwagę zasługuje ujawniany przez członków komitetu sposób wykorzystania środków zachodnich. Ma to wyglądać w ten sposób, że za posiadane kwoty na rynkach zachodnich zakupi się maszyny i narzędzia rolnicze, przede wszystkim potrzebne w kraju kosiarki rotacyjne i opryskiwacze. Maszyny te mają być następnie sprzedawane zainteresowanym chłopom w Polsce po cenach wolnorynkowych. Będą to więc maszyny bardzo drogie. Nie każdego będzie na nie stać. Ze zgromadzonego w ten sposób kapitału powstanie dopiero kapitał fundacji, z którego będzie się realizowało prace wodno-kanalizacyjne w poszczególnych wsiach. Ten pomysł jest o tyle dobry, że gwarantuje pewną ciągłość inicjatywy. Musi bowiem powstać odpowiednia struktura organizacyjna wraz z zapleczem do obsługi fundacji. Dzięki zgodzie władz na prowadzenie działalności gospodarczej będą mogły rozwijać się i powstawać zakłady produkujące niezbędny przy pracach wodno-kanalizacyjnych sprzęt. Jest szansa, że w ramach

tego programu, a raczej przy materialnej i finansowej pomocy (bo tak sobie to wyobrażam) fundacji utworzy się całą sieć warsztatów rzemieślniczych, tak bardzo na wsi potrzebnych. Do zakładania wodociągów potrzebny jest ślusarz. Raz zorganizowany zakład ślusarski we wsi może później wykonywać cały szereg innych prac z kowalskimi włącznie. Takie teoretyczne szanse są. Na ile jednak władze PRL będą przychylne takim pomysłom, trudno dzisiaj przewidzieć. Wszystko z dnia na dzień może się zmienić. Należy wierzyć, że i członkowie Kościelnego Komitetu Rolniczego i biskupi i sami ofiarodawcy zdają sobie z tych możliwości i zagrożeń sprawę i przedsięwzięli już odpowiednie zabezpieczenia na wszelki wypadek. Na razie, zanim fundacja rozpoczęła działalność, kapitał na niej próbują zbić władze.

Ofensywę propagandową rozpoczęto od prasy przeznaczonej dla wsi. W artykułach podkreśla się przede wszystkim to, że władze opracowały odpowiedni program zaopatrzenia wsi w wodę na najbliższe pięć lat, w którym przewidziano budowę wodociągów dla 215 tysięcy zagród chłopskich. Przeznaczono na to 130 miliardów złotych, a więc grubo więcej, niż może zaoferować fundacja. Powiada się, że przy przeliczeniu 10 milionów dolarów amerykańskich po kursie oficjalnym daje to zaledwie 2,7 miliardów złotych. Zestawienie tych liczb ma określoną wymowę propagandową. W tym kierunku będą zapewne szły i następne artykuły czy też wypowiedzi przedstawicieli władz, by znaczenie fundacji pomniejszyć. Dobrze byłoby więc przypominać im za każdym razem, ile tych pieniędzy mogłoby być, gdyby nie trwający cztery lata upór i ostatecznie brak zgody na Fundację Rolną. Wówczas mówiło się o sumach idących w setki milionów dolarów, które w porównaniu ze 130 miliardami złotych na następne pięć lat świadczyłyby o szczupłych możliwościach rządowych.

Czy wieś żyje Fundacją Wodną? Wiemy, że Fundacja Rolna obudziła na wsi polskiej spore nadzieje. Dzisiaj nadzieje te muszą być proporcjonalnie do sumy dostępnych środków mniejsze. Pewne jest 10 milionów dolarów amerykańskich. Pewne jest 80 tysięcy dolarów wyasygnowanych przez władze Australii. Te pieniądze już przeznaczono na pomoc polskim sadownikom, którym ubiegłej zimy wymarzły sady. Możliwe są dalsze 3 miliony dolarów od rządu RFN. Można przypuszczać, że wraz z rozwijaniem się fundacji pojawią się kolejni fundatorzy. Nic nie wiadomo, jakie są decyzje odnośnie przeznaczonych swego czasu na fundację pieniędzy przez przewodniczącego NSZZ „Solidarność" Lecha Wałęsę. W końcowej fazie negocjacji o Fundację Rolną kanałami kościelnymi wręczono mu list, w którym dziękowano za złożoną ofertę i pieniędzy na polecenie władz nie przyjęto.

W praktyce z pomocy fundacji będą mogły skorzystać te wsie, które same opracują sobie projekty budowy wodociągów, zadeklarują swój własny udział w pracach i jeszcze dodatkowo otrzymają środki państwowe. Dopiero po spełnieniu tych warunków wspomoże je Fundacja Wodna. Warunków do spełnienia jest

zatem sporo. Myślę jednak, że mimo wszystko stanowi to jakiś temat wśród mieszkańców wsi i dlatego właśnie upublicznienie tej sprawy jest szczególnie ważne. Ludzie w Polsce już wiedzą, że trzymanie w tajemnicy przed społeczeństwem szczegółów przebiegu negocjacji o Fundację Rolną dało tylko władzom możliwość manipulowania tematem. Teraz dalsze trzymanie tematu pod suknem może jedynie budzić niezadowolenie, podejrzenia i wątpliwości wśród mieszkańców wsi.

Aleksander ŚWIEYKOWSKI

Opozycja - myśl - polityka

(PRÓBA OPISU)

Jakieś osiem lat temu wszystko wydawało się jasne i uporządkowane. Jedni deklarowali się na lewicy, drudzy po prawicy, a jeśli nawet nie byli do końca zdeklarowani, to i tak ich uszeregowano. Bo też i nie tak wiele grup istniało w polskiej opozycji politycznej. Elementarz historii z lat 1976-1980 zawierałby KOR, ROPCiO, KPN, RMP i może jeszcze RWD.

Aż tu nagle przyszła „Solidarność", potem stan wojenny i wszystko się pomieszało i pozmieniało. Tak do końca to i dzisiaj nie da się ustawić byłych opozycjonistów we współczesnej geografii politycznej. Zresztą naszkicowanie mapy obecnej opozycji nie jest łatwe. Podejmowano wiele prób, z których najbardziej udaną wydaje mi się synteza Sejana w 2-gim numerze wrocławskiego podziemnego pisma *Konkret*. Ona też będzie mi najbardziej pomocna w próbie opisu.

Moim zdaniem na nic zdają się dziś podziały polskiej opozycji politycznej na „lewicę" i „prawicę", bo w tzw. pryncypiach więcej jest punktów zbieżnych niż rozbieżnych. Po pierwsze wspólny jest przeciwnik — władza komunistyczna, po drugie wszyscy są za rzeczywistą niepodległością Polski, za upodmiotowieniem narodu, czy jak wolą inni społeczeństwa. Różnice polegają na sposobach osiągnięcia tych celów i dlatego też linia demarkacyjna — jeśli taka istnieje — przebiega między fundamentalistami i pragmatykami. Taki podział pozwala ponadto lepiej zrozumieć aktualną pozycję „Solidarności", która bynajmniej nie jest jednoznaczna i jednolita i w której podziały wydają się przebiegać po

tej samej linii. „Nigdy z komuną nie będziem w aliansach" — głoszą zagorzali niepodległościowi fundamentaliści. „Wchodzić gdzie się da i wyrywać komunie co się da" — nawołują samorządowcy i liberałowie. A pośrodku pozostaje niemała grupa działaczy opozycyjnych, która poszukuje złotego środka i miejsca dla siebie. Jest ona pełna rozterek i znaków zapytania, które dobrze przedstawił publicysta pisma *Baza* w 38-mym numerze:

„Chciałbym wiedzieć, czy 'Solidarność' to koncepcja współżycia z 'czerwonym', czy też sposób na jego eliminację? Czy my mamy tworzyć władzę, czy opozycję do każdej władzy? Czy 'Solidarność' rozumiana jest jako instytucjonalna wspólnota mas, czy jako wspólnota interesów zróżnicowanych indywidualności? Chciałbym wiedzieć, czy ruch nasz ograniczał się będzie do parafialnych bractw głoszących potrzebę doskonalenia duszy i ciała, miłowania nieprzyjaciół i ratowania substancji narodowej, czy też ruch nasz potrafi te przewagi wykorzystać dla zbudowania siły, którą będzie mógł zagrozić wrogom? (...)

Chcę wiedzieć, czy ruch będzie kierowany przez polityków zdolnych do kompromisów, ale i walki, czy też przywódcami jego będą ci, którzy wszystko co związane z polityką uważają za prowokację?".

Odpowiedzi na te pytania póki co nie ma. Trwa natomiast polityczny ferment w łonie opozycji — rozniecony z nową siłą w ostatnich miesiącach ubiegłego roku — pomiędzy tymi co chcą działać „jawnie" i tymi co „tajnie". Jakie tedy ugrupowania i jakich publicystów opozycyjnych lub działaczy można by zaliczyć do pierwszej grupy? Z racji zasad programowych — chyba wszystkie ugrupowania „niepodległościowe", chociaż i te spuściły ostatnio sporo z tonu, a w 49 numerze *Niepodległości* pisano: „Nie sądzimy, że niepodległość jest dziś w zasięgu ręki. Nie jesteśmy już takimi optymistami, jak cztery lata temu".

Kolejność wymieniania przyjąłem według skali aktywności, przynajmniej tej znajdującej wyraz w wydawnictwach podziemnych.

Na pierwszym miejscu wymieniłbym więc — dziś — nie Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość", która po podziale straciła wiele ze swego dynamizmu, lecz Organizację „Solidarność Walcząca". Nie dopracowała się ona — z małymi wyjątkami, *vide* poznański *Czas* i ostatnio *Europa* — wielkich periodyków programowo-publicystycznych, ani ideologów. Jej niekwestionowany twórca i *spiritus movens,* Kornel Morawiecki wraz z Andrzejem Kołodziejem wystarczą za wszystkich. Charakteryzują się daleko idącą bezkompromisowością jeśli idzie o walkę o niepodległość, absolutnym odrzuceniem jakichkolwiek porozumień z istniejącym w Polsce reżimem, przyjacielskim czy wręcz federacyjnym nastawieniem do innych krajów Europy Wschodniej będących pod sowieckim panowaniem, wreszcie kierunkiem proamerykańskim i popierającym rząd emigracyjny w Londynie. Nie

tyle jednak aktywność teoretyczna co praktyczna jest najmocniejszą stroną „SW". W każdym niemal liczącym się ośrodku wydawane jest małe pisemko *Solidarność Walcząca* lub też pisma pod innymi tytułami. Nie są to wybitne dzieła dziennikarstwa, ale mocno zaznaczają wszechobecność organizacji. Szczególną cechą „SW" jest programowe zainteresowanie i pomoc niezależnym ruchom młodzieżowym.

Jeśli sądzić po wydawnictwach prasowych, to po okresie wyciszenia zwiększa się aktywność Konfederacji Polski Niepodległej. Jak grzyby po deszczu pojawiały się w ubiegłym roku małe pisemka poszczególnych „obszarów", na które dzieli kraj KPN — ostatnio *Obszar III* w Łodzi i *Świt niepodległości* w Warszawie. Jest to partia już znana — i właściwie jedyna, która przetrwała od lat siedemdziesiątych. Upodmiotowienie społeczeństwa, „samoobrona społeczna" i „samoorganizacja narodowa" są ciągle na jej sztandarach (*Strzelec* nr 1-2 z 1983 roku). I tu także, jak sądzę, bezkompromisowość jest głównym powodem jej — stosunkowo dużej — popularności, która ma większe bodaj znaczenie niż podbudowa teoretyczna.

Wiele szumu i zamieszania wprowadziła — zwłaszcza w dwóch pierwszych, powojennych latach — Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość", znajdując tyluż zwolenników, co przeciwników, zarówno w kraju, jak i za granicą — z początku nawet nie jako partia, lecz grupa skupiona wokół miesięcznika *Niepodległość.* Kilka zdań charakterystyki cytuję za Sejanem.

„W swym programie partia traktuje odzyskanie niepodległości jako zasadniczy cel działań politycznych, podkreśla konieczność organizacji społeczeństwa i gospodarki w oparciu o praktykę współczesnego 'demokratycznego kapitalizmu' (respektowanie zasady wolności jednostki, ograniczenie roli państwa, decentralizacja i gospodarka wolno-rynkowa). Propaguje współpracę zniewolonych przez Związek Sowiecki narodów Europy środkowo-wschodniej w dążeniu do niepodległości, wolności i demokracji".

Rozbicie partii w połowie 1985 roku nie wynikało z różnic ideowych, lecz raczej strategicznych. Wychodźcy, czyli przedstawiciele oddziałów gdańskiego, lubelskiego, małopolskiego i wielkopolskiego, wykazują dziś większą aktywność, choć jak wspomniałem rozbicie wpłynęło hamująco na całą partię, a nowowydany organ oddziału lubelskiego *Antyk* pokazał neokonserwatywny charakter partii, ale przy okazji dużo antylewicowej, choć mało konkretnej krytyki. Jednym słowem partia wydaje się być bardziej na „nie", niż na „tak".

W swoim czasie wśród ugrupowań niepodległościowych dużą aktywność programo-twórczą wykazywała Organizacja „Wolność — Sprawiedliwość — Niepodległość", głosząca przede wszystkim pro-

gram zwycięskiej irredenty narodów Europy środkowo-wschodniej jako podstawowego warunku wywalczenia i utrzymania niepodległości Polski. Ostatnio „WSN" zbliżył się do Ruchu Politycznego „Wyzwolenie" — prolondyńskiej organizacji niezwykle aktywnej w 40-tą rocznicę Jałty — tworząc Federację WSN-Wyzwolenie. Ciągoty do łączenia się grup niepodległościowych, a także niektórych skupisk liberalnych są zresztą ostatnio bardzo widoczne, mimo dzielących je różnic. Wyrazem tego są wspólne wydania specjalne pism takich grup jak L-D PN „Niepodległość", właśnie „WSN-Wyzwolenie", Grupy Politycznej „WOLA", Tygodnika *CDN,* Porozumienia Prasowego „Solidarność Zwycięży" czy ostatnio Klubu Myśli Robotniczej „BAZA". Podstawową płaszczyzną łączącą jest wspomniana już solidarność z innymi narodami pod dominacją sowiecką z Afganistanem włącznie i oczywiście sama idea niepodległości. Choć w tym względzie o pełnej jedności mowy być nie może. Dowód na to odnajdujemy m.in. we wspólnie zredagowanym wydaniu specjalnym kilku niepodległościowych i liberalnych pism z okazji 11 listopada. Obok programowo-niepodległościowych deklaracji znajdujemy tam także refleksje znanego publicysty *Woli* Tomasza Litwina, który pisze:

„Nie jestem przeciwny pomysłom i programom niepodległościowym, tylko widzę w nich dwa zagrożenia. Po pierwsze — przeniesienie aktywności społecznej na czas bardzo odległy, gdy świt wolności będzie błyskał na polskim niebie. Po drugie — doraźność i akcyjność przedsięwzięć teraźniejszych: od manifestacji do manifestacji".

W tej części mojej próby opisu współczesnej geografii politycznej Polski nie wymieniłem wszystkich konfiguracji w „fundamentalno-niepodległościowym" gwiazdozbiorze, a tylko te, które działają najaktywniej.

Trudność sprawia dokładne określenie, jakie ugrupowania polityczne można zaliczyć do „pragmatyków". Z pewnością z jednej strony grupę skupioną wokół *Polityki polskiej.* Swego czasu wiele szumu narobiły opublikowane w tym piśmie artykuły: „Iść z Rosją" i Aleksandra Halla „Czynnik stały — Rosja". Na to nałożyły się plotki i pogłoski o rzekomych ciągotach do „kolaboracji". Następnie był artykuł Jana Lityńskiego w *Tygodniku Mazowsze* i odpowiedź Aleksandra Halla i sprawa jakby przycichła. Powróćmy zatem do źródła myśli politycznej reprezentowanej przez *Politykę polską,* czyli do programu zatytułowanego „Między Polską naszych pragnień, a Polską naszych możliwości". Autorzy programu w istocie podchodzą do pojałtańskiego porządku w Europie w taki sposób, iż uznają jego istnienie i nie widzą w najbliższym czasie możliwości zmian, a zatem trzeba coś robić

w takiej a nie innej rzeczywistości. Ukazują tedy cztery pola do działania:

1. na rzecz odnowy moralnej społeczeństwa i ochrony rodziny,
2. tworzenie elit politycznych i społecznych oraz koncepcji polityki polskiej,
3. upowszechniania edukacji narodowej,
4. tworzenia podstaw niezależności ekonomicznej.

Naturalnym sojusznikiem w podejmowaniu takich działań ma być Kościół, ale nie wyklucza się z góry „możliwości zawierania przez społeczeństwo ograniczonych kompromisów z komunistyczną władzą".

„Są wszakże sfery życia — piszą dalej autorzy programu — w których żaden kompromis nie jest możliwy. Nie może on objąć podstaw duchowych naszego bytu, tożsamości narodu, ani dotyczyć kwestii budowania jego suwerenności.

Może jednak ogarnąć sfery stosunków między władzą a społeczeństwem. Precedens stanowią porozumienia sierpniowe. Dziś taki kompromis wydaje się iluzją. W przyszłości może okazać się prawdopodobny. Z pewnością nie zostanie społeczeństwu wspaniałomyślnie ofiarowany. Trudno oczywiście teraz określić jego kształt. Będzie to zależeć od wewnętrznego układu sił w Polsce i okoliczności zewnętrznych.

Jego podstawą mogłaby być rezygnacja społeczeństwa z dążeń do przekształcenia PRL w państwo narodu, w zamian za uznanie przez komunistów autonomii życia narodowego, wyrażającej się przede wszystkim w istnieniu niezależnych od władzy instytucji i organizacji społecznych. (...)

Oczywiście byłby to kompromis chwiejny i niestabilny, ze względu na naturę komunistycznej władzy. Nie moglibyśmy wszakże pozwolić na zaprzepaszczenie takiej szansy w przypadku, gdyby się kiedykolwiek pojawiła".

Jak z tego wynika, „pragmatyzm" *Polityki polskiej* jest dość ostrożny, oparty raczej na realiach układu sił, niż na pobożnych chęciach porozumienia za wszelką cenę.

Z drugiej strony powstała swego czasu Grupa Publicystów Politycznych, która — jak pisano w *Przeglądzie politycznym* — „patrzy na rzeczywistość w kategoriach politycznych, w kategoriach państwa, a nie ideologicznego interesu grup i stronnictw". W artykułach programowych zamieszczonych w tymże *Przeglądzie* odnajdujemy propozycje, które jeszcze do niedawna nie mogłyby się ukazać w prasie podziemnej bez otrzymania określenia „kolaboranci":

„Nierozumne są obecnie powojenne spekulacje polityczne oparte na tym, że Polska należała do obozu aliantów, w którego skład wchodził ZSRR, ale także Stany Zjednoczone i inne państwa zachodnie. Teza ta dzisiaj nie ma żadnego politycznego znaczenia, a liczenie na jakiekolwiek zobowiązania ciążące z tego tytułu na państwach zachodnich jest całkowitą naiwnością.

Pozbawione uzasadnienia politycznego są również nadzieje na to, że gospodarcze, ideowe lub moralne przewagi państw zachodnich doprowadzą do systemowych zmian w obozie socjalistycznym. Przewagi te mogą mieć wpływ na

ograniczoną skalę, ale teorie konwergencji, infiltracji itp. żadnych istotnych skutków nie będą miały.

Nierozumne jest wreszcie uważanie czynnika rządzącego w Polsce za element obcy. Bez względu na to jak doszło do przejęcia władzy w Polsce, po czterdziestu latach sprawowania, siły jej nie tylko okrzepły, ale jej faktyczna obecność na wszystkich poziomach, we wszystkich grupach i warstwach społecznych sprawia, że jest to władza faktycznie stanowiąca o losach polskiego państwa. Czterdzieści lat żadną miarą nie może być uważane za okres przejściowy. (...) Nowa racjonalność to nie front odmowy, to nie historiozoficzny antykomunizm, to nie sentymentalno-wspominkowy patriotyzm, to nie moralistyczne rozliczanie za przeszłość i teraźniejszość, to nie rachuby na wielki wstrząs — to wzięcie odpowiedzialności za interes państwa, na razie w takiej formie, w jakiej jest to możliwe. Nowa racjonalność polega więc na tym, że do czynnika rządzącego odnosi się poprzez interes państwa. Że jest to podstawowe kryterium oceny jego postępowania i oceny ewentualnej z nim współpracy, porozumienia, ugody społecznej zawieranej przez poszczególne jednostki i grupy społeczne".

Tak daleko w „pragmatycznym" podejściu do rzeczywistości, jak Grupa Publicystów Politycznych, nie poszedł nikt, ale realistyczny punkt widzenia, chęć porozumienia z władzą jest właściwa wielu działaczom opozycyjnym, także z kręgów przywódczych „Solidarności", także wśród jej doradców, z których niektórzy dali swemu myśleniu praktyczny wyraz wstępując do Rady Konsultacyjnej, i wielu niezależnych dziennikarzy skupionych wokół dawnego SDP. Odpowiadający tym chęciom punkt widzenia najpełniej, wydaje się, wyraził Jacek Kuroń w wywiadzie dla 41 numeru *Vacatu:*

„Wiemy co robić i wiemy jakie są nasze cele doraźne i perspektywiczne. Brak nam ogniwa pośredniego między tym co robimy, a tym co chcemy osiągnąć. Wynika to z sytuacji, na którą nie mamy bezpośredniego wpływu. Po 13 grudnia władza stała się niewrażliwa na nacisk społeczny. A jeżeli władza jest niewrażliwa na nacisk społeczny, to nie sposób niczego na niej wymusić, chyba żebyśmy wygrali na pięści ze Związkiem Radzieckim. Ale taka sytuacja nie może trwać długo, bo władza, która nie ma wrażliwości na nacisk społeczny, zarazem nie może rządzić, może się tylko od czasu do czasu utrzymywać przy władzy. (...)

Oni, zdając sobie sprawę, że są bezsilni, mogą wyjść nam naprzeciw i szukać jakiegoś *modus vivendi*. Mam poczucie, że Jaruzelski i jego otoczenie zdają sobie sprawę z sytuacji i jakieś takie mini-ruchy wykonują. Ale musieliby siebie przeskoczyć, bo jak tu się porozumiewać? Tylko w jeden sposób, w taki oto, że się pozwoli na powstanie jakichś elementów niezależnej opinii publicznej, jakichś elementów reprezentacji społecznej. A oni co nabiorą powietrza — to je wypuszczą...".

Wiele czynników, zdaniem Jacka Kuronia — może wpłynąć na uwrażliwienie władzy. Między innymi walki w łonie aparatu partyjnego, układ sił międzynarodowych i naciski gospodarcze z Zachodu, wreszcie sytuacja w Związku Sowieckim. Kuroń należy do tych opozycjonistów, którzy zawsze pilnie śledzili, co dzieje się u „Wielkiego Brata" i jaki to może mieć wpływ na przemiany u nas. Tym razem jest zdania, że zmiany w Polsce mogą nastąpić

bez koniecznych zmian w ZSSR i innych krajach bloku. Poza tym Kuroń jest nie tylko życiowym optymistą, ale i człowiekiem, którego rozpiera energia i chciałby nią zarazić wszystkich, dlatego propaguje poszerzenie sfery legalnej działalności, sypiąc propozycjami jak z rękawa...

„Komitety osiedlowe, towarzystwa wszelkiego rodzaju od PTTK poczynając. Jest przecież w kraju mnóstwo instytucji neutralnych, opartych na samorządności, w które można wkraczać i trzeba wkraczać. Dziś pojawiła się ogromna sfera działań w ochronie środowiska i trzeba je podejmować. Ale dotyczy to także wielu innych rzeczy. (...)

Chcę po prostu powiedzieć, że niepodległość to jest bardzo dobra rzecz, ale droga do niej wiedzie przez czynienie naszego życia lepszym. To jest właśnie miejsce dla masowego ruchu który się rozlatuje, bo coraz więcej działaczy zaczyna się zajmować niepodległością 'w ogóle', czyli niczym".

Myślę, że ten końcowy pogląd Kuronia znajduje coraz więcej zwolenników, choć „fundamentaliści" nie dają za wygraną, o czym na zakończenie.

Do pełnego obrazu „pragmatyków" brak jeszcze neo-liberałów. Nie dążą oni zbytnio do porozumienia z władzą komunistyczną, ale starają się przebić ze swą ideologią — na przykład na łamach *Stańczyka* — bądź zmienić świadomość społeczną, propagując prywatną inicjatywę (np. pismo *„13"* i M. Dzielski) i inne myślenie społeczno-gospodarcze. Prym wiedzie tu ostatnio pismo Klubu Myśli Robotniczej *Baza,* a szczególnie jego czołowy publicysta Wero. W pierwszym tegorocznym numerze *Bazy* apeluje wprost o zmianę świadomości ekonomicznej społeczeństwa:

„Musimy mieć świadomość, że coraz to nowe obszary świata aktywizują się w pogoni do przyszłości. Na produkty takich dla nas egzotycznych krajów jak Singapur, Tajwan i Korea patrzymy teraz z błyskiem w oku. Wyobraźmy sobie, że w innych strefach geograficznych startują inni, a my mieszkańcy Europy czym zostaniemy? Świadomość naszego zacofania ekonomicznego i braku perspektyw rozwojowych winna być podstawowym czynnikiem w budowie świadomości politycznej.

Starsze pokolenie obciążone jest nawykami z socjalizmu, obawami przed nowym i jakoś już urządzone. Zmiana ustroju jest musem ekonomicznym i szansą młodych. Trzeba tylko wskazać im jasno perspektywę, a nie łudzić szansami reperacji socjalizmu. Naszym celem nie może być wyczekiwanie na skłonność władz do kompromisu. To władza musi wiedzieć, że społeczeństwo czyha w napięciu, aby tę władzę odebrać i wie co z nią zrobić. (...)

Nadal wielu jest takich, co nie dostrzegają związku między niską jakością naszego życia, a niesprawnością systemu.

Zgadzam się, że nie może powtórzyć się rok 1980, bo to by świadczyło, że historia niczego nas nie nauczyła i nie posunęliśmy się ani o krok w rozwoju świadomości.

Jeśli chcemy społeczeństwo przygotować do walki o przyszłość, musimy wzbudzać przekonanie, że demokracja i dobrobyt są możliwe tylko poza socjalizmem. Bo demokracja to nie tylko swobody polityczne i twórcze, ale także indywidualna inicjatywa, handel i rynek — to szansa dla wszystkich. Pluralizm to nie tylko dwa związki w fabryce, ale wielość inicjatyw politycz-

nych i gospodarczych, to wynikająca stąd wielość artykułów w sklepach i ich nowoczesność, to również różnorodność wyboru karier zawodowych.

Chciałbym tu przekonać 'ugodowców', że jeśli my będziemy żądali tak wyobrażonej demokracji i pluralizmu, to nie naszym a rządu zmartwieniem będzie, jak doprowadzić do rozmów, ugody i pojednania.

Trzeba więc zrobić wszystko, aby transfuzja krwi 'solidarnościowej' wzmocniła społeczeństwo".

Tak oto, w skrócie, przedstawiają się — moim zdaniem — główne nurty współczesnego myślenia politycznego opozycyjnych „pragmatyków". Jak wspomniałem wcześniej, „fundamentaliści" nie dają za wygraną. Oto na wszystkie porozumiewawcze ciągoty odpowiedział ostatnio Andrzej Stanisławski na łamach *Kursu:*

„Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich — mówi indiańskie przysłowie. Sądzę, że obserwowana od pewnego czasu szybka kariera pojęcia 'współuczestnictwo we władzy' jest dobrą ilustracją tego przysłowia. (...)

Należy postawić pytanie, na czym bardziej ludziom zależy: czy na tym, by NIE DAĆ SOBĄ RZĄDZIĆ, czy na tym, by rządzić innymi. Otóż jeśli chodzi o mnie, bardziej mi zależy na tym, by nie dać rządzić sobą. Z tego między innymi powodu propozycja współuczestnictwa we władzy, oprócz swego niewątpliwego aspektu błazeńskiego, wydaje mi się połączona z pewnym niebezpieczeństwem dla wolności ludzkiej".

Chciałbym tu przytoczyć opinię publicysty *Tygodnika CDN — Wola* na temat możliwości znalezienia punktu stycznego pomiędzy orientacjami „fundamentalistów" i „pragmatyków":

„Orientacje owe są w niejednakowym stopniu dojrzałe i nie wszystkie równie znaczące. Wszystkie jednak bez względu na to, czy się definiują jako polityczne, czy nie — realizują jakieś wersje jakiejś polityki polskiej. Wspólnym celem wszystkich nurtów jest Rzeczpospolita Niepodległa i Demokratyczna. Wszystkie one składają się, a w każdym razie powinny się składać na pluralizm wymagający siły i żywotności społeczeństwa. Spory — dziś ważne i głęboko nas pochłaniające — kiedyś zostaną uznane za konieczny czynnik dynamizmu ruchu niezależnego. Nie powinny jednak te spory pochłaniać nas za bardzo. Zwłaszcza w obecnych warunkach swoistego 'przejścia przez pustynię", społecznej rezygnacji, zmęczenia, obojętności, trzeba byśmy jednak wszyscy strzelali do wspólnej tarczy, a nie do siebie nawzajem".

Po tym szkicowym przedstawieniu kierunków myślenia politycznego opozycji, nie wydaje mi się możliwe dokonanie oceny jakościowej. Z wielu stron słychać głosy, że wszystkie te propozycje nie reprezentują zbyt wysokiego poziomu. Nie przyłączam się do tej krytyki uważając, iż na obecnym etapie najważniejsza jest możliwość i chęć wyrażania swych przemyśleń, mnogość poglądów i opinii na wszystkie tematy dotyczące współczesności i przyszłości.

Krzysztof TUROWSKI

P.S. Niniejszy artykuł został napisany jakiś czas temu. Życie i rozwój bieżącej sytuacji ciągle weryfikuje programy i założenia. W wyniku tragicznej sytuacji ekonomicznej coraz więcej do powiedzenia mają pragmatycy. Powstają formalne i nieformalne kluby polityczne, powstała Polska Partia Socjalistyczna, która czynnie włącza się w nurt życia politycznego wespół z innymi ugrupowaniami, w tym z KPN. W łonie „Solidarności" także obserwujemy pragnienie jakiegoś konkretnego rozwiązania nieznośnej sytuacji na dziś. Oświadczenia Wałęsy i RKW Mazowsze są wyrazem takich poszukiwań. Nade wszystko jednak przybierający na sile ruch założycielskich zakładowych organizacji Związku Zawodowego „Solidarność" może stać się z pewnością orzechem twardym do zgryzienia dla władzy.

Fundamentaliści starają się także za wszelką cenę nie dać za wygraną. Tworzą różne koalicje niepodległościowe (na przykład w Krakowie), ale ciosy jakie spadły ostatnio na czołowe ugrupowanie tej formacji — „Solidarność Walczącą" nie mogą pozostać bez echa. I na zakończenie należy także odnotować pewne ożywienie na wsi polskiej. Z doniesień prasy podziemnej wynika, że bliska jest chwila reanimacji PSL-u. Życie polityczne w Polsce ciągle poszukuje swego właściwego kształtu, z oceną obecnych prób należy się jednak wstrzymać tym bardziej, że rosnące niezadowolenie społeczeństwa z powodu podwyżek cen może w każdej chwili przekreślić wszelkie rachuby i oceny i całkowicie zmienić układ opozycji politycznej.

K. T.

O czym informuje przemilczanie?

Napisałem niedawno, że *Tygodnik Mazowsze* jest gazetą dobrze redagowaną i socjaldemokratyczną. Nie jestem — jak wiadomo — socjaldemokratą, niemniej uważam, że nurt ten stanowi niezbędną część europejskiego, a więc polskiego pejzażu politycznego. Mam jednak pod adresem socjaldemokratów — a także innych ludzi politycznych — pewne wymogi, z których trudno by mi było zrezygnować. I tak na przykład uważam, że socjaldemokraci w odróżnieniu od lewicowych socjalistów i innych im podobnych przestrzegają i powinni przestrzegać pewnych przyjętych reguł gry politycznej. Na przykład takiej, że naczelnym zadaniem prasy jest informacja. Również w warunkach półlegalnych, które na ów obowiązek nakładają zrozumiałe ograniczenia typu bhp.

To by było „na ogólne". A „na konkretne"?

Konkretnie chodzi mi to, że *Tygodnik Mazowsze* nie zamieścił dotychczas ż a d n e j informacji o powstaniu tzw. Grupy Roboczej Komisji Krajowej „Solidarność". Prawda, w nrze 223 *Tygodnika Mazowsze* (sprawozdanie z konferencji prasowej) Janusz Onyszkiewicz, zapytany przez przedstawiciela *Kosa,* wspomniał o grupie działaczy „Solidarności", którzy uważają, iż władzą naczelną Związku jest nadal Komisja Krajowa. Nie mogła to być jednak informacja o utworzeniu Grupy Krajowej z tej prostej

przyczyny, że w czasie gdy Onyszkiewicz udzielał wspomnianej odpowiedzi, rzeczona grupa jeszcze się nie ukonstytuowała.

Zakładam, że redakcja *Tygodnika Mazowsze* uważa utworzenie Grupy za błąd i nie zgadza się z jej poczynaniami. Nie o to mi też chodzi, kto ma rację i kogo —zdaniem *Tygodnika Mazowsze* — powinienem popierać. Chodzi mi o naczelne zadanie — o informację. Cokolwiek byśmy bowiem o Grupie Roboczej i jej poczynaniach sądzili, samo jej powstanie oraz związane z tym różnice zdań, to ważne wydarzenie w życiu związku. I elementarnym o b o w i ą z k i e m redakcji *Tygodnika Mazowsze* było poinformowanie czytelników o tych wydarzeniach. Po czym mogła redakcja nie zostawić na Grupie suchej nitki, bo to jej p r a w o.

Chyba, że redakcja postanowiła dowieść, iż rację ma Mieczysław Rakowski twierdząc, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego ustroju. Pozwolę sobie tedy zwrócić uwagę kolegom z *Tygodnika Mazowsze*, że pomijając milczeniem utworzenie i działania Grupy Roboczej, udzielili jednak swym czytelnikom informacji. Tyle, że nie o Grupie Roboczej, a o sobie

a także o lwie.

Post scriptum w zupełnie innej sprawie.

Wysłuchałem ci ja komentarzów przeróżnych, a wielce „kremlinologicznych" w sprawie tego, co Andriej Gromyko powiedział Mieczysławowi Rakowskiemu, a w szczególności w kwestii lwa. Powiedział on bowiem m.in., że w czasie konferencji poczdamskiej Nieboszczyk Koryfeusz „walczył jak lew" o to, by Polska należała do pięknej, sowieckiej części świata, a nie do ohydnej, kapitalistycznej, co gehenną jest. Komentatorzy różnie o tym bajali, ale jakoś nikt nie zwrócił uwagi, że prezydent Gromyko najzwyczajniej w świecie rozminął się z prawdą. W Poczdamie bowiem Stalin nie walczył o Polskę jak lew — ani jakikolwiek inny kręgowiec — bo nie miał po temu najmniejszej potrzeby. Polskę (oraz pozostałe późniejsze kdl-e) ofiarowano mu już w Teheranie i w Jałcie. Rzeczywistym przedmiotem pertraktacji na przełomie lipca i sierpnia 1945 roku była linia graniczna między należącą do sowieckiej strefy rządzenia Polską a sowiecką strefą okupacyjną w Niemczech.

Otóż od lat wyznaję w tej sprawie następującą hipotezę: granica przebiega tak, jak przebiega dlatego, że Stalin był pewien, iż to, co należy do Polski — należy do Sowietów, wcale natomiast nie liczył się ani z możliwością trwałego podziału Niemiec, ani tym bardziej z ewentualnością utworzenia DDReichu. Gdyby poważnie liczył na to, że będzie miał swoje państwo niemieckie, wówczas starałby się o to, by było ono możliwie pokaźne.

A teraz proszę zgadnąć, czyim kosztem mógł tego dokonać.

LEOPOLITA

12 stycznia 1988

List z Kraju

Już ponad trzy tygodnie minęły od mojego powrotu z Zachodu. Aż nie mogę w to uwierzyć! Dopiero dziś korzystając z tego, że nie muszę jechać do Łodzi, bo zajęcia na studiach filmowych odwołano z powodu referendum, zabrałam się do pisania zaległych listów. Oczywiście okazało się, że mój powrót tutaj nie był wcale taki niezbędny, jak mi się wydawało i że mogłam spokojnie jeszcze z tydzień zostać u was.

A więc przede wszystkim w moim Domu Kultury zastałam obraz kompletnego bezruchu, można powiedzieć — bezładu. Brud i bałagan, stojące pod cieknącymi kaloryferami miednice, popsute magnetofony itp., itd. To zupełnie normalny wizerunek tej instytucji, ale jakoś przedtem aż tak mnie to w oczy nie kłuło. Impreza, na którą tak się spieszyłam, została oczywiście z tak zwanych „przyczyn organizacyjnych" przełożona na później. Do Gdańska, gdzie miałam pojechać służbowo, oczywiście pojechać nie mogłam i już w tym roku nie pojadę, gdyż skończyły się pieniądze na delegacje. W ubiegłym tygodniu musiałam odwołać monodram zaproszonego aktora, gdyż nie było mu z czego zapłacić. I tak właściwie jest ze wszystkim. Poza tym nikomu się już nic nie chce, wszystkich ogarnął stan jakiegoś absolutnego przygnębienia, a nawet apatii. Gdy spotkasz się z ludźmi przy wódce, to nie słychać już nawet narzekań na to, że jest źle. To nie jest temat. O tym wiedzą już wszyscy i nikt niestety nie widzi sposobu na wyjście z tego dołka. Więc „nocne Polaków rozmowy", jakie zwykliśmy toczyć, zamieniają się ostatnio w monotematyczne dywagacje typu: „zostać, wyjechać? Australia czy Kanada? Przez Austrię czy przez RFN? A może jednak zostać? A może jechać, póki nie jest za późno?". I tak w kółko, ulubione ostatnio tematy rozmów.

Zauważyłam ostatnio, że niektórym ludziom już się nawet rozmawiać nie chce. Bo po co? Bo o czym? Takiego poczucia beznadziei, jak teraz chyba jeszcze nie było. Ze sklepów oczywiście wszystko poznikało, jak w 1981. Marki RFN „chodzą" już podobno po 800 złotych i wszyscy na gwałt chcą je kupować. A moja sytuacja nic a nic się niestety nie zmieniła w związku z tym, że trochę waluty przywiozłam. I to jest właśnie cała paranoja. Bo bratu przesunięto termin odbioru mieszkania na wiosnę, więc jeszcze tych parę miesięcy muszę się kisić z synem w naszym dwunastometrowym salonie. Chciałam kupić jakieś meble nim podrożeją, ale sklepy puściuteńkie.

Moje studia okazały się niezbyt ciekawe. Za dużo teorii i to takiej, jaką pamiętam jeszcze z polonistyki. Za to dojazdy — potwornie uciążliwe. Aby zdążyć na dziesiątą rano na zajęcia, muszę wyjeżdżać o trzeciej dziesięć w nocy. I oczywiście do Kutna ostatnio jechałam stojąc w zatłoczonym korytarzu, mimo że kupiłam bilet pierwszej klasy.

W Łodzi — jeden nocleg w niedogrzanym i przeraźliwie brudnym akademiku z widokiem z okna na niewywożone chyba od kilku miesięcy sterty śmieci, wysypujące się z ogromnego śmietnika i w towarzystwie myszy harcujących przez całą noc po pokoju, a także przy akompaniamencie chóralnych śpiewów „Górala" i „Czerwonego pasa" dochodzących zza ściany.

I następna noc (po dwunastu godzinach zajęć) spędzona znowu w podróży. Znowu ten sam ohydny dworzec w Kutnie i dwugodzinne czekanie na spóźniony pociąg wśród obłażących z farby ścian, zapachu moczu, piwa i potu. I ten widok ludzi siedzących w bezruchu na ławkach z przeraźliwie ponurymi pozbawionymi wyrazu twarzami, takich pogodzonych ze swoim losem, ze swoją nędzą i upodleniem. Może to zresztą tylko moje fanaberie, bo widziałam ludzi jedzących spokojnie jakieś wstrętne, oślizłe kotlety mielone w bufecie, na którego widok o mało nie dostałam torsji. Więc może to moja wina? Może na tym „zgniłym Zachodzie" w głowie mi się przewróciło? Pewnie tak, bo wszystko wokół mnie drażni i irytuje. Począwszy od zatłoczonego autobusu, do którego nie udało mi się wcisnąć po półgodzinnym czekaniu na deszczu, przez kolejkę po żółty ser, który właśnie się skończył, gdy po godzinnym czekaniu dochodziłam do lady, a skończywszy na kilku moich sąsiadach, którzy z „obywatelskiego obowiązku" pobiegli dziś uczestniczyć w referendum.

Może rzeczywiście należałoby wreszcie zwinąć manatki i wynieść się stąd? Andrzej, mój syn, powiedział parę dni temu, że największym jego marzeniem jest to, aby tak szybko czytać, żeby móc przeczytać codziennie całą książkę. Czyta bez przerwy: od szóstej rano do dziewiątej wieczorem, w każdej wolnej chwili. A ja głupia, zamiast się z tego cieszyć, zastanawiam się nad tym, co on zrobi w tym kraju z tą swoją miłością do książek.

Wybacz, że ten list taki pesymistyczny, ale miałam ochotę z kimś pogadać o swoich różnych rozterkach. Przez pierwszy tydzień po powrocie byłam zupełnie rozdygotana, miejsca sobie nie mogłam znaleźć. Teraz jest już lepiej. Zaczynam się przyzwyczajać. Czy zacząłeś załatwiać już dla mnie obiecane zaproszenie? Jeśli nie, to proszę wpisz tam i mojego Andrzeja. Myślę, że mając zaproszenie w garści, byłabym dużo spokojniejsza. Gdybyś mógł załatwić to zaproszenie w miarę szybko, byłabym ci wdzięczna. To tyle. Moc serdeczności.

az

KOMUNIKAT SPOŁECZNEJ RADY WYDAWNICTW NIEZALEŻNYCH

Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych po szczegółowym rozpatrzeniu polityki finansowej Funduszu Wydawnictw Niezależnych w 1987 roku i sposobu przyznawania pomocy finansowej poszczególnym firmom wydawniczym stwierdza, że działalność FWN była prawidłowa. Dotacje przyznawane były

według zasad przyjętych przez FWN, tzn. tym wydawnictwom, które wykazały się przynajmniej dwuletnim dorobkiem o istotnym znaczeniu. Przy udzielaniu pomocy brano pod uwagę nie tylko udział wspieranego wydawnictwa w ogólnopolskim ruchu wydawniczym, lecz również znaczenie produkcji danej firmy dla regionu lub środowiska, co było słuszną decyzją.

Pomimo pozytywnej oceny polityki finansowej FWN Rada uznała za niewłaściwe utrzymywanie w dalszym ciągu zasady automatycznego przyznawania dotacji wydawnictwom tworzącym Konsorcjum w wysokości 45 % Funduszu. Zasada ta stwarza wrażenie szczególnego uprzywilejowania tych wydawnictw, podczas gdy powinny one uczestniczyć w rozdziale funduszu zależnie od potrzeb, wielkości i znaczenia produkcji.

W ciągu ostatnich dwóch lat pośród 6 firm tworzących konsorcjum wydawnicze 3 utrzymywały wysoki poziom produkcji (Oficyna Literacka, NOW-a i Przedświt). Dorobek 3 pozostałych był stosunkowo niższy. Pojawiły się natomiast inne firmy wydawnicze o poważnym dorobku, nie gorszym od wydawnictw zrzeszonych w konsorcjum, co nasunęło myśl o zmianie składu tego ciała.

Społeczna Rada Wydawnictw Niezależnych po zapoznaniu się z projektem reorganizacji składu Konsorcjum oraz zmian zasad wykorzystywania Funduszu Wydawnictw Niezależnych uważa za wskazane:

1) Dołączenie do Konsorcjum dwóch firm o dużym dorobku wydawniczym: IWA, tj. Inicjatywy Wydawniczej Aspekt z Wrocławia i Wydawnictwa Grup Politycznych „Wola".

2) Pozostawienie w Konsorcjum warunkowo na okres jednego roku firm CDN, Krąg i WSKOS.

3) Dokonanie po upływie roku przez SRWN oceny działalności firm CDN, Krąg i WSKOS, a także najaktywniejszych z pozostałych krajowych wydawnictw, jak na przykład: Litery (Gdańsk), MOST, Myśl, Pokolenie, Rytm (Warszawa) — według opracowanego wcześniej systemu kryteriów. Ocena dorobku tych ośmiu firm stanie się pod koniec roku 1988 podstawą uformowania nowego składu Konsorcjum.

4) Rezygnację członków-założycieli Konsorcjum z dotychczasowej dotacji w wysokości 45 % całości Funduszu.

5) Ustalenie przez nowy skład Konsorcjum nowego systemu dotacji podmiotowych, z zastrzeżeniem przeznaczenia 10 % Funduszu na dotowanie redakcji czasopism kulturalnych o charakterze trwałym (przyjmując za podstawę wydanie co najmniej dwunastu numerów). Dotacje te będą mogły być zarówno jednorazowe, jak i ciągłe.

6) Wprowadzenie dotacji przedmiotowych z Funduszu Wydawnictw Niezależnych przeznaczonych na wydanie pozycji szczególnie istotnych dla rozwoju szeroko pojętej kultury i edukacji narodowej, których cena nie powinna być zbyt wysoka ze względu na społeczną konieczność szerokiego ich rozpowszechnienia. Wydawnictwa winny występować o dotacje przedmiotowe bezpośrednio do zainteresowanych daną edycją instytucji niezależnych. W szczególnie uzasadnionych wypadkach SRWN zastrzega sobie prawo do decydowania o przyznaniu takiej dotacji.

Merytoryczna ocena całości produkcji wydawniczej w kraju nie jest możliwa. Na podstawie uzyskanych materiałów Rada stwierdza, że pomimo wielu trudności technicznych, kolportażowych, wydawane są na ogół wartościowe pozycje, a poziom edytorski uległ poprawie.

Rada czuje się w obowiązku zwrócić uwagę wydawnictwom na konieczność uzyskiwania oceny składowych maszynopisów u kompetentnych recenzentów, aby nie dopuszczać do wydawania chybionych pozycji (np. wydanie słabej i budzącej poważne zastrzeżenia z punktu widzenia etycznego książki „Trzy Teatry" przez wydawnictwo „Rytm") oraz na autoryzowanie lub recenzowanie przekładów (np. sprawa książek prof. Kołakowskiego). Niedopuszczalne są również przypadki przedrukowywania książek bez porozumie-

wania się z autorem (reprint z wydanej przez Libellę książki K. Jagiełło „Krzyż i kotwica"). W przyznawaniu dotacji z FWN należy brać pod uwagę zarówno osiągnięcia, jak i szczególnie drastyczne błędy wydawnictw ubiegających się o pomoc finansową.

Wnioski i propozycje dotyczące działania kolportażu Rada przedstawi w następnym komunikacie.

SRWN

Warszawa, dn. 28 listopada 1987 roku

KOMUNIKAT NOW-ej

Niezależna Oficyna Wydawnicza „NOW-a" informuje, że w *Le Monde* z dnia 6 listopada 1987 ukazał się sygnowany przez kilkunastu wybitnych intelektualistów europejskich apel o pomoc dla niezależnych wydawnictw w Polsce. Wpłaty na ten cel mają być dokonywane na rzecz Towarzystwa NOW-a, na adres paryskiego miesięcznika *Kontakt*. Cieszymy się z tego poparcia i jesteśmy z tego dumni. Równocześnie oświadczamy, że „NOW-a" nie upoważniła nikogo do posługiwania się jej firmą oraz, że zwróciła się do dyrektora *Kontaktu* z prośbą o nie używanie nazwy „NOW-ej" bez naszej zgody.

Warszawa, grudzień 1987

NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA „NOW-a"

Tygodnik Mazowsze nr 232, 16 grudnia 1987.

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

STODIECK'S BUCHHANDLUNG & GALERIE

Blisko 400 tytułów w ciągłej sprzedaży — w tym 90 znacznie przecenionych.

Katalogi wysyłamy bezpłatnie na życzenie.

Stodieck's Buchhandlung,
Richard-Wagner-Str. 39. D-1000 Berlin 10.
Tel.: (030) 341 10 40

Sprawy i troski

Archipelag New York

KOMPLEKS POLSKI

U zbiegu Ulicy Piętnastej i Irving Place w Manhattanie stoi zaniedbany dom użyteczności publicznej. Nie różni się wiele od innych kamienic nowojorskich, które czas i brak funduszy na remonty zamieniają w rudery. Takich domów jest w naszym mieście wiele, dużo więcej niż fotogenicznych wież ze stali i szkła. Tworzą inny, mniej znany czytelnikowi broszur turystycznych pejzaż.

Nazywa się ten dom Domem Żołnierza i jest jedną z nielicznych placówek życia polskiego w centrum Nowego Jorku. Gdyby jednak na jego podstawie mierzyć dynamikę tego życia, złe byłyby to prognozy. Na parterze mieści się bar oddany w ajencję. Z uwagi na konkurencyjne ceny przyciąga robotników z pobliskich placów budowy. Wydobywa się zeń kwaśny odór piwa i dymu papierosowego. Na dużą salę konferencyjną można wejść od frontu, na rogu Irving Place i Piętnastej, albo przemknąć się korytarzem od strony baru. Niekiedy odbywają się tu akademie patriotyczne, opłatki i walne posiedzenia lokalnego oddziału Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, właściciela tej nieruchomości. Salę tę można określić mianem reprezentacyjnej chyba tylko ze względu na jej wielkość. Na ogół stoi pusta. Jej ściany pokrywa wiele warstw farby olejnej. Nowy Jork, wedle określenia Józefa Wittlina, jest Łodzią, cierpiącą na *elephantiasis*. Ta sala mogłaby się znajdować przed wojną może na Bałutach. Kilka pokoi biurowych mieści archiwa SWAP-u, zbiory pamiątek, redakcję pisma *Weteran*.

Ach, gloria oręża polskiego, amaranty zapięte pod szyją, lance i proporce, ułan konia poi. Zabłąkany przechodniu, nie szukaj tu śladów wielkości Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Ten lokal nigdy nie był klubem oficerskim. Nawet w lepszych czasach scho-

dziły się doń na ogół niższe rangi, sól ziemi. A teraz weterani wielkich wojen są już gatunkiem na wymarciu. Kurczą się ich szeregi.

Kilkanaście lat temu dzielnica w której znajduje się Dom Żołnierza pustoszała i zamieniała się w wielkomiejskie getto. Pobliski Union Square, ogromny czworobok z zadrzewionym skwerem pośrodku, objęli w posiadanie narkomani i dostarczyciele narkotyków, alkoholicy i włóczędzy. Jedną z pierzei zajmowały ruiny spalonego niegdyś domu towarowego Kleina, o czym zawiadamiał stary szyld. Droga od stacji kolei podziemnej do Domu Żołnierza mogła służyć po zmroku jako teren do ćwiczeń w samoobronie.

Nowy Jork ma jednak to do siebie, że z równą szybkością jego połacie zamieniają się w osiedla nędzy, co i wyspy dobrobytu, wieżowców, świateł. Zarząd miasta, zaniepokojony katastrofalnym brakiem mieszkań (lokale mieszkalne w naszej metropolii zajęte były w 97 % — rzecz niespotykana w innych wielkich miastach) — postanowił swego czasu udzielić znacznych ulg inwestorom budowlanym. I zaczęła się hossa. W ciągu dziesięciu lat pejzaż miejski Manhattanu zmienił się zdumiewająco. Burzono nie tyle i nie tylko na wpół wypalone rudery, ale i małe nierentowne kamieniczki, by na ich miejscu wznieść wielopiętrowe wieże. Budowa odbywała się chaotycznie, jeśli przykładać do niej miarę urbanistyki, ale za to bezbłędnie odzwierciedlała notowanie działek. I gdyby nie przepisy miejskie nazywane tu *zoning*, czyli strefowanie, kilkupiętrowe domy w Manhattanie zniknęłyby pewnie w mgnieniu oka. *Zoning* wyznacza jednak dozwoloną wysokość zabudowy na danym obszarze, a nawet w obrębie danej przecznicy. Liczy się nie tylko sama działka budowlana, ale i jej tzw. prawa powietrzne. Do tego nowojorski urząd ochrony zabytków trochę utrudnia życie rekinom inwestycyjnym. Urząd pragnie zachować niektóre cząstki miasta w historycznym kształcie, co mu się zresztą niekiedy udaje. Dom z tablicą „zabytek" jest tylko teoretycznie pod ścisłą ochroną.

Powiem truizm, wart jednakże w tym kontekście przypomnienia: największe fortuny robi się w Nowym Jorku na handlu nieruchomościami. Największa korupcja istnieje w przemyśle budowlanym. Ogromne łapówki przechodzą z rąk do rąk. Przedsiębiorcy budowlani błyskawicznie odkryli potencjał okolic Union Square i jego zaplecza — starej dzielnicy Gramercy Park. Irving Place został uznany za uliczkę zabytkową. Przypomina charakterem bardziej stary Londyn niż Nowy Jork. W ciągu kilku lat nieduże domy odrestaurowano i uliczka stała się teraz ulubionym traktem turystyczno-handlowym, z wieloma galeriami sztuki i restauracjami. Z Union Square wynieśli się narkomani. Na miejscu wypalonego domu towarowego Kleina wyrosło osiedle mieszkaniowe w stylu Post-Modern. Część placu trzy razy w tygodniu zamienia się w targ, gdzie można kupić wszystko co rodzi okoliczna ziemia i ocean. Smakosze chodzą tam po jaja prosto od kury i dziczyznę, po owoce i jarzyny wyrosłe na glebie bez nawozów sztucznych. Nie trzeba dodawać, że okolice Union Square stały się szykownym adresem.

Tylko Dom Żołnierza został taki jaki był, kopciuch. Za to działka budowlana, na której stoi — narożna i wyjątkowo długa jak na warunki nowojorskie — stawała się coraz więcej warta. W środowisku polskim zrodziła się idea, która miała wszelkie szanse urzeczywistnienia: zburzyć ruderę, a na jej miejscu wznieść nowy budynek — kompleks polski w rodzaju londyńskiego POSK-u, ale przynoszący także wpływy. Dolne kondygnacje zajmowałyby siedziba SWAP, sala konferencyjno-widowiskowa, galeria sztuki polskiej, księgarnia, kawiarnia, redakcja *Nowego Dziennika*... Znalazłoby się miejsce i dla innych instytucji polonijnych. Ponieważ rozbiórka starego i budowa nowego domu znacznie by przewyższała możliwości finansowe organizacji, zaproponowano, by wyższe piętra gmachu przeznaczyć na mieszkania własnościowe. W ten oto prosty sposób gmach musiał stać się rentowny.

Zaprojektowania kompleksu polskiego podjął się Jerzy Główczewski, znany architekt niegdyś warszawski dziś nowojorski, który nadto sam jest weteranem, żołnierzem Brygady Karpackiej i lotnikiem 308 Dywizjonu, odznaczonym trzema Krzyżami Walecznych. Wedle jego projektu, który można nadal podziwiać na rysunku, u zbiegu Piętnastej i Irving Place miał stanąć zgrabny w proporcjach gmach o trzynastu kondygnacjach. Jego budowa miała szacunkowo pochłonąć 10 milionów dolarów. W Nowym Jorku niezmiernie rzadko inwestuje się własne pieniądze na budowę. Od tego są banki. Uzyskanie kredytów było stosunkowo najłatwiejszą sprawą, tym bardziej, że lokalizacja domu była wystarczającą gwarancją. Działka weterańska , licząca 730 metrów kwadratowych — mała fortuna na Manhattanie — była najlepszym zabezpieczeniem. Zatem od trzeciej kondygnacji Dom Kultury Polskiej miał mieć charakter budynku mieszkalnego z przewagą mieszkań dwupokojowych, na które istnieje znaczny popyt.

Projekt spotkał się z ogólną aprobatą środowiska polskiego. Nareszcie — mówiono — będzie miejsce spotkań z prawdziwego zdarzenia. Obiecywano sobie wiele po 300-osobowej sali, mającej służyć też za scenę teatralną i kino. Nowojorski odpowiednik POSK-u miał konsolidować życie polskie — rozproszone i zdziesiątkowane. Jedynie weterani nie wyrażali szczególnego entuzjazmu, bo na nich spoczywała odpowiedzialność finansowa. Nie bardzo wiedzieli, co zrobić z tym nieoczekiwanym darem losu. Wahania trwały latami. Ale w końcu nawet nie obawa przed

zadłużeniem okazała się czynnikiem decydującym. Sprawę rozstrzygnął *zoning*.

Jerzy Główczewski stara się wyjaśnić mi istotę tego pojęcia:

— Strefowanie wprowadzono w Nowym Jorku w 1961 roku. Zasadniczo istnieją w mieście dwie strefy — rezydencyjna i handlowo-przemysłowa. Nie są one czynnikiem stałym, ustalonym raz na zawsze i ulegają zmianom wskutek nacisków politycznych i ekonomicznych. Przykładowo, strefę wysokości zabudowy przy Union Square postanowiono podnieść. Dom Żołnierza zupełnie przypadkowo znajduje się w strefie komercyjnej, choć powinien należeć do rezydencyjnej.

Zoning — tłumaczy dalej Główczewski — jest tutejszym odpowiednikiem urbanistyki w miastach europejskich. Zarząd miejski może w szczególnych przypadkach wydać przywilej zwany tu *variance* — to jest zwolnienie od obowiązujących na danym terenie przepisów — dodać ponad limit parę lub parenaście pięter. I właśnie o ów *variance* zwróciliśmy się do Ratusza. Zarząd miasta nie zgodził się na wzniesienie gmachu o 13 kondygnacjach, ale zezwolił na dodatkowe dziewięć i pół piętra ponad obecną wysokość Domu Żołnierza. Cały plan rozbił się faktycznie o zgodę na jeszcze dwa dodatkowe piętra... Jest to jednak różnica zasadnicza w rachunku ekonomicznym: przy trzynastu kondygnacjach — budynek miał być rentowny. Dwa piętra mniej — inwestycja będzie już nieopłacalna.

Tuż obok Domu Żołnierza strzela w górę wielka wieża w budowie, a tu poskąpili dwu dodatkowych pięter? Dla postronnego obserwatora wydaje się to dziwne: przecież cel społeczny przynajmniej części budynku był szczytny w mieście, gdzie tyle mówi się o znaczeniu grup etnicznych. I co, burmistrz Koch całuje dzieci w strojach krakowskich na dorocznej Paradzie Pułaskiego, kandydaci przed każdymi wyborami energicznie ściskają prawicę Polaków amerykańskich, a jak przychodzi do konkretnej pomocy, to jej odmawiają? Od czego są naciski?

— W sprawie nacisków to nie do mnie — mówi Jerzy Główczewski. Tłumaczy natomiast dalej zawiłości inwestycyjno-budowlano-rynkowe, bo odkąd zajął się projektem kompleksu polskiego, posiadł był dużą wiedzę w tej dziedzinie. A zatem, wyjaśnia, w 1985 roku minął termin 10-letniego okresu ulg podatkowych dla inwestorów budownictwa mieszkaniowego. Do tego czasu wystarczyło ledwie zacząć budowę Domu, a już było się objętym przywilejem. Tymczasem weterani w żaden sposób nie mogli się zdecydować i tak przeszły cztery lata. Trzeba ich jednak zrozumieć. W ich mniemaniu wystawiali się na zbyt wielkie ryzyko. Staliby się wspólnikami Domu, ale nie jego jedynymi właścicielami. A na dodatek sytuacja na rynku mieszkaniowym zmieniła się zasadniczo w ciągu ostatnich lat. To, co jeszcze pięć lat temu było inwestycją bez pudła — już nią nie jest, z tego prostego powodu, że nastąpiło przeinwestowanie. Powstała na Manhattanie nadwyżka ponad 20 tysięcy nowych mieszkań. Ceny tutejszych kondominiów, czyli mieszkań własnościowych, spadają. Coraz trudniej jest znaleźć nabywców. No i krach finansowy na Wall Street zrobił swoje. Weterani, nie bez słuszności, zaczęli pytać: Kto w naszym imieniu będzie podejmował decyzje finansowe? Kto będzie razem z nami odpowiadał za spłatę kredytu w wysokości 10 milionów dolarów? Co będzie, jak większość mieszkań w Domu będzie stała pusta? A do tego dochodzą trudności budowlane, których kosztów nie sposób przewidzieć: coraz wyższe stawki dla robotników budowlanych, rosnące ceny materiałów, obecność wody podskórnej, którą trzeba wypompować, głębokość wierceń pod fundamenty.

— To prawda — mówi Jerzy Główczewski — zarząd miasta mógł nam pójść na rękę, ale nie poszedł. Chodziło w końcu o zgodę na dwa dodatkowe piętra, a nie na dwadzieścia. Nawet zgoda na wybudowanie owych jedenastu i pół pięter nie jest udzielana dożywotnio, a jedynie na dwa lata. Wygasa zatem w maju 1988 roku, jeśli do tego czasu nie rozpocznie się budowy.

Jeszcze pod koniec 1986 roku wszystko wskazywało na to, że budowa mimo wszelkich przeszkód, oporów i wahań ruszy, ale jesienią ubiegłego roku Okręg II SWAP na walnym zebraniu postanowił inaczej: sprzedać stary Dom Żołnierza, którego działka budowlana ma obecnie wartość szacunkowo ok. 4 mln dolarów, kupić za ok. miliona dolarów nieduży dom, w lepszym stanie od obecnej siedziby, a nadwyżkę przeznaczyć na Fundusz Weterański. Decyzja przeszła niemal jednogłośnie. Bo weterani są weteranami, a nie inwestorami. I pewnie z niewysłowioną ulgą zrzekają się tego daru losu, który, to prawda, mógłby się okazać bardzo kłopotliwy. Dalszy ciąg można łatwo przewidzieć. Nabywca Domu Żołnierza kupi go albo na dalsze spekulacje, albo — mając wystarczający kapitał — nie będzie się spieszył z jego sprzedażą. Działki budowlane w Manhattanie idą w górę średnio o 20 % rocznie. Wystarczy poczekać dziesięć lat — albo przy pomocy odpowiednich nacisków otrzymać od zarządu miasta *variance* i zbudować na działce kilkudziesięciopiętrowy dom.

Główczewski, choć włożył w projekt niemało wysiłku, czasu i pieniędzy, nie ma żalu do weteranów. Nie można — mówi — oczekiwać od nich zdolności do interesów na nowojorską skalę. Ci ludzie pragną już tylko świętego spokoju, pragną zachować co mają. Natomiast jako grupa polska w Nowym Jorku — sprawę przegraliśmy. Decyzja Ratusza, nie weteranów ze SWAP-u, dowiodła, że nie mamy żadnej siły politycznej w mieście. Największą grupę Polaków w Nowym Jorku tworzy teraz nowa emigracja, nie mająca jeszcze praw do głosowania. A zatem nie liczy się

dla kandydatów politycznych, nie trzeba jej odpłacać za głosy przywilejami.

— Zostało popełnionych wiele błędów — mówi mi Bolesław Wierzbiański, który walczył o Dom Kultury Polskiej. Wydawało się, że on właśnie mógł swoimi wpływami wiele osiągnąć. Kocha zna od lat, jest komisarzem miejskim w kwestiach praw człowieka, reprezentuje zorganizowaną Polonię jako prezes wydawnictwa Bicentennial i redaktor naczelny *Nowego Dziennika.* Redakcja i drukarnia w nowym Domu miały stworzyć swoją siedzibę. Księgarnia *Nowego Dziennika,* mieszcząca się w małym kantorku czynnym w godzinach biurowych, przeniosłaby się do odpowiedniego lokalu, z witrynami. Na prace przygotowawcze, prawnobudowlane, *Nowy Dziennik* wydatkował około 30 tys. dolarów. Błąd pierwszy zatem, wedle Bolesława Wierzbiańskiego, polegał na ubieganiu się od Ratusza o zgodę na budowę 13 kondygnacji. A trzeba było domagać się dwudziestu. Błąd drugi polegał na tym, że od początku nie byliśmy odpowiednio reprezentowani prawnie.

Odwołanie od decyzji zarządu miejskiego, jak słyszałam z pewnych źródeł, należy załatwiać przez specjalistę, który za taką usługę bierze znaczne honorarium, dajmy na to — 50 tys. dolarów. Weteranów, nawet w połączonych siłach z innymi współwłaścicielami przyszłego domu, nie stać było na tak poważną sumę, na dodatek z możliwością przegranej sprawy. Termin złożenia odwołania mija po sześciu miesiącach od daty pierwotnej decyzji. Od tego czasu upłynęły ponad dwa lata. Weterani ciągle nie mogli się zdecydować nawet na wynajęcie mniej kosztownego adwokata, a podobno była i taka szansa. Jak mi powiedziano, „koła zbliżone do zarządu miasta widziały rozwiązanie w znalezieniu prawnika, który miał się podjąć tej sprawy za sumę 20 tys. dolarów". Pamiętać jednak należy, że weterani byli dalecy od entuzjazmu co do samej idei kompleksu polskiego na ich terytorium, a co dopiero kosztownej walki z administracją miasta.

Słowem, weterani nie chcieli wydać ani grosza. Burmistrz Koch może mógłby coś zrobić, ale w takie sprawy miesza się bardzo niechętnie. Od początku jednak petenci mieli za dużo wahań, zbyt wiele niepewności. — Nie winię za to weteranów — mówi Bolesław Wierzbiański. Na czele okręgu II stoją ludzie dobrzy i prości, którzy nie chcą ryzykować publicznych pieniędzy. Nie ich sprawą jest organizowanie dla całej Polonii dużego ośrodka polskiego w Nowym Jorku.

Będą mieli zatem domek ciasny ale własny, a świetna działka w świetnym miejscu Manhattanu przyniesie komuś niezłe zyski. — Tak pewnie będzie — mówi szef *Nowego Dziennika.* — Ja sam zamknąłbym oczy i rzuciłbym się w te przepastne inwestycje. Ale już się stało. Będziemy funkcjonować dalej w rozdrobnieniu. W przyszłym roku *Nowy Dziennik* zamierza kupić własny dom. Kiedy się płaci za wynajem lokalu na redakcję i drukarnię ponad sto tysięcy dolarów rocznie, to tyle samo rocznie wynosi spłata za pożyczki własnej nieruchomości. Mamy już upatrzoną dawną szkołę przy Ulicy Dziewiętnastej.

Jest w tym wszystkim pewien paradoks, bo Polacy w Nowym Jorku nie należą do biednych. Główna akcja przeniosła się jednak do Greenpoint. W tamtejszej Kasie Kredytowej — mówi mi Bolesław Wierzbiański — zgromadzono ponad 150 mln dolarów oszczędności. Ludzie kupują nieruchomości, odnawiają je, zarabiają na wynajmie mieszkań. Nawet w Manhattanie działa teraz kilkanaście jadłodajni polskich, które są na dorobku i z czasem zamienią się pewnie w restauracje z prawdziwego zdarzenia.

Młodsza generacja emigracji polskiej nie jest jednak szczególnie hojna, gdy przychodzi do wspierania instytucji o charakterze kulturalno-naukowym. Być może bierze się to ze starego przyzwyczajenia, że na kulturę w Polsce idą pieniądze państwowe. A tu trzeba ją nie tylko samemu tworzyć, ale i jeszcze utrzymywać. Na to jakby brakuje i wizji, i chęci. Więc mimo że Polaków jest coraz więcej, instytucje naukowo-kulturalne w Nowym Jorku z trudem wiążą koniec z końcem.

Czy zatem „koncepcję nowojorskiego POSK-u szlag trafił", mówiąc słowami Bolesława Wierzbiańskiego? Każda instytucja będzie miała swój mały domek? Kompleksu polskiego w takim kształcie jaki zaprojektował Główczewski chyba nie będzie, ale istnieje rozwiązanie wariantowe. Mówi się teraz o projekcie wspólnego dachu dla kilku głównych polskich instytucji: Polskiego Instytutu Naukowego, II Okręgu SWAP, Instytutu im. Piłsudskiego i może kilku innych. PIN, który przed rokiem wprowadził się do nowego domu przy Ulicy Trzydziestej nie wyklucza jego sprzedaży i ponownych przenosin do budynku wspólnie kupionego ze SWAP-em. Poprzednia przeprowadzka, po przymusowym opuszczeniu siedziby przy Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy, była męką, a wskutek rocznej bezdomności PIN praktycznie zawiesił działalność. Jednakże dom przy Trzydziestej pozostawia wiele do życzenia. Z najwyższym trudem udało się w nim upchnąć archiwa. Sala odczytowa ma wielkość saloniku. Byłoby więcej miejsca, gdyby rozebrało się kuchnie i łazienki, bo dom kupiony przez PIN składa się po prostu z połączonych ze sobą mieszkań, *duplex*'u i *triplex*'u, jak się tu mawia. Ale skoro nosi się z zamiarem sprzedania go, to po co miałby rozbierać pomieszczenia, które podnoszą cenę nieruchomości?

Przeprowadzka czeka też Instytut imienia Józefa Piłsudskiego. Czy nie szkoda takiego dobrego lokalu, na siódmym piętrze biurowca przy Park Avenue South? — pytam prezesa, Stanisława Jordanowskiego. Mój rozmówca jest usposobiony filozoficznie.

— wygodne to z pewnością nie będzie, ale chyba konieczne. Lokal wynajmowany przez Instytut ma trzy tysiące stóp kwadratowych. Księgozbiór liczy ponad 12 tysięcy woluminów, w archiwach znajdują się setki tytułów prasy, także prasy „Solidarności", bodaj najbogatsze zbiory w Stanach. Plus około 16 tysięcy fotografii, a także odznaczenia, medale, pamiątki. Zasadą Instytutu jest zbieranie wszelkiej dokumentacji dotyczącej najnowszej historii Polski. Przez ostatnie dwa lata placówka zamykała rok budżetowy z poważnym deficytem. Rok 1987 był nieco lepszy — prawie na zero. Instytut zatrudnia tylko jednego płatnego pracownika, pozostałe obowiązki pełni się honorowo. Tymczasem największą część budżetu bo ok. 60 % pochłania czynsz. Pięć lat temu wynosił 29 tys. dolarów, dziś — ponad 40 tys. rocznie. Obecna umowa wygasa w lipcu 1988 roku. Pozostaje konieczność zmiany adresu. Instytut nie może sobie pozwolić na czynsz rosnący z każdym rokiem o 10 %. — Dzielić ze SWAP-em przyszły lokal jest dla nas dobrym rozwiązaniem. Chwyciłem się tej inicjatywy — mówi Stanisław Jordanowski. Dla weteranów jesteśmy atrakcyjnym wspólnikiem, nie tylko ze względu na archiwa, ale i nasze kontakty z młodzieżą. Przyszła Fundacja Weterańska liczy na kontynuatorów swoich ideałów.

Stanisław Jordanowski jest człowiekiem doskonale zorientowanym w meandrach prawno-finansowych w Nowym Jorku. Dodaje mi jeszcze jedną informację: otóż ze względów podatkowych weteranom dużo bardziej opłaciłoby się dom zamienić, niż sprzedać stary i kupić nowy. Od kilku lat w stanie New York obowiązuje podatek od wzbogacenia, który wynosi niemało, bo 10 % od transakcji powyżej 1 mln dolarów w wypadku sprzedaży nieruchomości. Takiej zamiany należy jednak dokonać najdalej do maja, ponieważ wtedy upływa termin zgody zarządu miasta na budowę 13 kondygnacji na weterańskiej parceli. — A gdyby Dom Żołnierza odremontować? — pytam. — Remont kapitalny takiej rudery? To byłby olbrzymi koszt. Ten dom nadaje się już tylko do rozbiórki — słyszę w odpowiedzi.

Jak to się dzieje, że polska grupa etniczna, wedle statystyk, jest czwartą pod względem zamożności w Stanach Zjednoczonych, a gdy przychodzi do zorganizowanych form życia społecznego i kulturalnego, przedstawia się ono mizernie? Jak to się dzieje, że na ulicach Nowego Jorku polski słychać na każdym kroku, a oba instytuty borykają się nieustannie z trudnościami finansowymi? Jak to się dzieje, że projekt wzniesienia nowoczesnego kompleksu polskiego nie spotkał się z konkretnym poparciem? Przecież taki ośrodek byłby naturalnym forum dla wielorakich inicjatyw i z pewnością mógłby się przyczynić do podniesienia stopnia samoświadomości wśród Polaków mieszkających w Ameryce. Uczyniłby z nich może w przyszłości grupę bardziej liczącą się jako siła polityczna, o czym w roku wyborów prezydenckich szczególnie warto pamiętać. Tymczasem Polacy w Nowym Jorku są grupą rozdrobnioną, podzieloną, na dobrą sprawę pozbawioną rzutkiego przywództwa i wspólnej wizji.

Zapewne sporo można by tłumaczyć cechą szczególną Ameryki, które nie jest krajem *e*migrantów, lecz *i*migrantów, a jest to rozróżnienie kluczowe. Jednakże Włosi, Irlandczycy, Żydzi są dużo bardziej scalonymi grupami etnicznymi, o silniejszej więzi i bardziej dynamicznym działaniu niż Polacy. Wydaje się, że o słabej strukturze instytucji polskich w Stanach Zjednoczonych zdecydowały historyczne podziały i animozje społeczeństwa polskiego oraz podporządkowanie się zjawiskom społecznym typowo amerykańskim. Kulturę polską, jak wiadomo, cechuje wiara w szczególne powołanie inteligencji jako warstwy, która odziedziczyła tradycyjne wartości szlacheckie. A zatem ludzie z większą świadomością tradycji kulturalnej swego kraju należą do dużo mniej licznej *emigracji* w Stanach Zjednoczonych, natomiast ci, którzy przyjechali do Ameryki przede wszystkim po to, by poprawić standard życia i wybić się dzięki wolnemu rynkowi, należą raczej do grupy zwanej *Polonią*. PIN jest instytucją w istocie elitarną, kontynuującą tradycje Polskiej Akademii Umiejętności. W tym sensie jest ona emigracyjna. Organizacja o charakterze polonijnym ma charakter populistyczny, lokalny i ograniczone na ogół ambicje. Strukturą przypomina raczej stowarzyszenie parafian. Między tymi dwoma typami instytucji istnieje pewne napięcie, ponieważ odzwierciedlają one tradycyjny podział w Polsce na inteligencję i na nieoświecone masy. Doświadczenie amerykańskie natomiast gloryfikuje *self-made-man*'a, a społeczeństwo dzieli nie wedle wykształcenia, lecz statusu majątkowego.

Do jakiego stopnia są to dwa światy polskie, ilustruje niedawny reportaż poświęcony młodej generacji artystów polskich osiadłych w Nowym Jorku. Reporter *New York Times*'a odwiedzając grafików, muzyków i aktorów usłyszał w odpowiedzi bardzo stanowcze odżegnanie się swoich rozmówców od jakichkolwiek związków z Polonią. Artykuł był powierzchowny i trywialny, ale bez osłonek ukazywał istniejący podział. O tym, że animozje te istnieją i są jednym z kluczy do zrozumienia podziału polskiej grupy etnicznej w Stanach Zjednoczonych, świadczy też gwałtowna reakcja w liście do redakcji na wypowiedź Miłosza o Polonii amerykańskiej, ogłoszoną w książce rozmów z nim i opublikowaną we fragmentach w *The New York Times Book Review*. Autor, profesor slawistyki, poczuł się głęboko dotknięty uwagami poety pod adresem stanu poziomu intelektualnego Polonii.

Dla Polonii Greenpoint, mający wszelkie cechy małego miasteczka, choć jest częścią Nowego Jorku, jest ważnym ośrodkiem

społecznym, rozrywkowym, handlowym. Dla emigracji podział na Miasto i Prowincję jest nadal niezmiernie ważny. Szanująca się instytucja społeczno-naukowa nie chce się wynieść z Manhattanu, bo tylko on jest tożsamy z pojęciem Centrum w Nowym Jorku. Topografia znaczy wiele w hierarchii ważności, ale nie dyktuje jej tylko snobizm, lecz i wzorce kulturowe: kultura polska jest z natury centralistyczna.

Mimo odmiennych warunków, z Polaków w Ameryce nie tworzy się grupa o zgoła odmiennych cechach od tych, które ukształtowała tradycja historyczna. W Archipelagu New York mieszkają endecy i piłsudczycy, członkowie obozu patriotycznego i ugody z Moskwą. Oto dowód na to, że formy, gdy raz powstaną, istnieją wiecznie.

Renata GORCZYŃSKA

P.S.: A jednak — istnieje pewna nadzieja. Już po napisaniu powyższego tekstu otrzymałam list od Stanisława Jordanowskiego, a w nim następujące zdanie: „Unia Kredytowa Centrum Polsko-Słowiańskiego zdecydowała przejąć lub sfinansować budowę Domu Społecznego, a raczej Społeczno-Mieszkalnego, zatrzymując dla siebie odpowiednie (narożne) lokale na bank oraz biuro piętro wyżej. W części społecznej ma być miejsce na SWAP, Instytut Piłsudskiego i PIN. Umowy pisemnej i terminu wykonania projektu jeszcze nie ma".

R. G.

POLCUL FOUNDATION
NIEZALEŻNA FUNDACJA POPIERANIA KULTURY POLSKIEJ

Dyrektorzy: J. Boniecki, K. Nadolski, J. Pakulski, W. Zagała.
Adres: P.O.Box 193, Rose Bay, N.S.W. 2029, Australia.
Tel.: (02) 326 2863

KOMUNIKAT

W dniu 17 stycznia 1988 roku Fundacja nasza przyznała dalszych 36 wyróżnień. Z liczby tej 5 osób otrzymało nagrody im. Krystyny i Bolesława SINGLER z Melbourne.

Według grup zawodowych wyróżnienia otrzymali:

— Aktorzy	1
— Dziennikarze i publicyści	4
— Księża	1
— Plastycy	3
— Poeci i pisarze	5
— Pracownicy naukowi	2
— Pracownicy prasy i wydawnictw	9
— Pracownicy społeczni i oświaty	3
— Działacze związków zawodowych i obrońcy praw człowieka	8

Od początku istnienia Fundacji (1980) przyznano ogółem 379 wyróżnień.

Sąsiedzi

Historyczne spotkanie

W dniach 8 i 17 października 1987 roku miały miejsce w Rzymie dwa spotkania, ważne dla stosunków polsko-ukraińskich. Okazją do nich były przygotowania do obchodów jubileuszu tysiąclecia chrztu Rusi w 1988 roku. Okolicznością ułatwiającą je była obecność w Rzymie, na synodzie biskupów, prymasa Polski, kardynałów H. Gulbinowicza i Fr. Macharskiego oraz kilku innych biskupów polskich, a jednocześnie pobyt w Rzymie w tym samym czasie z racji odbywającego się tu synodu biskupów ukraińskich, arcybiskupów-metropolitów Maksyma Hermaniuka z Winnipegu (Kanada), Stefana Sulyka z Filadelfii (USA), generała bazylianów oraz innych osobistości diaspory ukraińskiej w świecie. W Rzymie reprezentuje ją rezydujący tu na stałe arcybiskup większy Lwowa, kardynał Mirosław Lubacziwski, który podczas wspomnianych spotkań przemawiał w imieniu Ukraińców.

Pierwsze spotkanie odbyło się w Papieskim Kolegium Polskim i, jak by to wynikało ze słów prymasa („Do polskiej wspólnoty zaprosiliśmy dziś naszych braci Ukraińców"), odbyło się z inicjatywy episkopatu polskiego[1]. Kardynał Lubacziwski dziękował na nim za „wspaniałe przyjęcie, wspólną kolację[2]". Podczas obu spotkań padły ważne stwierdzenia i słowa, które po obu stronach należy, jak sądzę, popularyzować, by mogły służyć przełamywaniu utartych, negatywnych schematów w stosunkach polsko-ukraińskich i ułatwiać wzajemne zrozumienie.

Obydwa przemówienia kardynała J. Glempa, pierwsze wygłoszone w Kolegium Polskim (8 października) i drugie, wypowiedziane w Kolegium Ukraińskim (17 października) miały pewną

---

1. Jeśli to przypuszczenie jest słuszne, to fakt ten ma znaczenie historyczne.

2. Teksty przemówień kardynała Lubacziwskiego cytowane są za *Pismem okólnym*, wydawanym przez Biuro Prasowe Episkopatu Polski. Tekst pierwszego przemówienia został spisany z taśmy magnetofonowej i nie jest autoryzowany.

perspektywę historyczną i zawierały stwierdzenia programowe o charakterze psychologiczno-moralnym. Mówca dał w nich także zwięzły zarys najnowszej , powojennej historii Kościoła unickiego w Polsce i obraz jego aktualnej sytuacji duszpasterskiej.

W pierwszym przemówieniu, nawiązując do jubileuszu tysiąclecia chrztu Rusi prymas mówił we wstępie o „wielkim narodzie (...), którego dzieje nie mogą być odłączone od Polaków". Istotną częścią tego przemówienia był następujący jego fragment: „Nie chcemy, mówił w nim, poruszać historii, w której na pierwszy plan wybijają się sprawy bolesne. Taka jest tendencja patrzenia na nasze wspólne dzieje. Może kiedyś odkryjemy w naszej historii dobre karty, bo i takie były. Byli w naszej historii Ukraińcy, którzy kochali Polaków i byli Polacy, którzy kochali Ukraińców. Dziś jednak przytłacza nas jakby nawyk narzekań, uprzedzeń oraz wspomnienia łez, a także krwi. Nie wolno nam podejmować licytacji, kto komu więcej krzywd wyrządził. Do niczego to nie doprowadzi. Szczególnie my, duchowni, winniśmy wiedzieć, że gojących się ran nie wolno rozdrapywać. Pomyślmy, że mógł być ktoś trzeci, co nas wzajemnie podburzał, by wygrać własne interesy".

Przedstawiając w tym samym przemówieniu sytuację Kościoła greckokatolickiego w Polsce, prymas wskazał na fakt, że jeśli Kościół ten tutaj „nie musi się ukrywać", ale „jest znany i uznany w społecznym wymiarze", to stanowi to konsekwencję „długich lat upartego domagania się swoich praw" przez Kościół polski. Przypomniał także, iż „proces uzyskiwania praw przez Kościół greckokatolicki trwa". Jako przykład jego dynamizmu w Polsce i, należałoby dodać, zdecydowanego poparcia Kościoła polskiego, kardynał podał, iż w ciągu ostatnich lat wierni narodowości ukraińskiej uzyskali kilkanaście nowych ośrodków duszpasterskich, wzrost liczby powołań kapłańskich i zakonnych, ofiarną pracę dwóch wikariuszy generalnych, wydanie modlitewnika w języku ukraińskim[3], kalendarza i Ewangelii. Tu mówca dorzucił, że „wydawnictwa te mogą służyć wiernym ukraińskim nie tylko w Polsce". Ogólnie wspomniał także o tym, że „dynamiczny rozwój Kościoła greckokatolickiego w Polsce nie odbywa się bez trudności" i że „wynikają one z niełatwego ludzkiego bytowania, ścierania się różnych wpływów i nastrojów", które jednak nie powinny „przesłaniać ogólnej linii rozwoju Kościoła tak samo w rycie greckokatolickim, jak i rzymskim". W swoim drugim przemówieniu prymas nawiązywał do ewangelicznego nakazu przebaczenia i pojednania oraz opartego na nim historycznego listu biskupów polskich do niemieckich. „Jesteśmy, mówił, winowajcami wobec Was, bracia Ukraińcy, bo nie umieliśmy nauki wynikającej z chrztu świętego wprowadzić w życie". I tu, cytując gorzki dla Polaków wiersz Bohdana Zalewskiego, prymas stwierdził: „Mamy winy jedni wobec drugich. A gdzie są winy, tam trzeba mówić: Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy".

3. Modlitewnik ukazał się w stosunkowo wysokim, jak na ogólną liczbę wiernych, nakładzie 70 tys. egzemplarzy.

Wypowiedzi te w stosunkach polsko-ukraińskich i na tym poziomie są chyba bez precedensu. Mogą też i powinny być cenną inspiracją do różnych wniosków w dziedzinie praktycznej i naukowej, mających na celu lepsze wzajemne zrozumienie. W swoim przemówieniu prymas zwrócił również uwagę, że millenium chrztu Rusi jest nie tylko sprawą Kościoła w Polsce, ale „sprawą całego chrześcijaństwa, a także kultury z chrześcijaństwem związanej".

Nie można pominąć drobnego pozornie, ale w gruncie rzeczy powodującego dużą dezinformację błędu w wypowiedzi księdza prymasa. Podając w przybliżeniu liczbę kilkuset tysięcy Polaków rzymskich katolików żyjących na Ukrainie, mówca poinformował, że pracuje tam, w bardzo trudnych warunkach, zaledwie 14 kapłanów. Liczbę tę bezkrytycznie powtórzyło *Pismo okólne*. Tymczasem pracuje ich tam 41, nie licząc Zakarpacia, gdzie na 41 parafii[4] jest obecnie 11 księży, w tym ogromna większość zupełnie niezdolnych już do pracy z powodu wieku[5].

Obydwa przemówienia kardynała M. Lubacziwskiego miały nieco inny charakter. W pierwszym, wygłoszonym w Kolegium Polskim (8 października), kardynał mówił o cierpieniach Kościoła greckokatolickiego na Ukrainie, jego delegalizacji, deportacji na Syberię setek tysięcy wiernych, odmawiających podpisania dokumentów zjednoczenia z Rosyjską Cerkwią Prawosławną i wyraził żywe zainteresowanie tymi, którzy żyją w Polsce. Przedstawił także krótko plany obchodów tysiąclecia w Rzymie, Ziemi Świętej, Jugosławii i, ewentualnie, w Polsce.

Podczas drugiego spotkania (17 października) w Kolegium Ukraińskim kardynał Lubacziwski wystąpił jako gospodarz z dłuższym przemówieniem. Witał kardynała J. Glempa jako prymasa Polski i jako specjalnego delegata Stolicy Apostolskiej dla Ukraińskiej Cerkwi Katolickiej w Polsce oraz licznych przedstawicieli hierarchii Kościoła polskiego. Byli wśród nich dwaj pozostali kardynałowie, H. Gulbinowicz i Fr. Macharski, arcybiskupi J. Stroba i Br. Dąbrowski oraz biskupi Ignacy Tokarczuk, Jerzy Dąbrowski, Stanisław Szymecki, Szczepan Wesoły, Zenon Grocholewski, sekretarz Sygnatury Apostolskiej, Władysław Jędruszuk, Ryszard Karpiński i prałat Stanisław Dziwisz, sekretarz Jana Pawła II.

Wstępna część przemówienia zawierała interesującą informację historyczną, wskazującą na pewne precedensy obecnych spotkań. Otóż, jak przypomniał mówca, 22 maja 1945 roku do Kolegium św. Józefata przybył ówczesny prymas Polski, kardynał August Hlond, by spotkać arbpa Iwana Buczkę, opiekuna duszpasterstwa Ukraińców na uchodźstwie, a później na rozmowy z nim zachodził często rezydujący w Rzymie arcbp Józef Gawlina. Kolegium Ukraińskie odwiedzał także kolejny prymas Polski, Stefan Wyszyński. Warto odnotować te inicjatywy strony pol-

4. W tym 31 z językiem węgierskim, 5 z niemieckim i 5 słowackim.

5. Od lata 1987 roku pracuje tam, jako jedyny młody duszpasterz (26 lat) ks. Piotr Żarkowski, pochodzący z winnickiej *obłasti*. Święcenia kapłańskie otrzymał w Rzymie w 1986 roku.

skiej, świadczące o utrzymywaniu się historycznych więzów i trosce o Kościół unicki w Polsce.

Kardynał mówił o tym, że atmosfera silnej wiary pomaga Ukraińcom w Polsce zachować skarb wiary i wskazywał, że dzięki pomocy biskupów polskich udało się zorganizować tam ponad 80 ośrodków duszpasterskich, obsługiwanych przez ponad sześćdziesięciu kapłanów, że ożywiająca je wiara rodzi liczne powołania kapłańskie i zakonne. Stwierdził również, iż spotkanie „ma wyraz szczególnej wagi i wartości" ze względu na wspólną modlitwę i „braterską rozmowę u progu wielkiego jubileuszu tysiąclecia chrztu narodu ukraińskiego". Dziękując prymasowi Polski „za słowa pociechy i otuchy skierowane do Cerkwi i narodu oraz za zapewnienie o współpracy dla dobra naszych bratnich narodów, ukraińskiego i polskiego, na pożytek Kościoła katolickiego obydwu obrządków na terenie Polski i poza jej granicami" — kardynał odpowiedział na jego wezwanie do wzajemnego wybaczenia uraz i krzywd. Mówił: „Eminencjo! Jesteśmy wdzięczni Wam i Waszym współbraciom w biskupstwie za wyrażoną gotowość zapomnienia wszystkich bolących urazów i tego, co nasze narody tak często dzieliło w ciągu ich historii, a co nieraz od nich było całkowicie niezależne". Nawiązując do słynnego listu biskupów polskich do niemieckich z 1965 roku, przed tysiącleciem chrztu Polski, mówca wypowiedział podobne myśli:

„Stojąc dzisiaj u progu wielkiego jubileuszu tysiąclecia chrztu Rusi-Ukrainy — mówił — istnienia Cerkwi kijowskiej i uczestnicząc w siódmym generalnym synodzie biskupów w Rzymie, któremu przewodniczy drogi nam wszystkim słowiański Papież Jan Paweł II, również my — hierarchia Ukraińskiej Katolickiej Cerkwi, wyciągamy braterską dłoń do braci Polaków na znak pojednania i miłości". W tym fragmencie swoich dwóch przemówień kardynał Lubacziwski postawił na chrześcijańskiej płaszczyźnie moralnej problem stosunków polsko-ukraińskich. Można mieć nadzieję, że słowa te — również, jak się wydaje, bez precedensu — będą miały dobroczynny na nie wpływ.

Trudno tu pominąć niepokojący w swej wymowie fakt. Otóż w obu przemówieniach kardynała Lubacziwskiego uderza zaskakujący brak w porównaniu z przemówieniami prymasa Polski i z przywoływanym listem biskupów polskich do niemieckich. Ci ostatni użyli, jak wiadomo, słynnej formuły „przebaczamy i prosimy o przebaczenie". Tę samą tak ważną i potrzebną formułę wypowiedział, choć nieco innymi słowy, prymas Polski, mówiąc o winach Polaków.

Kardynał Lubacziwski mówił również o przebaczeniu, lecz dla powodów, które trudno pojąć, pominął drugą, tak doniosłą moralnie i wielką duchowo część formuły: „i prosimy o przebaczenie".

Czy nie jest to zmarnowanie wielkiej, historycznej szansy leczenia obustronnych kompleksów, które właśnie na płaszczyźnie moralno-religijnej się zaczyna? Przez ten zamienny brak kardynał Lubacziwski bardzo pomniejszył i osłabił duchową postawę strony ukraińskiej.

List biskupów polskich do niemieckich zapoczątkował głębokie zmiany psychologiczne, a w konsekwencji i polityczne. Jaki będzie miało wpływ na stosunki ukraińsko-polskie przedstawione tu niecodzienne spotkanie najwyższej hierarchii kościelnej polskiej i ukraińskiej — pokaże przyszłość. Należy pragnąć, by stało się ono inspiracją do konkretnych kroków i działań, mających na celu lepsze wzajemne poznanie i zrozumienie. Będzie ono bowiem najlepiej służyć usuwaniu narosłych przez wieki, zdawałoby się nie do przebycia, przeszkód między obu naszymi narodami.

Józef MIRSKI

W sowieckiej prasie

Z Moskwy nadeszła dobra nowina. Zrobiono wszystko, aby nie przeszła niezauważona. Uroczysty głos przerwał projekcję telewizyjną filmu „Cichy Don" i zapowiedział, że na ekranie pojawi się generalny sekretarz Michaił Gorbaczow. Zanim Gorbaczow otworzył usta, TASS już przekazał po angielsku na cały świat tekst jego przemówienia. Sama nowina jest jednak rzeczywiście dobra. Gorbaczow oświadczył, że Związek Sowiecki gotów jest zacząć wyprowadzać swe wojska z Afganistanu 15 maja, jeśli do 15 marca zostanie podpisana umowa między Kabulem a Islamabadem w toku negocjacji genewskich, które za pośrednictwem ONZ trwają od 1982 roku. Wyprowadzanie wojsk potrwa, zdaniem Gorbaczowa, dziesięć miesięcy.

W grudniu ubiegłego roku Gorbaczow oświadczył w Waszyngtonie, że polityczna decyzja wycofania wojsk z Afganistanu już zapadła. Obecnie przedstawił po raz pierwszy konkretne terminy. Więcej, zrezygnował z uprzedniego warunku — utworzenia przed wyjściem sowieckich wojsk rządu koalicyjnego w Kabulu. O ostatecznym miejscu swej ojczyzny wśród innych państw zadecydują sami Afgańczycy, oświadczył.

Umowa genewska nie została jeszcze podpisana, szczegóły zawarte między wierszami oświadczenia Gorbaczowa nie zostały jeszcze zanalizowane, ale fakt pozostaje faktem: Moskwa przyznała się do porażki w Afganistanie. Porażki wojskowej i politycznej.

Porażka wojskowa nie ulega kwestii. Wynika to nie wprost, ale jasno z przemówienia. Mówiąc o „naszych chłopcach", którzy „uczciwie spełnili obowiązek", Gorbaczow wymienił tylko żołnierzy i oficerów, zamilczał natomiast o generałach i marszałkach, którzy nie zdołali zapewnić ZSSR zwycięstwa. To oni są winni. Można podejrzewać, że na wielką operację przerwania

blokady miasta Chost w grudniu i styczniu zgodzono się po to, aby generałowie i marszałkowie raz jeszcze dowiedli, że nie są w stanie wygrać wojny w Afganistanie. Najwyższe dowództwo spełniło pokładane w nim oczekiwania: kosztem wielkich ofiar zdobyli drogę Hardez-Chost tylko na kilka dni. Potem sowieckie wojska zmuszone były do odwrotu.

Polityczna porażka jest znacznie poważniejsza od klęski wojskowej. Jest to pierwszy wypadek, że kraj, w którym ustanowiono reżym komunistyczny, wyzwoli się dzięki ruchowi oporu i zbrojnej walce z mocarstwem, które dysponuje najsilniejszą armią świata. Przez siedemdziesiąt lat granice imperium sowieckiego bezustannie się rozszerzały. Wraz z wyjściem wojsk sowieckich z Afganistanu terytorium imperium po raz pierwszy się zmniejszy. Rodzą się naturalnie rozmaite problemy. Specjalny korespondent *Prawdy*, pułkownik Studienkin, opisał w *Krasnoj zwiezdie* (20 stycznia 1988) wizytę w opanowanym przez „bandy duszmanów" Kandagarze. Mógł zwiedzić tylko dwa miejsca w całym mieście: rejonowy komitet partyjny, w którym spotkał sekretarza, „który regularnie widuje starszyznę kiszłaków i wodzów plemion, szefów grup i formacji bandyckich", oraz siedzibę MGB (ministerstwa bezpieczeństwa, tłumaczy pułkownik sowieckim czytelnikom). W MGB miał okazję poczytać raporty agentów. Sowiecki korespondent cytuje: „... Ogólnie rzecz biorąc wszystkie kategorie ludności popierają politykę pojednania narodowego, ale wszyscy boją się, że po wyjściu wojsk sowieckich z Demokratycznej Republiki Afgańskiej władze nie zdołają obronić tych warstw ludności, które je popierały...".

Wszyscy popierają „politykę pojednania narodowego" i wszyscy czekają na wyjście wojsk sowieckich, aby się rozprawić z kolaborantami. Sądząc po danych, jakie przytacza tenże pułkownik Studienkin, kolaborantów nie ma zbyt wielu, w każdym razie w prowincji Kandagar: „... Władza ludowa kontroluje częściowo 482 kiszłaki, co stanowi 7,7 %...". Niewykluczone, że i w innych prowincjach kontroluje niewiele więcej wsi. Wiadomo — choć nie pisze o tym jeszcze prasa sowiecka — że w Kabulu wydrukowano już specjalne przepustki z mapami, na których zaznaczono miejsca zbiórki na wypadek pilnej ewakuacji. Tekst — w językach rosyjskim i farsi — brzmi: „W razie niebezpieczeństwa towarzysz (nazwisko) ma prawo stawić się w oznaczonym punkcie wraz z rodziną. Okaziciel ma prawo do ręcznego bagażu nie przekraczającego 10 kg. Nie wolno posiadać broni ani żywności".

Ewakuacja nie zacznie się jutro. Niewykluczone, że przeprowadzona zostanie lepiej niż amerykańska ewakuacja z Sajgonu. Między innymi dlatego, że Amerykanie zrobią wszystko, aby Michaił Gorbaczow „zachował twarz". Nie jest zapewne przypadkiem, że generalny sekretarz ogłosił „polityczną decyzję" ewakuacji w Waszyngtonie. Można sądzić, że prowadzono tajne rozmowy na temat gwarancji, być może w zamian za pomoc ZSSR w rozwiązaniu innych „regionalnych konfliktów", o których wspomniał w swym oświadczeniu Gorbaczow. W szczególności wymienił Nikaraguę. Miejmy nadzieję, że wszystko to stanie się z czasem wiadome.

Korespondentka *Le Monde* w Moskwie, Sylvie Kaufman, poprosiła trzech moskiewskich intelektualistów o komentarz do oświadczenia Gorbaczowa (*Le Monde* z 10 lutego 1988). Andriej Sacharow uznał je za „bardzo ważne, bardzo pozytywne, bardzo poważne". Zwrócił uwagę, że Gorbaczow po raz pierwszy podał precyzyjny termin, nie uzależnił ewakuacji od stworzenia w Kabulu rządu koalicyjnego i być może zgodzi się na kontrolę ONZ nad ewakuacją. Roj Miedwiediew oświadczył, że „nie wierzy w podpisanie umowy w Genewie". „Nie wierzę — powiedział — że kraje zachodnie gotowe są przerwać pomoc dla afgańskiego ruchu oporu. Co więcej, ani Chiny, ani Iran nie zajęły stanowiska. Nie jestem zbyt optymistyczny... Naturalnie, cały świat pragnie wyjścia, a zwłaszcza kierownictwo sowieckie. Nie zostały jednak jeszcze spełnione wszystkie konieczne warunki, Zachód nie chce ich przyjąć". Wreszcie 52-letni Lew Timofiejew, ekonomista skazany w 1985 roku za wydaną w samizdacie pracę pt. „Technologia czarnego rynku czyli jak chłopi posiedli sztukę głodowania", zwolniony w lutym 1987, twórca wraz z Siergiejem Grigoriantzem niezależnego pisma *Głasnost'*, obecnie redaktor nowego niezależnego pisma, *Referendum:* „Należy przede wszystkim otwarcie i szczerze poinformować społeczeństwo sowieckie o wszystkich szczegółach konfliktu, zwłaszcza o tym, jak powstał. Oświadczenie Gorbaczowa jest od tego dalekie. Z drugiej strony myślimy, że pokojowe uregulowanie niezależności Afganistanu powinno się dokonać pod międzynarodową kontrolą. Gorbaczow wspomniał ogólnikowo o ONZ, bez żadnych konkretów. Jeśli myśli o tym poważnie, to jest to bardzo poważna propozycja i gotowi jesteśmy go poprzeć".

Wynika z tego, że mimo różnic przedstawiciele rozmaitych kierunków niezależnej myśli odnieśli się do propozycji Gorbaczowa jako takiej pozytywnie. Rodzi się naturalnie pytanie, dlaczego kierownictwo sowieckie postanowiło wycofać się z Afganistanu (proces ewakuacji może się opóźnić, ale decyzja została niewątpliwie podjęta). Najprostsza odpowiedź brzmi: Kreml zrozumiał, że nie zwycięży w tej wojnie, uprzytomnił sobie nieuleczalną słabość afgańskiej kompartii i własnych wojsk, które nie zdołały znaleźć sposobu przeciw amerykańskim przenośnym rakietom Stinger. Taka odpowiedź nie wyjaśnia jednak, dlaczego decyzję podjęto akurat teraz.

Wydaje się, że trzy główne czynniki zdecydowały o tym, że „ziejącą ranę Afganistanu" — jak zaczęto wojnę nazywać w Moskwie — postanowiono zaszyć. Po pierwsze chodzi o to, aby dać coś wreszcie obywatelom sowieckim, których położenie ekonomicznie znacznie się pogorszyło w wyniku *pieriestrojki* (a nieuchronna podwyżka cen dopiero ich czeka). Po drugie potrzebna jest pomoc Ameryki. Nie przypadkiem początek ewakuacji z Afganistanu wyznaczono na połowę maja, spodziewaną datę przyjazdu Reagana do Moskwy. Wreszcie nie zapominajmy, że wyj-

ście wojsk sowieckich z Afganistanu jest jednym z trzech warunków, jakie Chiny postawiły przed normalizacją stosunków z Moskwą (dwa pozostałe to redukcja wojsk sowieckich na granicy sowiecko-chińskiej i uregulowanie sytuacji w Kambodży).

Gorbaczow podjął trudną decyzję. Nie przypadkiem wspomniał Lenina, który w 1918 roku postanowił podpisać pokój z Niemcami, poświęcając terytorium dla uratowania władzy. Trudne do przewidzenia jest jedno: jak porażka ZSSR w Afganistanie wpłynie na losy imperium? Wspomnijmy, jakie reperkusje miał w obozie socjalistycznym tajny referat Chruszczowa w 1956 roku.

Na początku lutego naród sowiecki otrzymał drugi podarunek — nieporównywalny chyba (nawet na pewno), ale jednak podarunek. 4 lutego br. Sąd Najwyższy ZSSR uznał zarzuty wytoczone przeciw N. I. Bucharinowi, A. I. Rykowowi i ośmiu innym uczestnikom „antyradzieckiego bloku prawicowo-trockistowskiego", skazanym na pokazowym procesie w Moskwie w 1938 roku, za nieuzasadnione.

Przygotowania do ich rehabilitacji zaczęły się już ok. rok temu, kiedy zaczęto mówić o koniecznej likwidacji „białych plam". W gazetach zaczęły pojawiać się artykuły o Bucharinie, opublikowano wywiad z wdową po nim, Anną Łariną, która opowiedziała o napisanym w przeddzień aresztowania oświadczeniu „ulubieńca partii" do „przyszłych przywódców partii komunistycznej", oświadczeniu, którego nauczyła się na pamięć. Wreszcie ukazał się — co za odwaga! — poemat Jewtuszenki pt. „Wdowa Bucharina". Wypadało już tylko czekać na orzeczenie sądu. Jest!

Wszystko w nim brzmi dziwnie, wszystko jest w stylu sowieckiego prawodawstwa. W marcu 1938 roku w Sali Kolumnowej moskiewskiego Domu Związków Zawodowych zasiadło na ławie oskarżonych 21 podsądnych: trzech członków Biura Politycznego (Bucharin, Rykow, Kriestinskij), słynny rewolucjonista Rakowski, w swoim czasie przewodniczący *sownarkomu* Ukrainy, a potem dyplomata, ludowy komisarz spraw wewnętrznych Jagoda, organizator dwóch poprzednich pokazowych procesów kierownictwa partii i rządu, czterech byłych komisarzy ludowych, dwóch przywódców uzbeckiej partii komunistycznej, trzech lekarzy, byli sekretarze Jagody, Kujbyszewa i Gorkiego... Dziewiętnastu z nich skazano na śmierć, pozostałych na długie lata obozu.

Specjalny charakter prawa sowieckiego wyraził się w tym, że dziesięciu skazańców zrehabilitowano już po XX Zjeździe. Chruszczow opisuje w swych wspomnieniach, że wezwał w przeddzień Zjazdu generalnego prokuratora ZSSR, Rudenkę, i spytał go: czy wszyscy skazani na publicznych procesach w Moskwie byli winni? Rudenko odparł, że z prawnego punktu widzenia nie istniały żadne podstawy do skazania, że akt oskarżenia opierał się na zeznaniach, wymuszonych torturami. Tym niemniej nie powiedzieliśmy na Zjeździe ani słowa o procesach — dodaje Chruszczow — bo chcieliśmy oszczędzić wrażliwość przywódców zagranicznych partii komunistycznych. W latach 1936-1938 wszyscy oni radośnie przyklaskiwali wyrokom. Chruszczow na koniec wyraża żal, że Bucharin, Zinowiew i Rykow nie zostali zrehabilitowani.

Skazańców niższej rangi rehabilitowano jednego za drugim „z braku dowodów przestępstwa". W grudniu 1962 na wszechzwiązkowej konferencji historyków akademik Pospiełow, dyrektor Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina, oświadczył z wysokiej trybuny, że dostał z sali karteczkę: „Studenci pytają, czy Bucharin i inni byli szpiegami obcych państw...". „Mogę powiedzieć — odparł akademik-marksista — że wystarczy uważnie przeczytać dokumenty XXII Zjazdu KPZS, aby wiedzieć, że ani Bucharin, ani Rykow oczywiście szpiegami nie byli". Na XXII Zjeździe (1961 roku) istotnie opowiedziano wiele strasznych historii o terrorze stalinowskim. Z przemówień członków Biura Politycznego jasno wynikało, że wszystkie procesy były sfingowane, ale *expressis verbis* tego nie powiedziano. 4 lutego 1988 Sąd Najwyższy ogłosił rehabilitację „z braku dowodów przestępstwa" dziesięciu kolejnych ofiar, w tym Bucharina, Rykowa i Rakowskiego.

Z prostego rachunku wynika, że dziesięciu zrehabilitowanych w latach 50-tych plus dziesięciu zrehabilitowanych teraz daje dwudziestu, a skazanych było dwudziestu jeden. Okazuje się, że prokurator nie wniósł o rehabilitację byłego *narkoma* spraw wewnętrznych, Henryka Jagody. Jego również skazano za zbrodnie, których nie popełnił (choć za te, które popełnił, powinien był odpowiadać przed setkami trybunałów!). Wynika z tego, że proces, w wyniku którego skazani zostali sami niewinni, sam w sobie nie był bezprawny...

„Podarunek" ten ma i inny aspekt. Co do Jagody wszystko jest jasne. Czy jednak pozostali, niewinni zbrodni, za które ich rozstrzelano, byli niewinni? Wszyscy uczestniczyli szalenie czynnie w rewolucji, budowali państwo socjalistyczne, pomagali Stalinowi. Grzebiąc niedawno w starych gazetach, znalazłem w moskiewskiej gazecie *Trud* z 13 listopada 1927 rozmowę Bucharina z przybyłymi do Moskwy członkami jakiegoś towarzystwa przyjaźni z ZSSR. Nikołaj Iwanowicz tłumaczył im charakter sowieckiego systemu politycznego i dodał: u nas też mogą istnieć inne partie, tyle jednak, że w odróżnieniu od państw burżuazyjnych jedna będzie rządzić, a wszystkie pozostałe siedzieć w więzieniu.

Niezależne pismo *Referendum* (patrz *Russkaja mysl* z 15 stycznia 1988) opublikowało jeszcze przed rehabilitacją artykuł pod tytułem „Przekleństwo na oba wasze domy". Podpisany inicjałami B.P. autor zalicza Bucharina do tych, którzy „zawsze byli wierni naukom Lenina i nie walczyli przeciw linii Stalina". Dlatego uważa, że „Niewinny wobec przestępczej mafii? Być może. To ich sprawy. Wobec kraju i narodu jest winien... Rehabilitacja przywódców prawego i lewego odchylenia to tylko akt prawny, drobiazg. Na wszystkich nich ciąży krew narodu. Ani jeden z nich niczym nie zawinił wobec partii". B.P. kończy: „Najważniejsze w tej sprawie jest jednak coś całkiem innego. Samo podejście do rehabilitacji, te drętwe i bezmyślne 'jubileuszowe' artykuły, widomy znak, jak mało nasze społeczeństwo przygotowane jest do wysłuchania prawdy o sobie, o swojej przeszłości i teraźniejszości. Należy dobrze zrozumieć, że stosunek do stalinizmu

nie jest bynajmniej teoretycznym zagadnieniem z dziedziny erudycji historycznej, czymś jak znajomość etnografii Krywiczów. Jest to po dziś dzień najważniejsza, decydująca o naszej świadomości publicznej kwestia".

Z powyższą myślą można się zgodzić tylko wtedy, jeśli stosunek do stalinizmu uzupełnimy o stosunek do leninizmu. W dzisiejszym Związku Sowieckim nawet najwierniejsi stalinowcy dodają do hymnów pod adresem wodza narodów nieśmiałe „tak, niekiedy...", „dopuścił się pewnych..." itp. Lenin jest już ostatnią opoką ideologii sowieckiej, jej ostatnim źródłem legitymacji. Dlatego też kult Lenina nabiera niebywałych rozmiarów. Trudno się opędzić od kłamliwego obrazu wodza rewolucji. Przysłano mi korespondencję Marka Sariusz-Wolskiego z Leningradu, opublikowaną w *Przeglądzie Tygodniowym* (nr 5/305, 1988). Polski dziennikarz chodzi po mieście, rozmawia, przygląda się *pieriestrojce*, aż nagle pisze: „Jednym z pierwszych dekretów, uchwalonych z inicjatywy Lenina, był dekret o wolności prasy". Czytam i własnym oczom nie wierzę. Lenin istotnie podpisał dziesięć dni po zdobyciu władzy dekret, ale likwidujący wolność prasy, która od chwili obalenia caratu nie znała żadnych ograniczeń.

W styczniowym numerze pisma *Znamia* ukazała się kolejna, siódma już sztuka o Leninie. Sztuka nosi tytuł „Dalej... dalej... dalej!". Z podtytułu wynika, że jest to „autorska wersja zdarzeń z 24 października 1917 i późniejszych". Przed oczyma widzów stają autorzy przewrotu październikowego — Lenin, Stalin, Kamieniew, Zinowiew, Dzierżyński, Bucharin, a także ich wrogowie i przeciwnicy — Kiereński, grupa generałów pod przewodem Korniłowa, mienszewicy Martow i Dan, przywódczyni partii eserów Spiridonowa, Piotr Struve i inni. Przez chwilę miga nawet Róża Luksemburg. Bohaterowie sztuki rozmawiają o teraźniejszości, przeszłości i przyszłości. Jest to właściwie sąd nad czołowymi bolszewikami, którzy 25 października przechwycili władzę w Rosji. Śmiałość dramaturga polega na tym, że udzielił słowa wrogom i przeciwnikom bolszewików. To oni osądzają zarówno przewrót jak i jego rezultaty — dzieje państwa sowieckiego do naszych dni.

Śmiałość Michaiła Szatrowa — to śmiałość rozpaczy. Owoce przewrotu październikowego są straszne. Wszystko poszło nie w tę stronę, której pragnął Lenin. Całą winę za to ponosi Stalin. Lenina bronią mienszewicy, Spiridonowa, generał Denikin, który szczyci się tym, że nie poszedł na służbę Hitlera.

Poza Leninem nie ma nikogo. Ale nawet on nie zostaje oszczędzony i oświadcza: „Bezwarunkowo jestem winien wobec robotników Rosji, że przez mą przeklętą chorobę nie doprowadziłem do końca przeniesienia Stalina... za późno się zorientowałem i nie zreformowałem systemu tak, żeby wszystko to stało się niemożliwe". Posłanie Szatrowa nie wymaga komentarza: Lenin nie zreformował, ale dziś nadszedł jego następca i „doreformuje". Lenin używa nawet ulubionego zwrotu Gorbaczowa: „włączymy mechanizm rewolucji". Gorbaczow mówi: „włączymy koło rozpędowe *pieriestrojki*".

Mimo niezłomnej wierności Leninowi (Szatrow od dwudziestu pięciu lat pisze o nim sztuki!), autor „Dalej... dalej... dalej!..." został ostro skrytykowany. W obszernym artykule pt. „Co chcemy dojrzeć w zwierciadle rewolucji" *(Sowietskaja Rossija*, 28 stycznia 1988) historycy W. Gorbunow i W. Żurawlew, specjaliści od historii partii, zarzucają Szatrowowi, że „ogólna koncepcja jego sztuki — to koncepcja zmiany natury państwa sowieckiego". W *Prawdzie* z 28 stycznia 1988 ukazał się artykuł redakcyjny pt. „Historia a moralność. Dlaczego zwracamy się do przeszłości", w której nie nazwanemu z nazwiska autorowi sztuk o Leninie przypomniano, że „przedstawienie obrazu W. I. Lenina, jego życia i działalności... wymaga bardzo wyważonej analizy, niedopuszczalne są nawet najmniejsze nieścisłości, przeinaczenia, odstępstwa od prawdy".

Mówiąc rzeczy, których dotychczas nie mówiono o działaczach rewolucji, cytując nawet — po raz pierwszy w cenzurowanej prasie sowieckiej — słowa Róży Luksemburg o prawdziwej wolności jako wolności dla ludzi innych poglądów, Michaił Szatrow nie cofa się zarazem przed najbardziej nieudolnym kłamstwem, kiedy idzie o stworzenie konterfektu świętego Lenina, który zawsze wszystko robił dobrze, tylko zdradzili go jego uczniowie. Ideolodzy sowieccy doskonale zrozumieli, dlaczego sztuka jest niebezpieczna: co będzie, jeśli padnie ostatnia opoka, Lenin? Za nim już tylko czarna otchłań.

Adam KRUCZEK

11 lutego 1988

Kronika niemiecka

Wałbrzyska służba zdrowia otrzymała cenny dar, mianowicie leki wartości 30 mln zł. Ofiarodawcą jest *Niemiecki Czerwony Krzyż* z Oldenburga w RFN. ■ W 1987 roku 405 tys. obywateli polskich otrzymało wizę do RFN. W tym samym czasie 306 tys. Niemców z Republiki Federalnej odwiedziło Polskę. ■ W odpowiedzi na pytanie: „Jak ocenia pan(i) stosunki między Polską a RFN?" — 28 % respondentów *Centrum Badania Opinii Społecznej* uznało, że są one dobre, ponad połowa (59,3 %) — że ani dobre, ani złe, zaś zdaniem co 8-go z ankietowanych (12,9 %) — złe. W okresie od sierpnia 1985 do października 1987 roku zmalała z niemal 60 % do 49 % liczba respondentów dostrzegających ze strony Niemiec Zachodnich realne zagrożenie dla Polski. Racjonalna, pozbawiona elementów emocji jest ocena pozycji gospodarczej RFN. Co drugi z ankietowanych (53,2 %) wręcz postuluje zacieśnienie współpracy gospodarczej między Polską i RFN. Po osiągnięciu w 1985 roku obrotów handlowych wartości 5,9 mld marek w 1986 roku spadły one o 18 %, a w ub. roku o dalsze 5 %. Nadal 85 % zakupów w RFN odbywa się w formie gotówkowej, rzadko już stosowanej w świecie. ■ Z oficjalną wizytą w Warszawie przebywał federalny minister spraw zagranicznych i wicekanclerz RFN Hans-

Dietrich Genscher *(FDP)*. Genscher podkreślił, że Republika Federalna nie ma żadnych roszczeń terytorialnych wobec PRL. Według Genschera układ PRL - RFN z 1970 roku stanowi prawną i polityczną postawę dla stosunków między obu państwami (Genscher: „Rozumiemy i szanujemy wolę narodu polskiego życia w bezpiecznych granicach"). Zachodnioniemiecki minister opowiedział się za rozszerzeniem wymiany młodzieżowej pomiędzy PRL i RFN i wezwał władze warszawskie do przychylnego traktowania zarówno sprawy łączenia rodzin, jak i generalnie sprawy podróży pomiędzy PRL i RFN, a także uznania prawa mniejszości niemieckiej do pielęgnowania własnych tradycji kulturowych i językowych. Podejście zachodnioniemieckich kół finansowych różni się diametralnie od szczodrości lat 70-tych. Dzisiaj króluje sceptycyzm. Wielkie pieniądze należą do przeszłości. W latach 70-tych istniały szanse na rozwój korzystnej dla obu stron współpracy gospodarczej, i to na wielką skalę. Polska zaprzepaściła otwierające się możliwości, szczególnie w dziedzinie kooperacji i tworzenia przedsiębiorstw mieszanych; zabiegała wyłącznie o kredyty. Obecnie próbuje coś nadrobić; przejawem zmiany nastawienia władz PRL i RFN do problemu niemieckiego jest wypowiedź ministra Orzechowskiego. Nawiązując do słów swego gościa o moralnym wymiarze stosunków polsko-niemieckich, szef PRL-owskiej dyplomacji powiedział, że w tych wymiarach mieści się również „los Niemców, którzy stracili swoją ojczyznę". Było to pierwsze otwarte nawiązanie do ciężkiego losu niemieckiej ludności wysiedlonej po wojnie poza nowe granice Polski. Minister Genscher — poza rozmowami z przedstawicielami władz PRL — spotkał się z prymasem Polski, przyjął Lecha Wałęsę i jego doradców, na osobnych spotkaniach świeckich katolików i bliżej niesprecyzowanych działaczy mniejszości niemieckiej w Polsce (później było *dementi* w tej sprawie z bońskiego *Auswärtiges Amt*), odwiedził grób ks. Popiełuszki, a także cmentarz żołnierzy niemieckich z pierwszej wojny światowej. Genscher udekorował ponadto prof. Stanisława Stommę najwyższym odznaczeniem Republiki Federalnej za zasługi dla pojednania polsko-niemieckiego. Ciągle jednak chodzi o brak zaufania do możliwości polskiej gospodarki. *Handelsblatt:* „Władze PRL muszą koniecznie uporządkować sprawy ekonomicznie, zmodernizować różne dziedziny wytwórczości i wprowadzić specjalizację produkcji, wreszcie zmienić strukturę wytwórczości na korzyść eksportu, aby zmniejszyć zależność od eksportu węgla i surowców. Rozmowy na tematy gospodarcze nie przebiegały dla strony polskiej pomyślnie. Prawdopodobnie doszło do spięć. Wybitni niemieccy przemysłowcy, m.in Wolf von Amerongen, Berthold Beitz i Rudolf Bennigser-Foerderer, po spotkaniu z premierem Messnerem zmienili plany i przedwcześnie powrócili do RFN. Berthold Beitz *(Koncern Kruppa):* „Wystąpienia ministra Genschera w Warszawie mogą stworzyć fałszywy obraz zamiarów i możliwości". ■ *Literarisches Colloquium Berlin* wydało tomik opowiadań Wiktora Woroszylskiego w przekładzie Olafa Kühla. ■ Z ogłoszenia biura matrymonialnego we *Frankfurter Allgemeine Zeitung:* „Z Polką będziesz zawsze szczęśliwy". Jak świat światem... ■ Zachodnioberlińska rozgłośnia *RIAS* nadała półgodzinną audycję — *Briefe aus dem Kerker. Czesław Bielecki an seine Söhne (Czesław Bielecki pisze z więzienia do synów)*. Audycja została przygotowana przez Jadwigę Żeleszkiewicz i Wacława Stawnego. Ci sami autorzy nadali w *Westdeutscher Rundfunk* (Kolonia) audycję o Marii Kureckiej *Zwischen den Sprachen. Die deutsch-polnische Schriftstellerin und Übersetzerin Maria Kurecka*. Kurecka opowiada o swoich wierszach, tłumaczeniu poezji Leszka Szarugi i obszernych fragmentach jej eseju oraz o pracy z Witoldem Wirpszą nad przekładem na polski *Doktora Faustusa* Tomasza Manna. Jadwiga Żeleszkiewicz i Wacław Stawny znakomicie opracowali półgodzinną audycję dla *Sender Freies Berlin — Polenprozess (Polski proces)*. Chodzi o proces Mierosławskiego i polskich spiskowców w Berlinie. ■ W Essen odbyła się wystawa malarstwa *Andrzeja Jana Piwarskiego*, zorganizowana przez *Internationaler Kreis Essen (Międzynarodowe Koło Essen)*. Podczas wernisażu prezentowano polską poezję i muzykę. ■ Począwszy od semestru zimowego w *Instytucie Slawistyki Uniwersytetu Gutenberga* w Moguncji działa katedra polonistyki, którą objęła dr Brigitte Schultze z Getyngi. Jest to pierwsza katedra polonistyki w RFN. ■ Według danych bońskiego *Ministerstwa Spraw Wewnętrznych* w roku 1987 przybyło do RFN *48.423 przesiedleńców* z PRL. ■ W Polsce działa *Fundacja Opieki Medycznej*, której założycielem jest przedsiębiorca z RFN. Bliższych szczegółów brak. ■ Ambasador PRL w RFN, *Ryszard Karski*, wcześniej ambasador w Wiedniu, specjalista od spraw gospodarczych, na pytanie dziennikarza *Kölner Stadt Anzeiger* o *hobby* i zainteresowania odpowiedział: żadne. ■ W Kolonii, w galerii hrabiego Finckenstein wystawiali polscy artyści — rzeźbiarka *Zofia Wolska* z Warszawy i malarz *Krzysztof Krzywdziak* z Krakowa. ■ Firma polonijna *Depolma* utrzymuje w Düsseldorfie galerię *Dom Polskiej Sztuki*, w której wystawiane są dzieła czołowych polskich plastyków. Ostatnio: Tadeusza Dominika i Edwarda Dwurnika. ■ Dziennik *Frankfurter Allgemeine Zeitung* po opublikowaniu powieści Jana Józefa Szczepańskiego rozpoczął druk książki Mariana Brandysa „Rondo". Książka ukaże się nakładem *Luchterhand Verlag*. ■ Enerdowska esbecja skonfiskowała w pomieszczeniach protestanckiego kościoła *Syjonu* w Berlinie Wschodnim sprzęt drukarski i nakład niezależnego czasopisma *„Grenzfall" (Incydent graniczny)*, wydawanego przez ruch na rzecz pokoju i praw człowieka. ■ Od sześciu lat liczba *polskich górników* pracujących w kopalniach RFN systematycznie maleje. Obecnie zatrudnionych jest 330 osób, osiem razy mniej niż w roku 1980. ■ Jak poinformował biskup *Czesław Domin*, przewodniczący *Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski*, największym ofiarodawcą leków do Polski jest RFN. ■ Michał Gawałkiewicz, były dziennikarz organu Centralnej Rady Związków Zawodowych *Głos Pracy*, został przewodniczącym *Stowarzyszenia Polaków Eksploatowanych przez III Rzeszę Niemiecką*, którego celem jest uzyskanie odszkodowań od RFN. ■ Zachodnioniemiecka firma „Industrietechnik Walzwerkanlagen" z okręgu Saary podpisała pierwszą umowę o *joint ventures* z PRL. Niemiecka firma zainwestowała pół miliona marek, stając się właścicielem 49 % udziałów w *Hucie „Kościuszko"*. ■ Wartość eksportu polskiej automatyki przemysłowej do NRD wynosi *35 milionów rubli*. ■ Elektrownie w *Jaenschwalde (NRD)* budują polscy robotnicy z *„Elektromontażu-Zachód"*. Członkowie PZPR wchodzący w skład załogi nie przyznają się do przynależności partyjnej, gdyż składki musieliby płacić w markach (wschodnich). ■ W Heidelbergu wystawiono rzeźby znanego artysty ludowego *Jana Skóry* z Krakowa. ■ W listopadzie 1987 roku przybyło do RFN *13.354 azylantów* z Polski. Według tygodnika *Rzeczpospolita* najnowszą emigrację polską w RFN oceniać należy na ponad *600 tysięcy* osób. ■ W *Neukirchener Verlag des Erziehungsvereins* ukazała się książka Stanisława Bieńskiego pt. *Spinoza und die Tulpen (Spinoza i tulipany)* w przekładzie Karin Wolf. ■ Licząca ok. 10 tys. członków *ZGODA* w RFN jest obecnie największą i jedną z najbardziej aktywnych organizacji polonijnych w Europie. Od początku swojego powstania ściśle współpracuje z *Towarzystwem POLONIA* oraz z urzędem konsularnym PRL w Kolonii. Podobnie blisko współpracuje z reżymem demonstrujący programową apolityczność *Związek Polaków RODŁO w Niemczech*, kierowany przez ks. Edmunda Forycklego.

Andrzej J. CHILECKI

O religii bez namaszczenia

Pod rozwagę*

Coraz głośniej mówi się o narastającym artyklerykalizmie w Polsce. Nie chodzi o tak zwany polski paternalizm. To nie byłoby takie groźne. Zwyczajnie chodzi o załamywanie się u wielu zaufania do Kościoła. Żeby kogoś to za mocno nie ubodło, złagodźmy to stwierdzenie; coraz więcej Polaków zaczyna tracić grunt pod nogami, widząc takie a nie inne postawy ludzi Kościoła, którzy przecież reprezentują Kościół. Rzecz absolutnie pewna — nie dotyczy to osoby Ojca Świętego Jana Pawła II. Jeżeli, to tylko w tym sensie, że stawia się Go za przykład zdecydowania, szczerości, wierności, samodzielności myślenia i współczucia z narodem: tylko On nie bał się mówić o „Solidarności" w Polsce. Ktoś bardzo odpowiedzialny zauważył, że jeżeli jest w Polsce antyklerykalizm, to nie jest on zasługą jedynie partii.

Trzeba mieć oczy otwarte i serce wyczulone na bóle zepchniętych na margines rodaków, których przy każdej okazji obrzuca się błotem za to, że chcieli dobrze dla Kraju, choć nie według przepisów systemu. Takich jest tysiące. Na wierzchu mają gorycz. Są obolali i przeczuleni. Szukają oparcia w Kościele. Uczono ich, że tylko tu mogą spożytkować swoje zawody i cierpienia, ba, mogą z nich uczynić siłę twórczą. Kościół zawsze bronił pokrzywdzonych, biednych, prześladowanych, choć ludzie Kościoła byli różni i są różni. Czasem sytuacje są zaskakujące. Nie zawsze wszyscy działają pod wpływem Ducha Bożego. Istnieje i inna inteligencja. Trzeba mieć oczy otwarte. Ot taka, zdawałoby się, prozaiczna sprawa: wizyty, rewizyty. Dziwne, że tak przed osławionym referendum wszystkich nagle opanowała gorączka okazywania sobie życzliwości. Rozpoczęły się na potęgę

* Artykuł powyższy ukazał się w *Kronice Rzymskiej*, piśmie wydawanym przez Fundację Jana Pawła II w Rzymie. Pismo redagują: ks. Hieronim Fokciński, O.K., St. Hejmo O.P., ks. M. Jagosz, ks. M. Radwan S.C.J. i W. Zachariaszewicz.

przyjacielskie spotkania. Wojewodowie, sekretarze, kierownicy wydziałów nagle poczuli konfraternię z biskupami, proboszczami, rektorami... Mimo, iż ceny szaleją, jedni i drudzy nie mają najgorzej. Natomiast uciemiężony ludek polski, który od dawna nie może związać końca z końcem, który całym sercem zaangażował się kiedyś w „Solidarność", bo chciał wreszcie żyć godnie we własnej ojczyźnie — tego uczył go Kościół — teraz patrzy i oczom nie wierzy. Nie jest aż taki naiwny. Wie, że trzeba się spotykać, że trzeba rozmawiać, trzeba się układać w jednym domu. Tego wymaga życie. Ale sobie myśli...

Przypominam sobie (słyszałem o tym z wiarygodnych ust), że gdy przedstawiciele Watykanu wyrażali niezadowolenie z porozumienia zawartego w 1950 roku przez prymasa Tysiąclecia z rządem komunistycznym, wtedy kardynał Stefan Wyszyński tak tłumaczył pewnemu wpływowemu kardynałowi Kurii Rzymskiej: „Gdyby pewnego ranka Eminencja obudził się i zobaczył w swoim pokoju groźnego lwa, szczerzącego zęby, a nie byłoby szans wezwania pomocy z zewnwtrz, co by Eminencja zrobił? Usiłowałby tak przyzwyczaić do siebie lwa, żeby ocalić własne życie i życie wielu innych. Kościół polski znalazł się w pokoju z takim lwem, szczerzącym nań zęby". Prymas Tysiąclecia usiłował wejść z „lwem" w układy, ale nie za wszelką cenę. Gdy uznał, że już dalej iść nie można, odważnie wypowiedział to historyczne *non possumus* — nie możemy — i poszedł do więzienia. Wydaje się, że ten okres był najowocniejszy dla Niego samego i dla całego Kościoła nie tylko w Polsce. Pasterz oddał życie za swoje owce. Jest bardzo niedobrze, jeżeli pasterze wchodzą w układy z wilkami i udają, że nie widzą, jak wilki niszczą owczarnię. Św. Ignacy Antiocheński chciał być starty kłami dzikich zwierząt... Gdyby Piotr, Paweł i inni Apostołowie poszli na ugody ze współczesnymi im władcami, chrześcijaństwo zaginęłoby bez śladu zostając w Jerozolimie, lub co najwyżej w Rzymie. Krew męczenników zawsze była owocniejsza niż dyskusje i umowy. Mamy doskonały przykład księdza Jerzego Popiełuszki. Dla historii Kościoła polskiego i powszechnego właśnie On ocaleje jako bohater-męczennik, przykład wiary i bezkompromisowości ludzi Kościoła kończącego się XX wieku.

W tych trudnych sprawach można zaryzykować dwa twierdzenia jako absolutnie pewne, bo sprawdzone w chrześcijaństwie: a) W sprawach religijnych nie można iść na kompromis z nikim, a z przedstawicielami władzy ateistycznej przede wszystkim. Wtedy „bramy piekielne zwyciężają Kościół" — jak to widzimy w niektórych autokefalicznych Kościołach prawosławnych. b) Nigdy nie można układać się z przedstawicielami władzy, zwłaszcza ateistycznej, jakby obok Ojca Świętego, który jest gwarantem tożsamości i niezależności Kościoła oraz skałą wszelkiego religijnego budowania. Koniunkturalne układanie się z konkretnymi przedstawicielami władzy świeckiej grozi katastrofą dla wiarygodności autorytetu Kościoła. Wiadomą jest rzeczą, że przedstawiciele władz często się zmieniają (w naszej ojczyźnie zawsze w dramatycznych okolicznościach) i układy niejako „personalne"

upadają wraz z upadkiem przedstawiciela władzy, na którego następcy zwalą wszelkie zło czasu obecnego. Kościół zawsze powinien bronić prawdy, sprawiedliwości, praw ludzi prześladowanych, pokrzywdzonych; wtedy, po dniach utrudzenia i cierpień, otrzyma nagrodę także od narodu, który w Kościele znalazł obrońcę i zabezpieczenie swojej tożsamości. Warto otworzyć historię Kościoła. Historia jest mistrzynią życia, a dla Kościoła jest ważna prawie jak Ewangelia.

Nie ulega wątpliwości, że trzeba rozmawiać, trzeba się układać, ale nie za cenę wiarygodności wobec wiernych, wobec prześladowanych, wobec całego narodu. Chrystus — znak sprzeciwu — nie przyniósł pokoju, ale miecz. Pokój Chrystusowy zawsze okupiony był cierpieniem, a nawet śmiercią.

Koniunkturalne układy przynoszą spokój, ale nie budują pokoju. Lud polski dobrze wyczuwa, na kogo może liczyć, komu może zaufać. Zawsze w trudnych sytuacjach liczył na Kościół, ufał Kościołowi. Niepokojące jest to, co mówią niektórzy, że dziś wielu zaczyna powątpiewać o Kościele jako o jedynym gwarancie prawdy, wolności, tożsamości i niezawisłości narodowej.

Stanisław ZBYDNIOWSKI

LIST BISKUPÓW WŁOCŁAWSKICH DO KAPŁANÓW O POSTAWIE PASTERSKIEJ W LATACH KRYZYSU GOSPODARCZEGO

Włocławek, 5 stycznia (KD 1/88)

Kochani Kapłani,
Bracia nasi Najdrożsi,

Oprócz słowa przeznaczonego do ogółu wiernych, jeszcze przed wyjazdem *ad limina*, kierujemy list do Was, Kochani Kapłani, ze wskazaniami, jaką postawę należy zająć w okresie kryzysu gospodarczego.

Mając w pamięci modlitewną atmosferę listopadowej pielgrzymki na Jasną Górę i uczestnicząc duchowo w nawiedzaniu rodzin przez kopię Jasnogórskiego Obrazu, bierzemy sobie do serca potrzeby duchowe i materialne każdego domu. Widząc zaś, jak groźne jutro, związane z kryzysem polskiej gospodarki, zagląda w oczy niejednemu z naszych braci i sióstr, nie możemy nie wołać do Was o prawdziwie kapłańską postawę. Liczmy się z tym, że groźnym i zawistnym okiem będzie patrzyło wielu na tych, co więcej mają, zwłaszcza gdy będą to rzeczy z dziedziny luksusu i przeznaczone tylko na użytek jednostki. Prosimy Was gorąco, Bracia nasi Najdrożsi, aby nie tylko nie dawać powodu do zgorszenia stylem życia, ale starać się o to, by świecić przykładem w trosce o chorych, biednych, dzieci i młodzież. Gdyby doszło do tego, że gniew ludzi głodnych skieruje się na sytych, niech wszyscy wiedzą, że kapłani pierwsi szli rozdzielać chleb, pomagać rodzinom wielodzietnym, organizować pomoc dla chorych, że oni cierpią z ludem i nim nie gardzą.

Zarówno święta Bożego Narodzenia, jak i odbywana potem wizyta duszpasterska zwana kolędą niech ukaże każdego z Was jako sługę Chrystusa, dobrego ojca i duchowego przewodnika. Nie dopuśćmy, by kierowała nami chęć zysku. Nasi bracia w czasie ostatniej wojny zdawali egzamin z wierności kapłaństwu i polskości, my zdawać będziemy egzamin z naszego człowieczeństwa, które ma być skierowane ku wartościom Bożym, a nie materialnej korzyści.

W Imię Chrystusa narodzonego w stajni betlejemskiej prosimy gorąco wszystkich i każdego z osobna, by w latach kryzysu:

1) nie wydawać pieniędzy otrzymanych od wiernych na rzeczy luksusowe i na alkohol,
2) nigdy nie wymuszać i nie wyznaczać wygórowanych ofiar za posługi kapłańskie,
3) własnymi dochodami i oszczędnościami dzielić się z biednymi i głodnymi, zwłaszcza z dziećmi i młodzieżą,
4) z własnej inicjatywy odwiedzać ludzi chorych i dotkniętych losowymi nieszczęściami,
5) organizować pomoc dla potrzebujących i pracę dla bezrobotnych, korzystając ze współpracy parafialnych zespołów charytatywnych,
6) łagodzić gniewne nastroje ludu i rozładowywać napięcia społeczne.

Przekazując te wskazania, wyrażamy nadzieję, że w niejednej parafii zostaną podjęte odpowiednie inicjatywy w zakresie wzajemnej pomocy, że zdołamy przeżyć lata kryzysu i zdamy egzamin z kapłańskiej służby.

Z serdecznymi pozdrowieniami i błogosławieństwem

Wasi Biskupi

† *Roman ANDRZEJEWSKI, bp*
† *Czesław LEWANDOWSKI, pb*

Włocławek, dnia 6 grudnia 1987 r.

(Pismo okólne Episkopatu, 5-11 stycznia 1988, Nr 2/88/1008)

W sprawie Bożycy

Słowo dla wyjaśnienia tytułu tego artykułu. Neologizm „Bożyca" ukuł, razem z „Myślini", „Chowanną" itp., Trentowski. Miał

zastąpić wyrażenie „teodicea", względnie „nauka o Bogu". W tym drugim, ogólniejszym znaczeniu używamy „Bożycy" tutaj.

Celem niniejszej rzeczy jest sformułowanie paru myśli dotyczących tej dziedziny.

I

Istnieją tylko trzy sposoby, pozwalające człowiekowi uznać zdanie za prawdziwe. Bo zdanie uznaje się za prawdziwe albo dlatego, że się wie — z bezpośredniego doświadczenia lub przez rozumowanie — albo dlatego, że się wierzy, iż jest ono prawdziwe. Że moja lampa biurowa jest zapalona, wiem, bo ją widzę; że śnieg padał w nocy wiem, bo widzę ośnieżone dachy i wnioskuję z tego, że padał śnieg; a jeśli jestem mahometaninem, uznaję zdanie „Mahomet jest prorokiem Allaha" nie dlatego, że mam jakieś doświadczenie czy rozumowanie świadczące o tym, ale z mocy mojej wiary religijnej. Człowiek nie ma innych sposobów uznawania zdań za prawdziwe. Filozofowie opowiadający o poznawaniu za pomocą jakichś skoków wolności i tym podobnych nie wiedzą co mówią, a teologowie rozprawiający o rzekomych „boskich" sposobach poznania, bełkoczą. Bo nasze poznanie może wprawdzie być boskie, jeśli idzie o przedmiot — to znaczy być poznaniem Boga — ale podmiotem tego poznania, tym, k t o poznaje, jest człowiek — a poznanie człowieka jest właśnie ludzkim, nie boskim poznaniem.

Stosując to elementarne rozróżnienie do poznania Boga, wypada powiedzieć, że:

Istnieją trzy i tylko trzy sposoby poznania Boga: przez bezpośrednie doświadczenie, przez rozumowanie i przez wiarę.

Wokół każdego z nich zebrało się wiele nieporozumień, czasem świadczących o niewiarygodnej wprost ignorancji przedmiotu. Ten zadziwiający fakt tłumaczy się tym, że dziś istnieje znowu zainteresowanie sprawą poznania Boga — a równocześnie tradycja poważnych studiów w tej dziedzinie została przerwana od czasów Renesansu, tak dalece, że wielu — prawdopodobnie większość — współczesnych filozofów i teologów zna w najlepszym razie Wolffa i tym podobnych pisarzy z okresu upadku, a nie orientuje się w ogóle w poważnej literaturze przedmiotu.

Oba powyższe twierdzenia wymagają krótkiego komentarza, jako że mogą się wydawać sprzeczne z dobrze uzasadnionymi i powszechnie przyjętymi poglądami. Dziwić może najpierw twierdzenie, że współcześnie mamy do czynienia z wzrostem zainteresowania sprawą poznania Boga. Czyż, przeciwnie, nie stwierdzamy coraz większego zobojętnienia na sprawy religijne i tym samym rosnącego zaniku zainteresowania dla zagadnienia, o którym tu mowa? Tak jest niewątpliwie w wielu krajach uprzemysłowionych.

Aby przytoczyć tylko jeden przykład, katolickie parafie w Zurychu straciły w 25 lat nie mniej niż połowę praktykujących

parafian, choć liczba wpisanych do rejestrów podatkowych jako katolicy pozostała bez zmian. Ale, po pierwsze, tak nie jest wszędzie: są kraje, gdzie tendencja jest odwrotna — wystarczy wspomnieć kraje muzułmańskie — a skądinąd odnosi się wrażenie, że niemal wszędzie po okresie bardzo głębokiego kryzysu pod tym względem następuje pewien nawrót do religii. Dotyczy to nie tylko mas ludowych, ale — i to bodaj w wysokim stopniu — także elity intelektualnej. Współczesny wzrost zainteresowania sprawą Boga jest faktem.

A jeśli chodzi o poziom współczesnego myślenia o Bogu, czyż nie korzystamy dziś z wspaniałego dorobku filozofii współczesnej, z myśli takich filozofów jak Kartezjusz, Malebranche, Berkeley, Wolff, Kant, Schelling, Hegel, aby tylko tych wymienić. Tak jest niewątpliwie — natomiast wolno wątpić, czy ten dorobek przedstawia jakąkolwiek wartość w naszej dziedzinie. Już *a priori* można się było domyślać, że okres nowożytny — od renesansu mniej więcej do końca XIX wieku — nie wniósł wiele do metafizyki. Jest to przecież okres, w którym — jak to pięknie powiedział Whitehead — geniusz wywędrował do fizyki, tak że filozofię uprawiali przeważnie tylko ludzie drugiej klasy. To były zarazem czasy fascynacji fizyką, odwrócenia się od problemów transcendentnych. Oczywiście są w tym okresie, tu i ówdzie, metafizycy pewnej miary— ale na ogół nie jest przesadą twierdzenie, że czasy nowożytne są w naszej dziedzinie okresem martwym. A równocześnie propaganda humanistów renesansowych tak dalece ośmieszyła całą bezpośrednią przeszłość, że nikt — ale to naprawdę nikt — poza wąskim kręgiem specjalistów jej nie zna.

Wynik jest taki, że, jak powiedziano, współczesne myślenie o Bogu jest obciążone masą nieporozumień. Biorąc pod uwagę wspomniany wzrost zainteresowania problematyką, wyciągam z tego wniosek, że:

Istnieje pilna potrzeba podjęcia na nowo poważnych studiów nad zagadnieniami dotyczącymi Boga i możliwości poznania Go.

II

Pierwszy możliwy sposób poznania Boga i stwierdzenia, że istnieje, to bezpośrednie doświadczenie, spotkanie z Nim. Że pewni ludzie, a mianowicie prorocy, założyciele religii, a obok nich także mistycy, takie doświadczenie rzeczywiście mieli, twierdzą wyznania wiary wszystkich wielkich religii. Do tego samego wniosku niezależnie od jakichkolwiek wierzeń religijnych — doszedł Bergson. Jego wnioski, oparte na długoletnich, bardzo rozległych studiach, wydają się wysoce przekonywujące. W każdym razie kto wyznaje teistyczną religię, musi zakładać fakt takiego doświadczenia Boga przez założyciela tej religii, względnie przez jej proroków. Pod tym względem rzecz nie jest więc problematyczna.

Ale wielu pisarzy — teologów i filozofów — nie ogranicza się do tego i twierdzi, że k a ż d y wierzący ma taki bezpośredni dostęp do Boga, że Go — i to stale — „spotyka". To twierdzenie przybiera najczęściej postać mowy o tak zwanym dialogu z Bogiem. Dana religia ma być religią „dialogiczną", w której wierzący stale „dialoguje' z Bogiem. Nietrudno dopatrzyć się w tym poglądzie wpływów naszych egzystencjalistów — przede wszystkim Marcela i Bubera — którzy najczęściej przywiązują wielką wagę do rzekomo „dialogicznego" charakteru człowieka. W Polsce takie dialogiczne doktryny zostały spopularyzowane m.in. przez ks. Tischnera.

Zdaniem piszącego zachodzą tutaj co najmniej dwa nieporozumienia. Jedno dotyczy dialogu. Aby zrozumieć, z jakim pomieszaniem pojęć mamy do czynienia, wystarczy zadać sobie pytanie, co mamy rozumieć przez słowo „dialog". Odpowiedź, którą da każdy znający normalny polski język, brzmi: przez „dialog" rozumiemy r o z m o w ę, w której jeden partner mówi coś drugiemu, a ten mu odpowiada. Takie jest normalne, potoczne, przytomne znaczenie słowa „dialog". Aby więc mógł być dialog, muszą obaj partnerzy do siebie mówić. Nie wystarczy, że tylko jeden z nich przemawia, podczas gdy drugi mu nie odpowiada. Otóż według wszystkiego co wiemy o odnoszeniu się ludzi do Boga i odwrotnie, taka wymiana tu nie zachodzi. Wierzący mówią wprawdzie do Boga w modlitwie ale — w normalnych warunkach — nie otrzymują od Niego odpowiedzi. Jeśli się więc słowo „dialog" tak rozumie, jak wszyscy je rozumieją, w potocznym znaczeniu, to oczywiście żadnego dialogu między zwykłymi wierzącymi a Bogiem nie ma.

Otóż jeśli tak jest, wspomniani zwolennicy dialogu muszą to słowo inaczej rozumieć, niż się to zwykle czyni. To im ostatecznie wolno. Wolno każdemu np. nazywać krowę „logarytmem" i potem — przy takim założeniu całkiem słusznie — twierdzić, że każdy logarytm ma rogi i zwykle daje mleko. Takie zdumiewające twierdzenia będą mimo wszystko zrozumiałe, o ile mówiący w ten sposób wytłumaczy, co przez „logarytm" rozumie. Ale tego właśnie nie czynią ci, co rozprawiają o dialogu ludzi z Bogiem: używają słowa „dialog" w jakimś innym znaczeniu, niż się to czyni potocznie, a nie tłumaczą w jakim. Ich mowa jest więc dla słuchającego pozbawiona sensu, jest prostym b e ł k o t e m.

Co ważniejsze jednak, nawet gdyby zwykli wierzący mogli uprawiać taki dialog, nie wynikałoby z tego jeszcze bynajmniej, że się w nim spotykają z Bogiem. Bo ów rzekomy dialog jest w najlepszym razie dialogiem, że się tak wyrażę, korespondencyjnym, w którym bezpośredniego zetknięcia się z partnerem nie ma.

Wypada jednak zauważyć, że o jakimś spotkaniu, doznaniu czy doświadczeniu Boga mówią nie tylko filozofowie i teologowie, ale nieraz także prości ludzie, a za nimi pobożni pisarze i kaznodzieje. Odnosi się wrażenie, że mamy do czynienia nie tylko z teorią skonstruowaną przez teoretyków, ale także z wyrazem

pewnego doświadczenia, jakichś przeżyć, dostępnych masom wierzących.

Otóż faktowi, że wielu ludzi jest przekonanych, iż takie doświadczenie posiada, niepodobna przeczyć. Wielu wierzących tak s ą d z i istotnie. Wolno się jednak zapytać, czy nie zachodzi przy tym błąd w interpretacji przeżycia.

Bo, o ile wiadomo, we wszystkich takich przeżyciach d a n e są bez wyjątku tylko zjawiska skończone, a więc, w języku religijnym, stworzenia, a nie Stwórca. Z nimi to spotyka się wierzący, po czym ich obecność interpretuje — błędnie — jako obecność Boga.

Wolno więc wyciągnąć następujący wniosek:

Zwykli wierzący nie mają doświadczalnego poznania Boga.

Każde rozsądne rozważanie o naszym przedmiocie zakłada eliminację złudzeń o możliwości takiego poznania.

III

Pośrednie poznanie Boga dochodzi do skutku za pomocą rozumowania, wnioskowania. Tego rodzaju rozumowania prowadzili od niepamiętnych czasów filozofowie. Aczkolwiek takie twierdzenie mogłoby się wydać paradoksem, nie ma bodaj tezy równie często i powszechnie głoszonej przez filozofów, jak ta, która głosi, że istnieje jakiś Bóg — w języku filozoficznym tak zwany absolut. Znakomita większość myślicieli spierała się nie o Jego istnienie, ale o to, jaki On jest, o Jego istotę.

Aby przytoczyć tylko jeden przykład, marksiści-leniniści przeczą wprawdzie istnieniu chrześcijańskiego, świadomego, osobowego Boga, ale równocześnie twierdzą (bez żadnego zresztą dowodu), że istnieje wieczna, nieskończona itd. materia, względnie przyroda, która zawiera w sobie i kolejno wyłania ze siebie wszystkie „formy ruchu". Spór między nimi a filozofami teistami dotyczy całkiem oczywiście nie istnienia absolutu, ale jego istoty, pytania, czym on jest.

Ta powszechność „absolutyzmu" — jeśli wolno tak nazwać przekonanie, że istnieje jakiś absolut — stanowi problem. Można mianowicie zapytać, dlaczego to filozofowie są tak dalece zgodni pod tym względem. To pytanie nie jest bez znaczenia dla naszej sprawy. Odpowiedź brzmi, że filozofowie dlatego tak powszechnie przyjmują istnienie Boga, że jest on im potrzebny jako rodzaj klucza do ich racjonalizmu. Bo filozof racjonalizuje z powołania a Sartre — jeden z najradykalniejszych ateistów w dziejach — pokazał, moim zdaniem przekonywująco, że kto odrzuca istnienie Boga, musi uznać że wszystko jest absurdem — wniosek, którego filozof, racjonalista z powołania, łatwo nie przyjmie.

Zrozumienie tej motywacji jest ważne, bo pozwala zorientować się, że filozofowi chodzi tutaj o coś zupełnie innego niż ludziom religijnym. Nic też dziwnego, że Bóg filozofów zwykle nie bardzo nadaje się do użytku religijnego.

Jakkolwiek by jednak z tym było, współczesny stan tego rodzaju filozoficznych rozważań o Bogu jest w wysokim stopniu niezadowalający. Z powodów wymienionych powyżej mamy niemal stale do czynienia z nieznajomością bądź dawnego dorobku w tej dziedzinie, bądź przyczynków współczesnych.

Niech wolno mi będzie to zilustrować na przykładzie filozofa, którego wysoce cenię — Leszka Kołakowskiego. Wybieram go między innymi dlatego, że pełnił w partii funkcję krytyka filozofii katolickiej i wskutek tego musiał, tak się przynajmniej wydaje, lepiej poznać scholastykę niż inni filozofowie. W rzeczy samej, Kołakowski rozprawia m.in. o tzw. pięciu drogach św. Tomasza.

Ale jak o nich rozprawia? Bez porządnej znajomości Tomasza (sposób w jaki referuje tzw. „pierwszą drogę" nasuwa podejrzenie, że tekstu nie widział), literatury neo-scholastycznej i współczesnej literatury matematyczno-logicznej. Nie zna np. nawet klasycznego dzieła Garrigou-Lagrange'a, bo gdyby znał, nie mógłby przecież powtarzać polemiki kantowskiej, skierowanej przeciw Wolffowi i z Tomaszem nie mającej wiele wspólnego. Nie zna także rzeczy Salamuchy — jedynej porządnej, naukowej analizy „pierwszej drogi". O dowodzie Kurta Gödla *(nota bene* jednego z największych logików XX wieku) bodaj nie słyszał. Zna za to Kanta i powtarza za nim jak za panią matką.

Tak pisze Kołakowski, filozof, powtarzam, wybitny i wyjątkowo jeszcze dobrze przygotowany do pisania o takich sprawach. Można sobie wyobrazić jak wygląda poziom naukowy innych. Stawiam więc twierdzenie:

Większość współczesnych dyskusji filozoficznych o Bogu cechuje bardzo niski poziom i ignorancja poważnej literatury przedmiotu.

Ta ocena dotyczy nie tylko filozofów pochodzących z kantyzmu, marksizmu itp., ale także neoscholastyków. Ci odznaczają się najczęściej równie głęboką ignorancją współczesnej literatury naukowej. Za przykład może posłużyć sposób, w jaki zazwyczaj przedstawiane są w neoscholastyce dowody na istnienie Boga — a mianowicie bez cienia zrozumienia, że ma się w nich do czynienia z szeregami, że z tym związana jest cała trudna, nowa problematyka, z którą za pomocą sylogistyki z Port Royal uporać się przecież nie można. Przeglądnąwszy typowe neoscholastyczne rozprawy o Bogu, stawiam następującą tezę:

Praktycznie wszystkie neoscholastyczne prace o Bogu są w świetle nowoczesnych wyników logiki tak przestarzałe, że nie nadają się do dyskusji.

Powyżej sformułowany postulat, domagający się podjęcia poważnych studiów o Bogu, stosuje się więc w pełni także do studiów filozoficznych, do bożycy w ciaśniejszym słowa znaczeniu.

Aby uniknąć nieporozumień podkreślam, że jeśli chodzi o meritum sprawy, o to, czy takie czy inne dowody istnienia Boga są sprawne, czy niesprawne, nie zająłem tutaj żadnego stanowiska. Chodziło mianowicie nie o treść współczesnego filozoficznego

myślenia o Bogu, ale o jego obecny poziom, który jest moim zdaniem rozpaczliwy.

IV

Niewiele lepiej jest w dziedzinie trzeciego sposobu, w jaki człowiek może uznać, że Bóg istnieje, a mianowicie z aktem wiary. I pod tym względem występują bardzo często nieporozumienia.

Chodzi tutaj przede wszystkim o nader rozpowszechnioną koncepcję roli, jaką odgrywa w systemie zdań człowieka wierzącego twierdzenie, że Bóg istnieje. Ta koncepcja pojawia się nie tylko u teologów katolickich, ale pod ich wpływem także w masach wierzących.

Przedstawia się ona mniej więcej tak: wierzący dochodzi najpierw, przed aktem wiary, do przekonania — filozoficznego — że Bóg istnieje. Znalazł jakiś przekonywujący dowód tego istnienia. Dochodzi dalej do przekonania, że Bóg objawił się w piśmie świętym itd. A że Bóg nie może ani się mylić, ani ludzi w błąd wprowadzać, wynika z tych przesłanek, że treść wiary katolickiej jest prawdziwa.

Otóż, gdyby tak było, należałoby powiedzieć co najmniej, że (1) stwierdzenie, iż Bóg istnieje, odgrywa podstawową rolę we wierze — stanowi mianowicie jej podstawę, (2) wierzący nie w i e r z y w istnienie Boga — on w i e, jest przekonany, że Bóg istnieje — logicznie (a przypuszczalnie także czasowo) z a n i m wykona akt wiary.

Obie te konsekwencje są jednak fałszywe.

Druga jest nią oczywiście, bo zgodnie z wyznaniami wiary wszystkich, o ile wiem, religii teistycznych, ich wyznawcy w i e r z ą w istnienie Boga. Porządek zarówno logiczny jak i bodaj czasowy jest więc u wierzącego odwrotny do tego, który zakłada wspomniana koncepcja: n a j p i e r w jest akt wiary, a dopiero potem, z mocy tej wiary, przyjęcie istnienia Boga.

Pierwsza konsekwencja jest także fałszywa, a mianowicie dlatego, że człowiek nawracający się na określoną wiarę uznaje w pierwszym rzędzie za prawdziwe nie poszczególne jej dogmaty — m.in. nie twierdzenie, że Bóg istnieje, ale daną wiarę jako całość. Mówiąc językiem bardziej technicznym, nawrócenie polega na przyjęciu meta-dogmatu, mającego mniej więcej następującą formę: „treść tej religii jest prawdziwa". Z tego meta-dogmatu wynikają jako jego logiczne konsekwencje poszczególne prawdy danej religii, m.in. twierdzenie, że Bóg istnieje.

Nie przeczę przy tym, że przyjmując meta-dogmat, wierzący ma pewne pojęcie o treści, tj. o poszczególnych twierdzeniach danej religii, m.in o dogmacie dotyczącym Boga. Niemniej on nawraca się nie do Boga, ale, powtarzam, do danej wiary jako całości. Samo uznanie Jego istnienia nie stanowiłoby jeszcze wystarczającej racji nawrócenia się.

Nie przeczę także, że bardzo wielu ludzi uznaje istnienie Boga-Opatrzności niezależnie od wiary religijnej. I, jeśli się nie mylę, chodzi przy tym nie o skomplikowane filozoficzne dowody tego istnienia, ale raczej o rodzaj wyboru między dwiema alternatywami. Tym ludziom wydaje się, że przyjęcie istnienia Opatrzności jest — mimo wszystkich związanych z tym trudności — rozsądniejsze niż uznanie, że świat jest historyjką opowiadaną przez idiotę, aby zacytować Szekspira.

Tylko, że taki Bóg, choć nie jest owym Bogiem filozofów, nie jest także świętym Bogiem religii. Przyjęcie, że istnieje niewiele pomaga w nawróceniu.

Dodajmy jeszcze, że omawiana tutaj koncepcja grzeszy także bardzo złym rodzajem racjonalizmu. Odnosi się wrażenie, że wiara jest w niej dedukcyjnie udowodniona. Otóż jeśli coś jest w naszej dziedzinie pewne, to istnienie zasadniczej różnicy między dwoma sposobami, w jakie człowiek może uznać zdanie za prawdziwe, między wiedzą a wiarą. A omawiana tutaj koncepcja tę różnicę znosi.

Istnieje pilna potrzeba podjęcia nowych poważnych studiów nad sposobem, w jaki człowiek wierzący uznaje istnienie Boga.

V

Podsumowuję. Wysunąłem trzy postulaty. W interesie porządnej, przytomnej bożycy powinniśmy:

— po pierwsze, pozbyć się jak najprędzej i radykalnie iluzji o rzekomym bezpośrednim doświadczeniu Boga;

— po drugie, nawiązując do przerwanej od paru wieków tradycji, podjąć na nowo poważne studia filozoficzne (a to znaczy w tym kontekście matematyczno-logiczne) nad istnieniem Boga;

— po trzecie, wyprowadzić teologię z racjonalistycznego zaułka i odnowić badania nad sposobem, w jaki ludzie wierzący przyjmują to istnienie.

Wykonanie pierwszego punktu tego programu będzie wymagało trudnej rozprawy z potężnymi w opinii mas zwolennikami tzw. filozofii spotkania i tym podobnych.

Drugi punkt sprawi na pewno jeszcze więcej trudności, jako że filozofowie uważający dalej za swoich guru różnych Kantów stanowią przecież większość na naszym kontynencie.

A już najtrudniej chyba przyjdzie wprowadzić trochę porządku do teologii, dyscypliny będącej obecnie w upadku.

Ale wydaje mi się, że te trudności nie powinny zniechęcać tych, którzy rozumieją, że chodzi o sprawę dla wielu ludzi nadzwyczaj ważną — o pytanie, jak możemy wiedzieć, czy Bóg istnieje.

J. M. BOCHEŃSKI

Z POSIEDZENIA PREZYDIUM ZARZĄDU KIK

w dniu 8 grudnia 1987 roku

PROTOKÓŁ NR 25

Obecni Andrzej Stelmachowski, Stanisława Grabska, Stanisław Latek, Wojciech Sawicki, Andrzej Wielowieyski oraz redaktor naczelny *Więzi* Wojciech Wieczorek.

Pkt. 3

Wyrazić redakcji *Więzi* zaniepokojenie z powodu publikacji Marka Zielińskiego w *Kulturze* i wnieść o odpowiednie wystąpienie w tej sprawie do władz kościelnych, ponieważ takie publikacje rzucają cień na stosunki naszych środowisk z hierarchią.

LEKARSTWA

Przodujących fabryk Europy, Ameryki i Japonii

WYSYŁAMY BEZ ZWŁOKI.

— **Recepty i zamówienia realizujemy do wysokości $ US 50,00 natychmiast — nie czekając na wpłatę. ● Odczytywanie recept krajowych ● Wszelkie aparaty medyczne ● Okulary ● Aparaty słuchowe ● Preparaty dentystyczne.**

Cenniki i wyceny przesyłamy natychmiast.
Największy Polski Dom wysyłkowy

TAZAB LTD.
Tazab House, 273 Old Brompton Road,
London SW5 9JB, England.
Tel.: (01) 373 48 81

oraz informacje

Madame C. Piquard-Zabłocki,
12 rue Condorcet, 75009 Paris, France.
Tel.: 42 85 79 45.

Ci, co odeszli

Wspomnienie o doktorze Józefie Lichtenie

Józefa Lichtena poznałem osobiście kilka lat temu, na początku mojego pobytu w Rzymie. Byłem jednym z licznych gości, którzy urzeczeni życzliwością gospodarza zasiadali w jego niewielkim gabinecie przede wszystkim po to, by słuchać. Tymczasem to on zwykle pierwszy zadawał pytanie. Był zawsze spragniony wieści o tym, co się dzieje w Rzymie, w Polsce, w świecie. Ze mną najczęściej rozmawiał o ostatnich wydarzeniach w Kraju.

Dopiero niedawno dowiedziałem się, że opuścił Kraj po kampanii wrześniowej 1939 roku. Urodzony w Warszawie w 1906 roku w rodzinie żydowskiego przemysłowca, uzyskał doktorat prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Specjalizował się w historii myśli filozoficzno-prawnej XVI i XVII wieku. W czasie drugiej wojny światowej, po przedostaniu się do Stanów Zjednoczonych, był w Waszyngtonie konsultantem ambasady Rządu Polskiego do spraw wschodnioeuropejskich. Pracował także w Polskim Centrum Informacyjnym w Nowym Jorku.

Później przez ponad 25 lat był dyrektorem Departamentu Spraw Kulturalnych i Religijnych w Anti-Defamation League of B'nai B'rith, jednej z największych światowych organizacji żydowskich. W takiej roli zajął się na krótko przed śmiercią papieża Piusa XII wyjaśnieniem postawy Kościoła katolickiego wobec zagłady Żydów w czasie drugiej wojny światowej. Uzyskał dostęp do dokumentów watykańskich, dzięki czemu w roku 1958 mógł ogłosić pracę „Pius XII and the Jews", broniącą papieża przed oskarżeniami o brak zainteresowania i potępienia zagłady Żydów. Jego inicjatywa podsunęła też pomysł wydania drukiem dokumentów Stolicy Apostolskiej z czasów drugiej wojny światowej. Dowodem uznania dla wkładu Lichtena w to dzieło była odręczna dedykacja Pawła VI we wręczonym mu I tomie „Actes et documents du Saint-Siège relatifs à la seconde guerre mondiale".

Chęć wykorzenienia antysemityzmu, obecna w różnych środowiskach chrześcijańskich i żydowskich w Europie i w Stanach Zjednoczonych, zbliżała je ku sobie i zaowocowała uświadomieniem sobie potrzeby dialogu. Józef Lichten stał się jednym z jego głównych promotorów. Począwszy od spotkań w Worcester koło Bostonu w całych Stanach odbyło się w latach pięćdziesiątych około 200 takich „dialogowych" konferencji, podczas których początkowo mówiono więcej o wspólnej pracy dla dobra ogólnego, później zaś — gdy się bliżej poznano — także o religii. W tej sytuacji nadeszła wiadomość o przygotowaniach do II Soboru Watykańskiego. W związku z pracami nad dokumentem o judaizmie kardynał Agostino Bea na polecenie Jana XXIII zwrócił się m.in. do Anti-Defamation League z prośbą o opinię. Tak zaczęła się wieloletnia przyjaźń dra Lichtena z kardynałem Bea. W latach 1963-1965 przebywał on w Rzymie, będąc „aktorem na scenie rozgrywającego się dramatu", jak sam to kiedyś określił i uczestnicząc w przygotowaniach przełomowego dokumentu „Nostra Aetate" (Deklaracja o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich), mówiącego o historycznej i teologicznej wspólnocie tradycji chrześcijańsko-żydowskiej. Dokument ten zawiera niezwykle ważne stwierdzenie, że „Kościół, który potępia wszelkie prześladowania, przeciw jakimkolwiek ludziom zwrócone, pomnąc na wspólne z Żydami dziedzictwo, opłakuje — nie z pobudek politycznych, ale pod wpływem religijnej miłości ewangelicznej — akty nienawiści, prześladowania, objawy antysemityzmu, które kiedykolwiek i przez kogokolwiek kierowane były przeciw Żydom" (nr 4).

Dokument otworzył bramy dla stałego dialogu Kościoła z judaizmem. Józef Lichten stał się niejako mistrzem tego zbliżenia, służąc mądrą perswazją i łagodnością. Zajął się splataniem różnych środowisk, rozwiązywaniem rozlicznych wątpliwości na drodze porozumienia, usuwaniem niechęci. Po reformie Kurii Rzymskiej w 1967 roku wszedł z ramienia Anti-Defamation League w skład Międzynarodowego Katolicko-Żydowskiego Komitetu Łączności, powstałego w ramach Sekretariatu do spraw Jedności Chrześcijan. Z tych względów w 1971 roku przeniósł się z żoną na stałe do Rzymu. Utrzymywał wiele przyjaźni z dostojnikami kościelnymi, a także z przedstawicielami judaizmu. Był ekspertem i promotorem wielu spotkań, dyskusji, kolokwiów, autorem rozlicznych rozpraw poświęconych stosunkom chrześcijaństwa z judaizmem. W uznaniu niezwykłych zasług otrzymał w 1986 roku Order św. Grzegorza Wielkiego, najwyższe watykańskie odznaczenie dla ludzi świeckich.

Nie brak też było innych wyróżnień. Za pracę nad zbliżeniem chrześcijańsko-żydowskim otrzymał doktorat *honoris causa* katolickiego Uniwersytetu św. Franciszka w Nowym Jorku, specjalne odznaczenie od Edith Stein Guild i od Instytutu Spraw Chrześcijańsko-Żydowskich przy Uniwersytecie Seton Hall.

Przez cały ten okres żył jednocześnie sprawami polskimi i polsko-żydowskimi. Z pasją czytał krajową i emigracyjną prasę, interesował się nowościami literackimi, sam dużo pisał (m.in. do

Tygodnika Powszechnego, Więzi, Znaku, a także *Kultury, Zeszytów Historycznych* i *Tygodnia Polskiego).* Czuł się równocześnie Polakiem i Żydem.

Pamiętam opowieść o epizodzie z pierwszego jego powojennego pobytu w Warszawie, u schyłku lat pięćdziesiątych. Urzędniczka załatwiająca formalności nie mogła absolutnie zrozumieć jego odpowiedzi na pytania: narodowość? — polska; wyznanie? — mojżeszowe. Gdy wiosną ubiegłego roku po raz drugi odwiedził Polskę — opowiadał, rozpromieniony, że czuł się „u siebie".

Jego kontakty, jego korespondencja z Polską, były żmudnym tropieniem śladów obecności tradycji żydowskiej, jakże przecież kiedyś bogatej w tym punkcie świata. Chciał utrwalić pamięć o polskich Żydach takich jak Janusz Korczak, Ludwik Zamenhoff czy Abraham Heschel. Od strony naukowej zajmował się historią asymilacji Żydów w Polsce, w szczególności po pierwszej wojnie światowej (studium opublikowane w 42 numerze *Zeszytów Historycznych).* Zabierał zdanie we wszystkich kwestiach kontrowersyjnych dotyczących stosunków polsko-żydowskich i katolicko-judaistycznych. W związku z filmem „Shoah" i wznowieniem oskarżeń pod adresem społeczeństwa polskiego o antysemityzm twierdził, że źle się stało, iż reżyser przed zrobieniem filmu nie przestudiował dokładnie polskiej rzeczywistości okupacyjnej i nie zawarł w nim informacji o tych, którzy z narażeniem życia ratowali Żydów. W sposób spokojny i wyważony podchodził do kwestii klasztoru karmelitanek w Oświęcimiu, był przeciwny bezpodstawnym atakom, choć wskazywał też na niezręczności związane z tą inicjatywą. Śledził z właściwą sobie życzliwością wzrost zainteresowania w Polsce tradycją starotestamentową w literaturze, kulturze, a z zadumą i radością ustosunkował się do tych młodych ludzi w Kraju, którzy z własnego wyboru tworzą religijne wspólnoty judaistyczne. Dzięki jego długim staraniom powstała przy Episkopacie Polski podkomisja do spraw dialogu z judaizmem.

Nie byłoby zapewne takiej odwagi i gorliwości w jego działaniu, gdyby u jego podstaw nie leżało głębokie przeżycie religijne. Jeszcze na krótko przed śmiercią odbył z jednym ze znajomych w Rzymie długą rozmowę o Mesjaszu. Prawda o jego wierze niemal symbolicznie wyraziła się podczas jego pogrzebu. Modlitwę za zmarłego odmówił rabin, a zaraz po nim biskupi katoliccy.

Gdy dzisiaj myślę o dziele, którego dokonał w ciągu 81 lat swego życia, nie mogę wyzbyć się obawy, czy znajdą się wśród nas ludzie zdolni podjąć dziedzictwo jego pracy.

Tadeusz KONOPKA

Polemiki

Odpowiedź na anonimowy donos

Tekst zamieszczony we wrześniowym numerze *Kultury* z 1987 roku w dziale „Wolna trybuna" pt. „Komitet Kultury Niezależnej — wątpliwości", podpisany: Bogdan Stasikowski, uznać należy za anonimowy donos.

Na anonimowe donosy się nie odpowiada, tym razem jednak wypada odstąpić od tej zasady. Przede wszystkim ze względu na miejsce publikacji — pismo o takim jak *Kultura* autorytecie. Czytelnikom *Kultury,* zwłaszcza tym, którzy nie znają z własnego doświadczenia obecnej sytuacji w Polsce — należy się sprostowanie licznych zawartych w artykule B. Stasikowskiego fałszów.

B. Stasikowski pisze: „Ja wiem, że to nieprzyzwoicie w salonie o mamonie, ale..." — po czym po wielekroć zarzuca KKN niejawność w dysponowaniu funduszami na kulturę niezależną, twierdząc, że nadeszły czasy jawności.

Tak nie jest. Gdy 11 września 1986 roku zwalniano więźniów politycznych, tego samego dnia — w ramach rozmów ostrzegawczych z członkami opozycji — rozpoczęła się w wielu miastach seria przesłuchań osób podejrzewanych o przynależność do KKN lub kontakty z Komitetem. Osobom tym grożono procesami politycznymi, w tym niejednokrotnie procesami o szpiegostwo — zawsze w związku z „przychodzącymi z zagranicy pieniędzmi na działalność agenturalną". W PRL ściganiu podlega zarówno rozdzielanie, jak i przyjmowanie pieniędzy społecznych, zwłaszcza nadesłanych z zagranicy. Czy władze to egzekwują, czy nie — zależy od ich uznania.

KKN nie jest — jak to wciąż powtarza B. Stasikowski — „salonem" ani „stolikiem w kawiarni". W samym tylko roku 1985 różnego rodzaju pomoc KKN (także organizacyjna, wyrażająca się m.in. ułatwianiem niejawnych z konieczności kontaktów)

* Artykuł wyraża stanowisko Komitetu Kultury Niezależnej.

udzielona została inicjatywom w miastach następujących: Kraków, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Siedlce, Kielce, Lublin, Częstochowa, Katowice, Bytom, Toruń, Bydgoszcz, Słupsk, Koszalin, Łowicz, Piła, Zamość, Rzeszów, Lubin, Nowy Sącz, Sosnowiec, Tychy, Zakopane, Białystok, Olsztyn, Szczecin. Działają Komitety Kultury Niezależnej w Krakowie, Wrocławiu, Poznaniu, Łodzi i Gdańsku; analogiczne dane za lata 1986 i 1987 zawierałyby znacznie dłuższą listę miejscowości.

Nie znaczy to bynajmniej, że KKN i jego odpowiedniki w innych miastach mogą pomóc wszystkim potrzebującym. Daleko do tego. Dlatego między innymi, że — wbrew temu, co w omawianym artykule można przeczytać — KKN *nie* „dysponuje olbrzymią większością pieniędzy przeznaczonych na niezależną działalność kulturalną", a jedynie pewnym ich, niezbyt wygórowanym, procentem. Poza KKN-em działają m.in. na przykład operujące własnym budżetem Fundusz Wydawnictw Niezależnych oraz Zrzeszenie Video. Co ważniejsze — i co w ogóle bardzo ważne dla zrozumienia ruchu kultury niezależnej w Polsce — działają tu nie dziesiątki, lecz setki naprawdę niezależnych i zdecydowanie broniących swej niezależności „firm", z własnym przez wiele nieraz lat gromadzonym kapitałem, z własnymi przyjaciółmi w kraju i za granicą. Do tego — liczne grupy samopomocy, środowiskowe i międzyśrodowiskowe, także szukające swych sponsorów. („Niebagatelne" sumy, jakie B. Stasikowski przekazywał z Zachodu dla środowiska literackiego w kraju, do KKN-u nie dotarły).

Wszystko to tworzy barwną, nieustannie zmieniającą się mozaikę, żywą i niezniszczalną właśnie dzięki swej różnorodności, wielości i n i c j a t y w. KKN nie będzie tutaj — jak zamierzali czynić niektórzy działacze — zaprowadzał „ładu i porządku" i „centralizmu demokratycznego", gdyż byłoby to zgubne.

Programowym zadaniem KKN jest wspomaganie inicjatyw, nie zaś budowanie w podziemiu namiastki „państwa opiekuńczego", które miałoby wyjść naprzeciw żądaniom „niezależnych" twórców. KKN nie robi i nie będzie robił niczego z a m i a s t innych. Nie będzie na przykład — jak tego żąda B. Stasikowski — organizował kolportażu tomików poetyckich młodych autorów, zajmował się ich „promocją". Z uznaniem przyjmuje natomiast zrodzoną ostatnio w środowisku literackim inicjatywę odrębnego kolportażu istotnie z trudem rozchodzącej się poezji.

Inny przykład: KKN dotował każdy numer małego pisma informacyjnego *Wybór*. Co nie znaczy, by miał załatwiać wszystkie sprawy związane z jego drukiem. Pismo padło. B. Stasikowski formułuje tezę, że właśnie KKN, wespół z NOW-ą, doprowadził do likwidacji „nazbyt niezależnego" pisma. Pomówienie to, nijak nie uzasadnione, jest absurdalne w sposób skądinąd charakterystyczny.

Autorowi artykułu wydaje się, że KKN mógł nakazać NOW-ej druk *Wyboru*. Kiedy indziej, że może udaremnić druk niedobrej książki lub niełądnej serii znaczków. Otóż nie: KKN nie chce być i nie będzie podziemnym ministerstwem, centralnym zarządem, policją ani cenzurą w niezależnym ruchu kulturalnym. Nie tylko dlatego, że tego rodzaju urząd — docierający wszędzie i wszystko ogarniający swą działalnością — nie mógłby tutaj zaistnieć. KKN ceni żywiołowość ruchu niezależnej kultury i świadom jest, że niczego się tutaj nie da załatwić nakazem lub zakazem. Także rozdzielanie czegokolwiek (pieniędzy, sprzętu) nie może być i nie jest przez KKN traktowane jako środek nacisku.

Porozumienie, zawarte między OKN-em a TKK, które autor artykułu w *Kulturze* wyśmiewa jako „fikcyjne", było w istocie uznaniem pełnej niezawisłości ruchu niezależnej oświaty, kultury i nauki od wszelkich ośrodków dyspozycyjnych, także od TKK i biura w Brukseli. Środowiska zainteresowane sprawnością podziemia i pełną swobodą rozwoju kultury polskiej wiedzą o tym doskonale, znają wagę tamtej umowy.

B. Stasikowski, skupiony widać na własnych roszczeniach, najwyraźniej o tym nie wie i zainteresowany nie jest. Nie dba o fakty. Wymieńmy tylko kilka spośród zawartych w jego artykule dezinformacji. 1. Wiktor Kulerski, przedstawiciel władz „Solidarności" dla kontaktów ze środowiskami twórczymi, niezmiernie im przez lata pomocny (uwierzytelniał na przykład swym nazwiskiem pisma niejawnych gremiów), nigdy jednak członkiem OKN-a nie był i nie „podpisywał umowy sam z sobą". 2. *Nowy Zapis* nigdy nie był pismem KKN. 3. Ernest Bryll nie otrzymał, jak dotąd, Nagrody Kulturalnej „Solidarności", co łatwo sprawdzić. 4. Szwedzkie Związki LO nie przyznały nigdy funduszy na pomoc dla polskich pisarzy (byłoby to niezgodne ze statutem LO, B. Stasikowski nie mógł więc o tym czytać w szwedzkich gazetach), lecz na „niezależną oświatę, kulturę i naukę w Polsce". 5. Przytłaczająca większość „firm" niezależnych, wymienionych przez B. Stasikowskiego jako pozbawiona wsparcia KKN, wsparcie takie uzyskała. Prostowanie innych zawartych w omawianym tekście fałszów wymagałoby ujawnienia pewnych faktów, których przy minimum odpowiedzialności ujawniać się nie powinno.

Ruch kultury niezależnej, a co za tym idzie działalność KKN nie obejmują samego tylko podziemia i nie rozwijają się wyłącznie w konspiracji. Istnieją tu strefy o różnym stopniu jawności, wymagające pomocy społecznej i tylko dzięki niej trwające. Ujawnienie owej pomocy równałoby się likwidacji tych zjawisk, na co KKN — bez względu na wszelkie formy nacisku, jakie się mogą pojawić — nie przystanie. Zbyt długo trwały represje wobec niezależnej kultury ze strony władz PRL, by paromiesięczne ich względne osłabienie pozwalało na dekonspirację metod oporu w tej dziedzinie.

Nie znaczy to wcale, by w działalności KKN i — szerzej — OKN-a brak było mechanizmów kontroli społecznej. Do marca 1986, a więc do zawarcia umowy z TKK, stowarzyszone w OKN-ie Komitety przedstawiały sprawozdania władzom NSZZ „Solidarność". Obecnie — jako komisja rewizyjna — rozpoczęło pracę grono osób społecznego zaufania spośród przedstawicieli środo-

wisk twórczych. Od pięciu lat doroczne budżety i sprawozdania przedstawiane są także — bez żadnych zobowiązań jakiejkolwiek natury — donatorom.

Trudno powiedzieć, skąd B. Stasikowski powziął przekonanie, że cała ta aktywność rozwija się „w dusznej atmosferze salonu, w którym wszyscy sądzą, że tak w ogóle to fajnie jest". Niezależna publicystyka ostatnich lat, w tym wiele tekstów w miesięczniku *Kultura Niezależna*, świadczą o czymś przeciwnym.

KKN ocenia obecną sytuację polskiej kultury, także (lecz nie tylko) kultury niezależnej od państwa, jako niezwykle trudną. Pod auspicjami KKN prowadzone są prace badawcze, zbierana dokumentacja, gromadzone archiwa. To temat szerszy, wykraczający poza ramy tego tekstu.

Jan SABER

W uzupełnieniu "Odpowiedzi..." Jana Sabera

Anonim podpisany nazwiskiem „Stasikowski", zamieszczony w *Kulturze* nr 9/1987, uważam za mieszankę donosów, kłamstw i pomówień wobec Komitetu Kultury Niezależnej. Ponieważ w anonimie i ja zostałem wymieniony, czuję się zobowiązany do uzupełnienia odpowiedzi paroma uwagami natury osobistej. Oto one:

1. W całej rozciągłości zgadzam się ze stanowiskiem wyrażonym w odpowiedzi Jana Sabera.

2. Nigdy nie byłem członkiem ani „działaczem" OKN-a, a w czasie przygotowywania i zawierania porozumienia z TKK również nie byłem jej członkiem ani „działaczem", jak tego chce autor anonimu.

3. Najbardziej znanym świadectwem faktu, że porozumienie bynajmniej nie było „grą salonową" ani „zabawą" jest fałszerstwo przeciwko niemu wymierzone, jakim okazało się oświadczenie podpisane rzekomo przez TKK i ogłoszone w nowojorskim *Nowym Dzienniku*.

4. Określenie „nawróceni działacze kulturalni" (zawężone w stosunku do znacznie częściej używanych określeń „byli prominenci", „dawni stalinowcy" albo po prostu „żydo-komuna") uważam za niskie. Skierowane jest przeciw osobom, które działając od lat w antytotalitarnej, a więc i antykomunistycznej opozycji demokratycznej w Kraju, wniosły ogromny wkład w budowę i obronę niezależnej kultury, oświaty i nauki polskiej. Za to właśnie osoby te darzone są znacznym szacunkiem i uznaniem. Niejedna z nich zapłaciła za swą działalność więzieniem, aresztem, internowaniem. Wiele doświadczyło rozlicznych innych, dotkliwych represji. Wiele jest wciąż zagrożonych i liczy swoje dni. Określenie „nawróceni działacze kulturalni" wymierzone jest przeciwko moim przyjaciołom sprawdzonym w godzinie próby i nie panu S. sądzić o ich stosunku do mnie, ani udzielać rad w sprawie mojego stosunku do nich. Osobiście nie uważam, by fakt, iż ktoś kiedyś z jakichś pobudek przyłożył rękę do sprawy niegodnej był dostatecznym powodem do napiętnowania go raz na zawsze. Nie do mnie należy sąd w takich sprawach i — jak mniemam — również nie do pana S. Tym bardziej i już żadną miarą czynić tego nie wolno tam, gdzie zmiana stanowiska pociąga za sobą konsekwencje, jakich każdy z nas wolałby uniknąć. Nie przystoi także piętnować komuś, komu dane było żyć w mniej groźnych czasach i okolicznościach, komuś, kto mimo to sam nie jest chyba całkiem bez winy i kto własnego spełnienia poszukuje nie bez pomocy piętnowanych. A jeśli ambicje w tym spełnianiu wyrastają ponad możliwości, to zażalenia należałoby wnosić chyba gdzie indziej. Dworując sobie z dziecinnych lęków przed policją, domagając się ujawniania i odtajniania, należałoby może pierwej pomyśleć, czy wypada to czynić wówczas, gdy samemu występuje się anonimowo.

5. Mylące, zwodnicze wyrazy uznania skierowane pod moim adresem przez pana S. znalazły się w takim kontekście i wyszły spod pióra osoby piszącej takie rzeczy, że poczytuję sobie to uznanie za ujmę.

6. Żywię szacunek i uznanie dla *Kultury* oraz znam więzy współpracy dla publicznego dobra, jakie zadzierzgnęły się między *Kulturą* a Komitetem Kultury Niezależnej. Anonimowy donos na KKN, opublikowany w *Kulturze* nie należy do bieżących i szybko dezaktualizujących się wiadomości z ostatniej chwili. Co zatem stało na przeszkodzie uprzedniemu przesłaniu kopii Komitetowi, poproszeniu o wyjaśnienia i odpowiedzi, a następnie roztropnemu opublikowaniu obu tekstów jednocześnie? Był to sposób na zmniejszenie szkód. *Kultura* nie dociera do Polski regularnie i nie każdy czytelnik otrzymuje wszystkie kolejne numery. Stało się, jak się stało, ale dlaczego tak a nie inaczej — tego wytłumaczyć sobie i zrozumieć nie potrafię. Widać, że i co do przypisywanej mi inteligencji pan S. prawdy nie powiedział.

7. Nie wiem także — traf ślepy, czy pewien swoisty typ umysłowości? Otóż z podobnymi, jak u pana S. wypowiedziami spotkałem się wcześniej z innej strony. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa nie tak dawno również prawili mi, że jestem „manipulowany", „manewrowany" przez tych, których pan S. nazywa „nawróconymi", tyle że nieco inaczej ich nazywali niekiedy; również starali się uchronić mnie przed „firmowaniem" cudzej i podejrzanej gry moim własnym nazwiskiem; również chwalili moją inteligencję. Przypisywali mi wreszcie jednoczesne uczestnictwo w TKK i w OKN-ie, a nawet szefowanie w tym drugim, zapytując — „no to jakaż to niezależność tego OKN-a?". Przy-

znać trzeba, że pan S. poszedł dalej, zapytując wnikliwie — „czyżby podpisywał umowę o współpracy z samym sobą?". Może bardziej wnikliwie, jednak funkcjonariusze resortu bezpieczeństwa o pieniądzach ze mną nie rozmawiali. Z innymi — tak, i owszem. Co poniektórym (o wszystkich nie wiem) laureatom nagród „Solidarności" kazali na piśmie i własnymi podpisami ręczyć, że pieniędzy nie było i że otrzymane nagrody miały charakter wyłącznie honorowy. Ale to już drobiazg przecież.

Wiktor KULERSKI

Warszawa, listopad 1987

Moim zdaniem

W wypowiedziach Wiktora Kulerskiego i Jana Sabera przeważają emocje, co zrozumiałe. Nim na ich teksty odpowiem, jedna uwaga: używanie pseudonimu jest jednym z praw każdego piszącego — sam Saber powinien zdawać sobie z tego sprawę. Pseudonimu „Stasikowski" używam nie pierwszy raz i nie ma powodu nazywania podpisanych nim tekstów anonimami.

Fakt, że policja czyni ze spraw finansowych jedno z narzędzi w walce z opozycją, grożąc „procesami politycznymi, w tym niejednokrotnie procesami o szpiegostwo" nie jest powodem, dla którego należy te sprawy pomijać milczeniem. To argument dość niebezpieczny, gdyż „względy bezpieczeństwa" nie mogą i nie powinny całkowicie zwalniać od obowiązku publicznych rozliczeń z „pieniędzy społecznych", o których pisze Saber — określenie to jest słuszne; są to pieniądze społeczne. Czy i przed kim należy się z nich rozliczać? Jest to pytanie bardzo istotne. To samo dotyczy formy tych rozliczeń. Nie wiem, jak to zrobić najlepiej, byłoby jednak dobrze — moim zdaniem — gdyby fundator (społeczeństwo) miał możliwość poznania choćby struktury wydatków. Bez tego dysponowanie pieniędzmi znajduje się *de facto* poza kontrolą społeczną — mimo pracy „komisji rewizyjnej" (też niejawnej). Nie bez znaczenia byłoby wyznaczenie rzecznika owej komisji na emigracji (a więc poza zasięgiem policji), który by swym autorytetem mógł owe rozliczenia uwiarygodnić. Sprawa nie jest prosta, ale to nie znaczy, że nie należy dla niej szukać jakiegoś rozwiązania.

Nikt, w tym także ja, nie neguje faktu pomocy KKN dla różnych inicjatyw i środowisk. Zwracałem jednak uwagę, że pomoc ta nie zawsze dociera do potrzebujących — tych, którzy nie wiedzą, jak do KKN dotrzeć. Przykładem list wołający o pomoc w nr. 12/1987 *Kontaktu*. KKN w moim przekonaniu jest mało

dynamiczny w docieraniu z własnej inicjatywy do tych środowisk. Może niezbyt precyzyjnie sformułowałem ten zarzut.

Pisze Saber, że „działalność KKN nie obejmuje samego tylko podziemia". To bardzo piękne. Jednakże decyzja — choćby i słuszna — o pomocy Komitetu dla zjawisk jawnych wymaga, moim zdaniem, publicznej dyskusji. Czy nie ma innych możliwości pomocy tym niezależnym inicjatywom? Fundusze społeczne, choć stosunkowo duże, nie są jednak aż tak ogromne, by można je było bez dyskusji rozdzielać także na inicjatywy jawne — podstawową intencją ofiarodawców jest przecież wspomożenie podziemia. Fakt, że zjawisko kultury niezależnej obejmuje także sfery jawne cieszy, lecz nie oznacza, że te jawne inicjatywy muszą być przez podziemie akurat dotowane. W każdym razie dobrze się stało, że Saber fakt ów ujawnił.

Zgodzić się należy z Saberem, że zagrożenia dla kultury niezależnej płyną także od wewnątrz. Jednym z takich zagrożeń jest niejawność. Innym, może mniej poważnym, posądzanie każdego, kto wyraża odmienne stanowisko, o pisanie donosów, współpracę z policją — to zresztą temat-rzeka, stały motyw życia publicznego w PRL, jeden z najbardziej widocznych objawów sowietyzacji.

Stałym motywem z kolei wypowiedzi działaczy KKN jest odżegnywanie się od posądzenia ich o to, że tworzą „podziemne ministerstwo kultury". Bardzo to ładnie brzmi. Jednakże, skoro czytam, że „programowym zadaniem KKN jest wspomaganie inicjatyw", to mam prawo przypuszczać, że do „wspomagania" należeć może np. wydawanie opinii, które ułatwią dalsze życie inicjatywom niezależnym, zwłaszcza z małych ośrodków. Stale się mówi o tworzeniu rzeczywistego rynku, premiuje zaś *de facto* społeczny darwinizm. Tworzenie rynku to nie tylko tworzenie firm, z których przetrwają najsilniejsze. To także marketing, reklama, podtrzymywanie padających inicjatyw — jeśli się je uzna za ważne. Nie wiem, jakie jest obecnie zdanie KKN — że powrócę do swego ulubionego tematu — o wycofywaniu się firm wydawniczych z publikowania poezji, która „nie idzie". Jakie jest zdanie Komitetu na temat funkcjonowania w podziemiu prawa autorskiego — skądinąd wiadomo, że autorom emigracyjnym nie płaci się honorariów: czy sumy te nie mogłyby zasilić kasy społecznej? Podobnych pytań jest więcej. Nie tu miejsce, by je mnożyć.

Nigdzie nikogo nie namawiałem do centralizacji działań kultury niezależnej. Nie znaczy to jednak, że należy całkowicie „iść na żywioł", stawiać wyłącznie na spontaniczność. To również bez sensu. Samo powstanie KKN świadczy zresztą o potrzebie koordynacji niektórych działań, o niemożliwości uniknięcia jakiejś „czapki" dla różnorodnych inicjatyw. Wydaje się, sądząc po wypowiedzi Sabera, że sam Komitet nie potrafi w tej chwili jasno określić swej roli i zadań, innych przecież i bardziej złożonych niż w chwili powstawania tej organizacji. Kryzys ten jest odbiciem kryzysu dużo poważniejszego — obejmującego całość ruchu opozycyjnego w Polsce.

Wreszcie sprawa ostatnia: wypowiedź Kulerskiego. Przyjmując z pokorą sprostowania dotyczące roli tego wybitnego działacza, nie mogę przejść do porządku nad tonem tekstu, ustawiającego mnie w szeregach policyjnych. Dotyczy to w szczególności komentarza do określenia użytego w moim artykule: „nawróceni działacze kulturalni". Kulerski nie musi udawać, że nie wie, iż poza policją i Passentem czy Urbanem, pojęcie to używane jest także — i to dość powszechnie — w środowiskach nic z władzą nie mających wspólnego. Rzecz nie w tym, by ludziom niegdyś zaangażowanym — nie chodzi bynajmniej tylko o „byłych stalinistów", nawet chyba o nich najmniej, a głównie o tych, którzy aktywni byli w okresie gierkowskim, gdy działała już opozycja — po stronie władzy odmawiać prawa czy to do zmiany poglądów, czy publicznej aktywności. Chodzi natomiast o ich stosunek do innych, o przyznawanie sobie obecnie prawa do moralizowania i sądzenia — pisał o tym zresztą kiedyś Jan Walc w *Krytyce* w artykule, który spotkał się z ostrą krytyką Wiktora Kulerskiego. Sprawa jest śliska, to prawda. Niemniej nie można udawać, że problem nie istnieje. Natomiast proponowane przez Kulerskiego licytowanie represji i zasług uważam za upokarzające. Upokarzający dla KKN powinien być też fakt, że laureaci nagród Komitetu podpisywali oświadczenia ręczące, że nagrody były wyłącznie honorowe. Dlaczego bowiem nagrody przyznawane przez środowisko niezależnych dziennikarzy mogą być publicznie ogłaszane jako pieniężne, zaś nagrody kulturalne nie, tego nie pojmuję.

Rzeczowe błędy mego artykułu zostały sprostowane przez polemistów. Jest ich sporo, nie one jednak pobudzały emocje dotyczące działalności KKN.

Bogdan STASIKOWSKI

Na tym dyskusję zamykamy. Naszym zdaniem artykuł Stasikowskiego odegrał także pożyteczną rolę prowokując dyskusje na tematy mało lub wcale nie poruszane. Spowodował również, że choć nieśmiało pojawiają się jednak sprawozdania czy rozliczenia.

Do tych spraw będziemy wracali choćby w sprawie prohibicyjnych cen na wydawnictwa niezależne czy coraz bardziej szwankujący kolportaż.

REDAKCJA

Książki

Miasto polskich dzieci

Literatura historyczna i wspominkowa dotycząca Polaków, których losy wojny rzuciły do ZSSR i stamtąd przez Persję w egzotyczne kraje, pozornie dość obfita, zawiera wiele białych plam. Jedną z nich są losy dzieci, młodzieży i szkolnictwa polskiego w tych krajach, zwłaszcza szkolnictwa cywilnego. Lukę tę próbują wypełnić ukazujące się z rzadka księgi pamiątkowe byłych wychowanków tych szkół, które dostarczają materiału do przyszłej syntezy. Są to, jak dotąd, głównie wydawnictwa dotyczące szkół wojskowych na Środkowym Wschodzie, chlubnie świadczące o zachowanej więzi koleżeństwa, na tyle mocnej, by podjąć zbiorowy wysiłek wydania książki. O wiele gorzej jest z książkami szkół cywilnych, które *illo tempore* były rozrzucone po Persji, Palestynie, Libanie, Indiach, Afryce, Nowej Zelandii i Meksyku (ten ostatni upamiętniony przez A. Jacewicza: *Santa Rosa*. Londyn 1965), a o których dziś — poza kręgiem osób bezpośrednio z nimi związanych — wie się tyle co nic. Z tym większym zadowoleniem należy więc powitać *Isfahan miasto polskich dzieci*, który w roku 1987 ukazał się w Londynie staraniem i nakładem Koła Wychowanków Szkół Polskich Isfahan i Liban, pod redakcją Ireny Beaupré-Stankiewicz, Danuty Waszczuk-Kamienieckiej i Jadwigi Lewickiej-Howells. Z zadowoleniem tym większym, że książka opracowana jest nader solidnie i źródłowo. Nie ogranicza się do zwykłego w takich wydawnictwach materiału — skądinąd cennego jako żywy autentyk — który zachował się u byłych wychowanków rozrzuconych po całym globie oraz wspomnień napisanych *ad hoc*, ale sięga do źródeł o szerszym znaczeniu, naświetlających tło wydarzeń i miejsc, a odszukanych w instytucjach naukowych zarówno polskich (Biblioteka Polska i Instytut gen. Sikorskiego w Londynie) jak i angielskich (British Library i archiwum rządowe Public Record Office). Jak stwierdza redakcja książki: „Autorzy poszczególnych rozdziałów spędzili wiele żmudnych godzin studiując dokumenty, aby nasze isfa-

hańskie wspomnienia i wrażenia były oparte na mocnym kośćcu faktów, statystyk i dat". To rzuca się w oczy.

Pokaźny tom (xviii, 532 str.) podzielono na 6 części: Drogi do Isfahanu, Perski Isfahan, Isfahan miasto polskich dzieci, Na dalszą wędrówkę, Liban oraz Epilog. Całość uzupełniają bardzo ważne dodatki: bibliografia, lista nazwisk wychowanków wraz z nauczycielstwem i personelem pomocniczym w Isfahanie (31 stron!), spis byłych wychowanków na wyższych uczelniach i kursach w Bejrucie (8 stron) oraz spis podręczników szkolnych wydanych w latach 1942-1943 w Palestynie i używanych w tych szkołach. Całość uzupełniają — co należy podkreślić z uznaniem — indeksy nazwisk i nazw miejscowości. To solidne wykończenie, obok bogactwa i różnorodności zebranego materiału, w tym również ikonograficznego — czyni z *Isfahanu* dzieło wzorowe, które należy usilnie polecić jako przykład do naśladowania przez redaktorów tego typu opracowań, które oby ukazywały się w przyszłości. Książka jest jak najbardziej godna którejś z bardziej prestiżowych nagród, które na emigracji poszukują kandydatów.

Isfahan został miastem polskich dzieci dzięki pierwszemu rzutowi ewakuacji wojska i cywilów do Persji. Jego zalążkiem był sierociniec z Karkin Batasz (co znaczy Dolina Śmierci) koło Guzaru w Tadżykistanie, który 24 marca opuścił Sowiety. Warto tu uzupełnić, że na tym nie skończyły się dzieje tego Auschwitzu (aczkolwiek bez komór kazowych) polskich dzieci. Według omawianej książki, była tam potem szkoła junaczek, ale jej komendantka, zrozumiawszy że pozostanie tam grozi zagładą, uzyskała przeniesienie w zdrowsze okolice. Na miejscu pozostał niestety (pominięty przez książkę) sierociniec nr 2, powstały po wyjeździe pierwszego i obejmujący dzieci za małe do szkół junackich, o które nie miał kto się upomnieć. Sierociniec ten wyjechał do Persji w sierpniu, pozostawiając po sobie ponad 100 dziecinnych mogił, nie licząc personelu. Najmłodsze wymarły *wszystkie*, większość starszych ocalała. Wiem coś o tym jako jedna z tych szczęśliwców, którym wyjazd zdążył uratować życie. Pora wreszcie skończyć z rzewnym mitem, że *wszystkie* polskie komórki opieki społecznej w ZSSR robiły co mogły (i przestać o absolutnie wszystko winić bolszewików!) — dobrze pamiętam bezduszny (mówiąc oględnie) stosunek tej „opieki" do nas, małoletnich *dochodiagów*, i do naszych bezpośrednich opiekunek.

Kilka dokumentów z okresu ewakuacji, odszukanych przez twórców *Isfahanu*, zwraca szczególną uwagę. Ze zbiorów Instytutu gen. Sikorskiego pochodzi materiał dotyczący początków Karkin Bataszu reprodukowany *in facsimile:* optymistyczne sprawozdanie kpt. Jedziniaka z 6 marca 1942 o przydatności tej mordowni na sierociniec (położony „w pięknej, malowniczej i zdrowej [*sic! sic! sic!*] okolicy") — *de facto* złowrogi step, zrujnowane obory bydlęcego sowchozu jako pomieszczenia dla dzieci i dwie studnie słonej wody, która natychmiast rozstrajała żołądki, co naturalną koleją przechodziło w dyzenterię; oraz rozkaz kpt. Gałyńskiego, kierownika Referatu Opieki Społecznej w Guzarze, zatwierdzający zorganizowanie tam sierocińca. Warto dodać: niech im Bóg tego nie pamięta. Innym bardzo cennym źródłem są odszukane w Public Record Office i podane w skrócie i w polskim tłumaczeniu raporty płk. Alexandra Rossa, przedstawiciela Middle East Relief and Refugee Administration, o ewakuacji Polaków z ZSSR i organizacji opieki nad nimi po perskiej stronie. Są to treściwe, nadziane faktami i liczbami urzędowe sprawozdania, których ważność wykracza poza ramy omawianej książki. Zasługi płk. Rossa potwierdziło nadanie mu Polonia Restituta.

Pierwszy transport 250 dzieci przybył do Isfahanu 10 kwietnia 1942. Powstały 3 internaty — szkoły zwane zakładami. U szczytu rozwoju Miasta Polskich Dzieci działało 21 rozrzuconych po mieście zakładów, które skupiały, wraz z personelem, ok. 3 tys. osób, w tym oczywiście ogromną większość dzieci i młodzieży od drobiazgu aż po maturzystów. W latach 1942-1945 przeszło przez Isfahan ok. 2 tys. dzieci, z których część była tam do końca, a inne wcześniej wyjechały do Nowej Zelandii i Afryki. Grupa 100 dziewcząt w zakładzie u francuskich szarytek i tyluż chłopców u salezjanów była na utrzymaniu Watykanu, pozostałym byt zapewniły polskie władze.

Najobszerniejsza część książki, o polskim Isfahanie, zawiera bardzo różnorodny materiał. Prócz rozdziału poświęconego każdemu zakładowi osobno, omówione są różne aspekty życia szkolnego w tym egzotycznym środowisku. Całość ilustrują obficie urywki z uczniowskich pamiętników z tamtych czasów. Można przypuszczać, że nie były pisane jako zadania szkolne, a więc nie miały potrzeby przypochlebiać się „ciału pedagogicznemu". Dlatego właśnie zwraca uwagę ich pogodna, często radosna atmosfera, która najlepiej świadczy, że kierownictwu i personelowi zakładów udało się stworzyć dzieciom namiastkę prawdziwego domu. Po sowieckich przejściach wszystko było cudowne — prawdziwe łóżka z czystą pościelą, całe ubrania, woda do mycia, cień drzew i oczywiście jedzenie, na które autorzy pamiętników zwracają szczególną uwagę i z lubością wyliczają, co się jadło i kiedy. Nic dziwnego, że tak życzliwym zainteresowaniem darzą miejsca i ludzi, wśród których znaleźli swój raj.

Program nauczania uwzględnił czasy i środowisko, w którym te szkoły pracowały. „W wyższych klasach zwrócono uwagę na poznanie Iranu. Ważniejsze wydarzenia w świecie, praca Rządu Polskiego, rola Armii Polskiej, sytuacja narodu pod okupacją znalazły omówienie w programie bieżących zagadnień. W szkołach został wprowadzony język angielski. Program nauczania obejmował wszystkie przedmioty normalnie obowiązujące w Polsce; w niektórych szkołach uczono języka perskiego". Korzystano z podręczników wydanych w Palestynie, uzupełniając je własną produkcją. Osiem książek wydanych w roku 1943 w Isfahanie (na powielaczu) jest dziś oczywiście białymi krukami. Uczono też rzemiosł, wśród nich tak niezwykłego jak tkanie perskich dywanów, którego dziewczęta uczyły się od miejscowego mistrza.

Na zewnątrz Isfahan odgrywał rolę propagandową. „Niezli-

czone obchody patriotyczne i religijne uroczystości stwarzały w oczach cudzoziemców obraz deklamujących, śpiewających i tańczących Polaków i nie bez powodu dochodzili oni do wniosku, że są to nasze charakterystyczne cechy narodowe... Obchodziliśmy nie tylko historyczne rocznice — obchodziliśmy urodziny, imieniny i śmierci: prezydentów, premierów, generałów i marszałków, i licznych świętych — obchodziliśmy bitwy wygrane i bitwy przegrane... Zalewały też Isfahan fale dygnitarzy i różnych większych i mniejszych osobistości... a to pociągało za sobą niezliczone powitania, ogniska i pożegnania". Pamiętnikarze niechętnie wspominają tę plagę życia szkolnego, która nawet wytworzyła specjalny rodzaj artystów: „witaczki", specjalizujące się w witaniu niepożądanych gości po polsku, francusku, łacinie [duchownych] i angielsku. A bukiety porzucone przez witanych dygnitarzy nie zdążyły nawet zwiędnąć i już wręczano je następnym.

Końcowi Isfahanu towarzyszyły pogłoski o przymusowej repatriacji do Polski. Sytuacja w Persji była niepewna, obawiano się rozruchów i sowieckiej interwencji. Jesienią 1945 roku Miasto Polskich Dzieci zostało przesiedlone do Libanu. Przybysze zamieszkali w siedmiu miejscowościach i spotkali się z życzliwym przyjęciem ze strony tubylców chrześcijan. Internaty, szkoły i harcerstwo podjęły przerwaną działalność, maturzyści wyruszali na studia do Bejrutu, gdzie powstało również Studium Polonistyczne, czynne w latach 1946-1949. Przez kilka lat życie toczyło się normalnie. Ostatecznie polski Liban przestał istnieć w latach 1947-1950 wskutek ewakuacji rodzin wojskowych do Anglii, powrotów do Polski i emigracji za morza.

Na zakończenie trzeba podkreślić jeszcze jedną mocną stronę książki: bogaty i różnorodny materiał ilustracyjny, w ogromnej większości fotografie z tamtych czasów pokazujące różne strony życia szkolnego i harcerskiego. Osiem stron kolorowych plansz pokazuje zabytki Isfahanu oraz piękne perskie dywany utkane przez Polki. Jeden z nich, z Orłem, zdobi okładkę. Obecnie znajdują się w Londynie na Zamku (w siedzibie rządu emigracyjnego). Całość uzupełniają mapy przebytych szlaków i faksimila dokumentów: sowiecka książeczka pracy polskiej *specpieriesielenki* z archangielskiej *obłasti* (10 % zarobku odtrącano dla NKWD, chyba na koszt „Opieki"), wspomniane źródła dotyczące Karkin Bataszu, legitymacje studenckie z Bejrutu i wreszcie „wpisania się" w pamiętniku późniejszego isfahańczyka, które tu osiągają godność rzadkiego dokumentu historycznego:

Dnia 10/III 1941 rok

Ku pamięci!!!

Chociaż w tajgach sybiru tak długo się męczymy,
Może Pan Bóg da że wszystko zwyciężymy.
Ale musimy mocno ufać w Panu Bogu, żebyśmy
powrucili do swego rodzinnego progu.

Niech Pan Bóg mam do pomoże wytrwać w tej niewoli.
Żebyśmy nadal mogli pracować na naszej ojczystej roli.

Kochanemu koledze w Tajgach sybiru wpisała się kolerzanka Musiałówna Alina.

albo

Dnia 16. VI. 1941

Wspomnienie!!!

Gdy powrócisz niedługo w rodzinne swe strony
Radosna, szczęśliwa, wesoła odchylisz
Pamiętnik i spojżysz w te karty co znaczą,
Lasy Dziewicze i nieszczęsny sybir.

Na pamiątkę wpisał się na wygnaniu koledze Edkowi K. Jarocki.

SYBIR

Hanna ŚWIDERSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

CUSTINE (de, Astolphe). *Listy z Rosji (Rosja w 1839 roku).* Z francuskiego przełożyła Katarzyna Czermińska. Str. 210 i 2 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 5, $ US 11).

WIERZBICKI (Piotr). *Struktura kłamstwa.* Str. 172 i 4 nlb. (Wyd. Aneks, Londyn 1988, cena £ 4, $ US 10).

Nowoczesna historia Polski, tom III. Red. Józef Jasnowski. Str. 296. (Wyd. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1987, w serii „Prace Kongresu Kultury Polskiej").

Bieżące zagadnienia krajowe, tom II. Red. Jan Drewnowski. Str. 252 i 4 nlb. (Wyd. PTNO, Londyn 1986, w serii „Prace Kongresu Kultury Polskiej").

Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich (wrzesień 1939). Praca zbiorowa pod auspicjami PTNO, red. J. Jasnowski i E. Szczepanik. Str. 122. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

Ojczyzna w sercach. Pokłosie kongresowe pod red. E. Szczepanika i Z. Wałaszewskiego. Str. 143 i nlb. (Wyd. PTNO, Londyn 1986, w serii „Prace Kongresu Kultury Polskiej").

IWANIUK (Wacław). *Nocne rozmowy.* Wiersze. Str. 106 i 2 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

Antologia poezji i prozy lotniczej. Opracowanie: P. Moskwa, A. Kaliniecka, St. Mioduchowski, M. Sawicki. Str. 326 i 4 nlb. (Wyd. PFK, Londyn 1987).

PALUSZKIEWICZ (Julian). *W cieniu Hermesa. Bohaterzy Podlasia.* Str. 139 i 5 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).

JELONEK (Władysław). *Talaipo-ros. Dramat-Mysterium w 3 aktach.* Str. 25 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1988).

WIRSKI (Kazimierz). *Refleksje.* Wiersze. Str. 61. (Wyd. FIMAS, Handen, Szwecja, 1986, cena: Skr 30).

KAŁUSKI (Marian). *Litwa, 600-lecie chrześcijaństwa, 1387-1987.* Str. 108 i 4 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).

WICIAK-SUCHNICKA (Anna). *Drewniane motyle. Wspomnienia (wojna, wygnanie, osiedlenie).* Str. 223 i 1 nlb. (Wyd. Veritas, Londyn 1987).

ŁOBODOWSKI (Józef). *Rachunek sumienia. Wybór wierszy 1940-1980.* Str. 257 i 7 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1987).

Zagrożenia współczesne. Str. 256. (Wyd. Committee in Support of Solidarity, New York, jako tom V serii „Konfrontacje").

ŻENCZYKOWSKI (Tadeusz). *Polska lubelska 1944.* Str. 337 i 11 nlb. (Wyd. Editions Spotkania, Paryż 1987.

POLAK (Leon J.). *Dokąd idziesz, Ameryko. (Polska gawęda).* Str. 157 i 3 nlb. (Wyd. Brunswick Publ. Comp., USA).

ZYMAN (Edward). *U Boga każdy błazen. Wybór felietonów.* Str. 162. (Wyd. Andre R. Poray Book Publ., Chicago 1987).

MOCZULSKI (Leszek). *Krajobraz przed bitwą.* Str. 16. (Przedruk z *Gazety Polskiej*, centralnego pisma KPN, przez Główne Biuro KPN we Francji).

KRUSZELNICKI (Tommy). *Polonia śpiewa. Pieśni i piosenki.* Str. 9 i 2 nlb. (Wyd. Fimas, Haninge, Szwecja 1987, cena Skr. 40).

WIRSKI (Kazimierz). *Nostalgia i nadzieja.* Str. 73 i 2 nlb. (Wyd. Fimas, Haninge, Szwecja 1987, cena Skr. 40).

GOŁĄB (Kazimierz). *Mój pierwszy rok studiów na UJ w Krakowie.* Str. 40. (Wyd. nie podane, Nowy Jork 1987).

STYCZEŃ (Tadeusz, ks. red.), RADWAN (Marian, ks. red.). *Problem wyzwolenia człowieka.* Str. 408 i 4 nlb. (Wyd. Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Fundacja Jana Pawła II, Rzym 1987).

Wobec filozofii marksistowskiej. Polskie doświadczenia. Praca zbiorowa pod redakcją Antoniego B. Stępnia. Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej, Fundacja Jana Pawła II, Rzym 1987).

TUWIM (Julian). *My, Żydzi polscy — Kwiaty polskie (fragmenty).* Str. 63 i 5 nlb. (Wyd. bibliofilskie, WAF, Warszawa 1987).

HAHN (Hans Henning). *Dyplomacja bez listów uwierzytelniających. Polityka zagraniczna Adama Jerzego Czartoryskiego 1830-1840.* Przeł. z niemieckiego Maryla Borkowicz. Str. 376 i 5 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1987, cena zł 480).

GOMBROWICZ (Witold). *Bakakaj.* Str. 202 i 6 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie jako tom I Dzieł zebranych, Kraków 1987, cena zł 370).

GOMBROWICZ (Witold). *Pornografia.* Str. 151 i 1 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie jako tom IV Dzieł zebranych, Kraków 1987, cena zł 390).

BOGUCKI (Janusz), BRYLL (Ernest), ROSTWOROWSKI (Marek), WAJDA (Andrzej), WIECZORKOWSKI (Mariusz). *Niebo nowe, ziemia nowa.* Str. 145 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Wydawnicza MEDIUM przy pomocy Komitetu Kultury Niezależnej, Warszawa 1987).

GOŁUBIEW (Antoni). *Listy do przyjaciela. Gdy chcemy się modlić.* Str. 314 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 450).

ROMANOWICZOWA (Zofia). *Łagodne oko błękitu.* Str. 130 i 2 nlb. (Wyd. PAX, Warszawa 1987, cena zł 220).

ARENDT (Hannah). *Eichmann w Jerozolimie. Rzecz o banalności zła.* Przeł. z angielskiego Adam Szostkiewicz. Str. 406 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 560).

WOŹNIAKOWSKI (Jacek). *Czy kultura jest do zbawienia konieczna potrzebna?* Str. 306 i 6 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1988, cena zł 420).

OBERTYŃSKA (Beata). *Grudki kadzidła.* Wybór i opracowanie Wojciech Ligęza. Str. 130 i 2 nlb. (Wyd. Znak, Kraków 1987, cena zł 180).

Almanach Polonii 1988. Str. 376. (Wyd. Interpress, Warszawa 1988).

MANIA (Andrzej). *Polityka Stanów Zjednoczonych wobec Związku Radzieckiego w latach 1933-1941.* Str. 294 i 6 nlb. (Wyd. PWN, Warszawa 1987, cena zł 400).

Polonica Dedeciana. Literatura polska w pismach, tłumaczeniach i wydawnictwach Karla Dedeciusa. Bibliografia wydawnictw książkowych z lat 1959-1986. Wydanie dwujęzyczne polsko-niemieckie. Str. 40 i 8 nlb. (Wyd. Towarzystwo Bibliofilów im. J. Lelewela w Toruniu, 1986).

„O nas i za nas". Kronika wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Trójmieście, czerwiec 1987. Taśma video produkcji podziemnej, „Asocjacja Modus Video".

WYRWA (Tadeusz). *L'Armée polonaise en France en 1939-1940.* (Nadbitka z *Revue historique des armées*, nr 4/1985, Paryż, str. 84-92).

LEONHARD (Wolfgang). *Der Schock des Hitler-Stalin-Paktes. Erinnerungen aus der Sowjetunion, Westeuropa und USA.* Str. 220 i 4 nlb. (Wyd. Herderbücherei, Verlag Herder, Freiburg im Breisgau 1986).

SADYKIEWICZ (Michael). *Wartime Missions in the Polish Internal Front.* Str. 82. (Wyd. Rand Corporation, Santa Monica USA, 1986).

MASON (David S.). *Public opinion and political change in Poland, 1980-1982.* Str. 275 i 3 nlb. (Wyd. Cambridge University Press, Cambridge-New York-London-New Rochelle-Melbourne-Sydney, 1985).

HUNTINGDON (Eugenia). *The Unsettled Account, An Autobiography.* Str. 225 i 5 nlb. (Wyd. Severn House, London 1986).

LEKARSTWA
BONY DOLAROWE
dewizowe konta bankowe A
HASKOBA Ltd
81 Cromwell Road, London SW7 5BP
Tel. 01-373 7888. Telex London 23919

KRAJ — BLOK WSCHODNI

9-12-87
W 50-tą rocznicę śmierci Andrzeja Struga miała miejsce skromna manifestacja przy grobie pisarza na Powązkach w Warszawie.

13-12-87
Zmarł w Warszawie w wieku 84 lat gen. dyw. Stanisław Radkiewicz, kierownik resortu Bezpieczeństwa Publicznego PKWN, minister Bezpieczeństwa Publicznego w kolejnych rządach — aż do grudnia 1954. Kiedy zwolniono go z tego stanowiska, został mianowany ministrem PGR. Usunięty z funkcji partyjnych, nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej, w przeciwieństwie do wielu jego współpracowników, jak np. Różański i Fejgin, którzy zostali skazani w 1957 roku.

16-12-87
Zmarła w Warszawie w wieku 87 lat Irena Tuwim, poetka i tłumaczka, siostra Juliana Tuwima.

23-12-87
Zmarł w Sopocie w wieku 80 lat Seweryn Pollak, wybitny tłumacz literatury rosyjskiej. ■ Jury Nagrody im. Stanisława Vincenza jednomyślnie przyznało nagrodę za 1987 rok Stefanowi Kisielewskiemu.

1-1-88
Doroczną nagrodę im. Adolfa Bocheńskiego otrzymali: Aleksander Bocheński za całokształt twórczości publicystycznej i J. J. Szczepański za całokształt twórczości pisarskiej. ■ Jury dorocznej nagrody im. Andrzeja Kijowskiego przyznało nagrodę za 1987 rok Włodzimierzowi Boleckiemu za całokształt twórczości eseistycznej, traktującej o literaturze polskiej. ■ Z inicjatywy Ireny Parandowskiej zostało powołane jury nagrody im. Jana Parandowskiego. Nagroda na dzieło literackie w duchu twórczości Jana Parandowskiego zostanie po raz pierwszy przyznana w roku 1988 — w 10-tą rocznicę śmierci pisarza. W skład jury obok fundatorki nagrody, Ireny Parandowskiej, weszli: Juliusz Żuławski, Paweł Hertz, Artur Międzyrzecki i Andrzej Szczypiorski. ■ Komisja do Spraw Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność" dokooptowała Annę Morawiecką-Kowal (córkę Kornela Morawieckiego) jako nowego rzecznika. ■ RKS NSZZ „Solidarność", „Solidarność Walcząca", Porozumienie Społecznych Komitetów Kultury, Nauki, Oświaty i Zdrowia oraz Niezależne Zrzeszenie Studentów powołały do życia Dolnośląski Fundusz Wydawniczy. Zadaniem tego funduszu jest wspieranie niezależnej działalności wydawniczej. Został on powołany do życia z powodu niedoceniania działalności regionalnej przez centralne ośrodki w Warszawie. ■ W rejonie Śląska Opolskiego utworzono Komisję do Spraw Interwencji i Praworządności NSZZ „Solidarność". W jej skład weszli pp. Kazimierz Klucznik (47-200 Kędzierzyn-Koźle, ul. Piastowska 41/3, tel. 21650), Joachim Pawliczek (47-330 Zdzieszowice, ul. Akacjowa 12 A/), Krystyna Ziobrowska (45-367 Opole, ul. K. Miarki 4/4, tel. 36978). ■ Niezależny kwartalnik polityczny *Krytyka* ogłosił skład swojej redakcji: M. Beylin, M. Grabowska, J. Kofman (redaktor naczelny), P. Łukasiewicz, A. Michnik, R. Mroziewicz, R. Zakrzewski.

8-1-88
Wicemarszałek Sejmu PRL, Mieczysław Rakowski, miał rozmowę na Kremlu z przewodniczącym Rady Najwyższej ZSSR, Andriejem Gromyko. W czasie tej rozmowy A. Gromyko powiedział, że... „przypomniały mu [się] wydarzenia z przeszłości, w których miał okazję osobiście uczestniczyć. Po wyzwoleniu Polski spod faszyzmu sprawa jej przyszłości stanęła na ostrzu noża. Związek Radziecki trwał niezłomnie na stanowisku, że Polska powinna być mu przyjazna. Odpowiedź zachodnich sojuszników głosiła: Polska powinna pozostać taka, jaka była przed wojną i w istocie rzeczy znajdować się w kręgu wpływów krajów kapitalistycznych. — Na wszystkich konferencjach sojuszników kwestia polska była przedmiotem zaciekłych batalii. Szczególnie ostre były one w Poczdamie. Niekiedy odnosiło się wrażenie, że nadszedł moment, kiedy trzeba będzie uderzyć pięścią w stół i trzasnąć drzwiami. Jednakże delegacja radziecka wykazała cierpliwość, którą można określić jako żelazną. Dotyczy to przede wszystkim Stalina. Jak lew walczył o to, aby Polska była przyjaznym Związkowi Radzieckiemu krajem socjalistycznym, a nie czymś przyczepionym do bloku zachodniego. I odniósł sukces — ostatecznie podjęto decyzję, o którą walczył Związek Radziecki. — Po tym delegacja radziecka westchnęła z ulgą. Czuła się tak, jak czują się zapewne alpiniści, dochodząc do przełęczy i dostrzegając, że przed nimi otwiera się przepiękna perspektywa i swobodniejsza droga". — A. Gromyko zwrócił szczególną uwagę na zasadę nienaruszalności granic w powojennej Europie. Te koła i siły na Zachodzie — tu i ówdzie, niestety, wciąż działające — które podnoszą kwestię rewizji granic Polski, czynią to nie kierując się rozsądkiem... — *Trybuna Ludu* nie podała odpowiedzi Rakowskiego na powyższe oświadczenie Gromyki.

10-1-88
W Polsce jest około 12 tys. cmentarzy, w tym ponad 7 tys. cmentarzy rzymskokatolickich. Jest także 1.800 cmentarzy luterańskich, 437 prawosławnych i 400 żydowskich. 345 cmentarzy wpisano do rejestru zabytków.

15-1-88
Rozwiązany Związek Polskich Artystów Plastyków przyznał Janowi Lebensteinowi nagrodę im. Jana Cybisa za rok 1987. ■ W okresie 1970-1985 wyjechało na stałe z ZSSR do RFN 71.600 obywateli sowieckich pochodzenia niemieckiego. W ub. roku przybyło ich do RFN 10 tys.

22-1-88
Zmarła w Warszawie w wieku 83 lat Zofia Małynicz, wybitna aktorka sceny polskiej.

24-1-88
Stanisław Stomma obchodzi jubileusz 80-tych urodzin. O jego działalności *Kultura* będzie pisała w jednym z najbliższych numerów. ■ Prezes Narodowego Banku Polskiego, Władysław Baka, poinformował, że zadłużenie PRL w ciągu ostatniego roku wzrosło z 33,5 mld dolarów do 37,6 mld dolarów. Oświadczył też, że w ub. roku inflacja wyniosła 26-27 %, a jeśli idzie o 1988 rok, to przewiduje się wzrost do 42-44 %.

29-1-88
Galeria Sztuki Sceny Plastycznej KUL w Lublinie (Rada Artystyczna: Jacek Woźniakowski, Stefan Sawicki, Leszek Mądzik) prezentowała — po raz drugi w Kraju — cykl Jana Lebensteina „Apokalipsa". Wystawę otworzył 29 listopada 1987 roku prorektor KUL, historyk filozofii, prof. dr Jan Czerkawski. O „Apokalipsie" mówił ks. prof. dr Józef Kudasiewicz, a o twórczości Jana Lebensteina — Piotr Kłoczowski. Wystawa była otwarta do końca stycznia 1988 roku i cieszyła się dużym zainteresowaniem i frekwencją.

1-2-88
Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią, wprowadzono w PRL podwyżki cen. Ceny artykułów żywnościowych wzrosły o 40 %, benzyny o 60 %, oleju napędowego o 100 %, biletów autobusowych i kolejowych o 50 %, czynszu w mieszkaniach kwaterunkowych o 50 %, alkoholu i papierosów o 40 %. Drugi etap podwyżek: z datą 1 kwietnia br. ceny węgla wzrosną o 200 %, elektryczności, gazu i centralnego ogrzewania o 100 %. Jednocześnie wszyscy robotnicy i pracownicy państwowi otrzymują podwyżkę uposażenia o zł 6.000. ■ Władze zatwierdziły spółkę wydawniczą „Słowo i Czyn", która będzie wydawała pismo *Słowo Narodowe*. Przewodniczącym spółki jest prof. Maciej Giertych, członek Rady Konsultacyjnej przy gen. Jaruzelskim oraz członek Rady Społecznej przy Prymasie Polski. Wydawnictwo będzie m.in. publikowało opracowania z dziedziny historii polskiej myśli politycznej.

ZACHÓD — EMIGRACJA

22-9-87
Zmarł w Londynie w wieku 62 lat Zygmunt Ławrynowicz, poeta, współpracownik *Merkuriusza Polskiego*, doskonały tłumacz. W ostatnich latach wydał w Londynie dwa tomy wierszy.

1-12-87
Ks. Prałat Marian Oleś, dotychczasowy pracownik Kongregacji do Spraw Biskupów, został mianowany pronuncjuszem apostolskim w Iraku i Kuwejcie. Jednocześnie Papież podniósł go do godności arcybiskupiej.

2-12-87
Zmarł w Moss (Norwegia) w wieku 77 lat Bronisław Łubiński, wieloletni przedstawiciel *Kultury* i SPK w Norwegii.

10-12-87
Prezydent Costa Riki, Oskar Arias Sanchez, otrzymał Pokojową Nagrodę Nobla za plan pokojowego rozwiązania problemów Ameryki Środkowej.

14-12-87
Zmarł w Nowym Jorku w wieku 81 lat Jurij Ławrynenko, historyk literatury, krytyk, publicysta. Z Redakcją *Kultury* łączyły go bardzo serdeczne stosunki; jest autorem książki „Rozstrzelane odrodzenie" (Biblioteka *Kultury)* wydanej w języku ukraińskim. Antologia ta odegrała wielką rolę w odrodzeniu literatury i poezji ukraińskiej oraz w dużym stopniu przyczyniła się do powstania ukraińskiej grupy poetyckiej tzw. *szestydesjatnykiw.*

1-1-88
Powstał Włoski Komitet Helsiński. W jego skład weszli m.in. pp. Jiři Pelikan — deputowany do Parlamentu Europejskiego z ramienia Partii Socjalistycznej, Jaś Gawroński — deputowany Partii Republikańskiej, red. Dominik Morawski, Luciano Pellicani — dyrektor *Mondo Operaio* (organ PSI), Carlo Ripa di Meana — komisarz włoski EWG, prof. Ricardo Monaco — prezes Fundacji Kooperacji Międzynarodowej (Demokracja Chrześcijańska) i Antonio Stango — sekretarz federalny Partii Radykalnej. Komitet zamierza wywierać presję na włoskie czynniki rządowe i stronnictwa polityczne w kierunku realizacji postanowień Aktu Końcowego Układu w Helsinkach.

3-1-88
Zmarł w Londynie w wieku 81 lat Leopold Kielanowski, aktor, reżyser i teatrolog, żołnierz AK. Po Powstaniu Warszawskim został wywieziony do Niemiec, w 1945 roku dołączył do 2-go Korpusu, gdzie prowadził studium teatralne w Teatrze Dramatycznym, w Anglii był organizatorem Polskiego Teatru Cywilnego i kierownikiem Teatru Polskiego ZASP.

8-1-88
W Rzymie zmarł w wieku 79 lat Karol Wagner-Pieńkowski po 53 latach pracy radiowej, którą rozpoczął w Polskim Radio w 1935 roku. W czasie wojny był dyrektorem Polskiego Radia w Londynie, a później prowadził przez szereg lat Polskie Radio w Madrycie. Od 1953 roku współpracował z Radiem Wolna Europa.

15-1-88
Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznał doroczne nagrody: prof. Józefowi Bujnowskiemu za całokształt twórczości oraz Kołu Wychowanków Szkół Polskich w Isfahanie za pracę zbiorową pt. „Isfahan, miasto polskich dzieci", uznaną za najlepszą polską książkę wydaną poza Krajem w 1987 roku. Nagrody wynoszą po £ 300.00 i zostały ufundowane przez Fundację Domu Pisarza i p. Antoniego Motela.

24-1-88
W rzymskim Stowarzyszeniu Prasy Zagranicznej odbyła się konferencja prasowa Papieża. Jan Paweł II wyraził pragnienie odwiedzenia ZSSR i spotkania się z katolikami na Litwie, Łotwie, Ukrainie i w innych częściach Związku Sowieckiego. M.in. poruszył problem ukraińskich grekokatolików.

25-1-88
W Galerie Etienne de Causans w Paryżu odbył się wernisaż wystawy malarskiej Joanny Wierusz-Kowalskiej.

30-1-88
W zorganizowanym w styczniu br. pod egidą francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych sympozjum pt. „Tożsamość kulturowa Europy" obok znanych intelektualistów zachodnich wzięli udział zaproszeni goście z Europy Wschodniej: György Konrad z Węgier oraz Aleksander Gieysztor i Henryk Woźniakowski z Polski. ■ W Paryżu miała miejsce premiera prasowa najnowszego filmu Andrzeja Wajdy „Biesy" według powieści Dostojewskiego. Jest to film produkcji francuskiej z międzynarodową obsadą aktorską. ■ W styczniu br. gośćmi Centre du Dialogue w Paryżu byli: Leszek Kołakowski, który mówił na temat „Diabeł i polityka" oraz Stanisław Stomma, który analizował „Nowe perspektywy polskie". ■ W spotkaniach „Klubu Kontaktu" uczestniczyli w styczniu br.: Jerzy Surdykowski, dziennikarz i publicysta w niezależnym obiegu w Kraju; Natalia Gorbaniewska, rosyjska poetka i tłumaczka literatury polskiej; Jacek Winkler, uczestnik walk partyzanckich w Afganistanie.

1-2-88
W Nowym Jorku ogłoszono listę laureatów Nagrody im. Alfreda Jurzykowskiego. Znajdują się na niej nazwiska: prof. Mariana Mięsowicza, ks. Józefa Tischnera, Hanny Rudzkiej-Cybisowej z Krakowa, prof. Mieczysława Mąkosza, prof. Jerzego Szackiego, prof. Janusza Tazbira, Artura Międzyrzeckiego, Czesława Bieleckiego, Zofii Chądzyńskiej z Warszawy, Stefana Themersona z Wielkiej Brytanii, Tomasa Venclovy z USA. ■ Prezydent RP na wygnaniu, Kazimierz Sabbat, mianował swoim następcą Ryszarda Kaczorowskiego, który jest ministrem spraw krajowych w emigracyjnym rządzie w Londynie oraz przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego.

9-2-88
W Centre du Dialogue w Paryżu odbyło się spotkanie przedstawicieli polskich środowisk twórczych z kardynałem Jean-Marie Lustigerem, który m.in. poruszył problem zagrożenia, jakie niesie sekularyzacja narodów europejskich. ■ „Międzynarodówka Oporu", organizacja antytotalitarna, której przewodniczy Władimir Bukowski, wystąpiła z apelem w obronie Kornela Morawieckiego, przywódcy „Solidarności Walczącej", niedawno aresztowanego w Polsce. Apel ten podpisali m.in. P. Daix, M. M. Fourcade, S. Hook, J.-F. Revel i A. Valadarez. ■ Nagrodę im. Ghandiego, przyznaną przez młodzieżową wspólnotę ekumeniczną w Teizé, otrzymał w tym roku redaktor krakowskiego *Tygodnika Powszechnego,* Jerzy Turowicz.

KRONIKA AUSTRIACKA

1 stycznia br. weszła w życie umowa o zniesieniu wiz w ruchu turystycznym między PRL i Austrią. Decyzja ta wywołała spore emocje w obu krajach. Austria oczekuje fali turystów polskich (i węgierskich, w związku z daleko idącą liberalizacją polityki paszportowej na Węgrzech, również od Nowego Roku) i coraz dobitniej wyrażane są obawy, że pokaźna ich część zechce uzyskać azyl polityczny. Aby temu zapobiec, minister spraw wewnętrznych Karl Blecha zapowiedział wprowadzenie skróconego postępowania azylowego, nakłanianie kandydatów na uchodźców do powrotu do kraju, w końcu nie wykluczył też możliwości wydalenia ich z terytorium Austrii, jeśli ich motywy nie zostaną uznane za wystarczające. Polacy i Węgrzy — zdaniem ministra Blechy — nie będą praktycznie mieli szans na uzyskanie azylu. ■ Liczba osób starających się o azyl polityczny w Austrii systematycznie wzrasta. W roku 1985 z takim wnioskiem wystąpiło 6.308, rok później 8.639, a w ubiegłym roku prawie 12.000 osób. W tej ostatniej liczbie znakomitą większość stanowili Węgrzy (4.690, ponad dwa razy więcej niż w roku 1986) i Czesi (2.700, wzrost o ponad 1/4 w porównaniu z rokiem poprzednim). Natomiast liczba Polaków spadła z 670 w 1986 do 570 rok później. W tym roku władze austriackie oczekują 15.000 kandydatów na uchodźców. Dwie trzecie podań załatwiane są negatywnie, 70 % osób odwołuje się od tej decyzji. W obecnej chwili pod opieką władz federalnych żyje w Austrii 11.000 osób, z tego dwa tysiące w obozie w Traiskirchen koło Wiednia, reszta zaś rozmieszczona jest w prywatnych pensjonatach. Około 9.000 osób oczekuje na ostateczny wyrok w sprawie azylu. ■ Amerykańskie Wheatland Foundation i Reliance Holding Group Inc. zorganizowały w grudniu w Wiedniu kongres „Pisarze na wygnaniu", w którym wzięli udział pisarze-uchodźcy z prawie wszystkich krajów komunistycznych, ale też z RPA, Chile i Turcji. Polskę reprezentowali Wojciech Karpiński, Sławomir Mrożek i Adam Zagajewski. ■ Gośćmi wiedeńskiej księgarni „Dwójka" byli ostatnio Leszek Szaruga i Roman Szeremietiew. Szaruga mówił o tym, jak rozwój różnych form działalności niezależnej wpłynął na zmianę oblicza oficjalnej publicystyki i kultury, Szeremietiew zaś przedstawił aktualną sytuację opozycji w Polsce, w szczególności jej nurt niepodległościowy. ■ „Czy jest na Zachodzie polityk, który żywo interesuje się sprawami Polski i Polaków? (...) Tak, jest nim dr Erhard Busek, przyjaciel Polaków żyjących w Polsce i poza jej granicami". Tymi słowami austriacka Partia Ludowa wzywała polskich mieszkańców Wiednia do głosowania na swego kandydata w wyborach do wiedeńskiego parlamentu w wydanej w języku polskim ulotce. Niestety, dr Busek poniósł porażkę i musiał zrezygnować z pełnionej dotąd funkcji wiceburmistrza Wiednia. ■ W grudniu i styczniu w Muzeum XX Wieku w Wiedniu pokazana została wystawa „Expressiv", prezentująca sztukę środkowoeuropejską powstałą po roku 1960. Na wystawie pokazano

prace artystów z Austrii, Czechosłowacji, Jugosławii, Polski i Węgier. Sztukę polską reprezentowali: Magdalena Abakanowicz, Jerzy Bereś, Edward Dwurnik, Izabella Gustowska, Władysław Hasior i Józef Łukomski. Pomysłodawcą i głównym organizatorem wystawy była pani Meda Mladek, Czeszka zamieszkała w USA. Jest to bodajże pierwsza tego typu próba ukazania tendencji wspólnych twórcom tego obszaru. W lutym wystawa zostanie przeniesiona do waszyngtońskiego Hirshhorn Museum and Sculpture Garden, gdzie będzie można ją oglądać do 17 kwietnia . ■ W Muzeum Etnograficznym w zamku Kitsee w Burgenlandzie można oglądać do 10 kwietnia dzieła 28 polskich twórców ludowych, wśród nich obrazy Nikifora Krynickiego i Tadeusza Ociepki, rzeźby Romana Śledzia i kompozycje Stanisława Zagajewskiego. ■ W dniach 8-10 marca odwiedzi Polskę minister Spraw Zagranicznych Austrii, wicekanclerz dr Alois Mock.

A. M. P.

we Wiedniu, 2 lutego 1988 r.

KRONIKA KANADYJSKA

Wydawcy kanadyjscy opublikowali w 1987 roku około 2.300 pozycji, to jest najwyższą dotychczasową liczbę publikacji. Wśród nich znalazła się sensacyjna powieść pt. *The Glorious East Wind* pióra 37-letniego sierżanta policji torontońskiej — G. E. Konkela (oficjalne brzmienie nazwiska przypuszczalnie Kąkol). Autor jest synem oficera Polskich Sił Zbrojnych i Holenderki — nauczycielki, urodzonym w 1950 roku w Rotterdamie. Rodzina emigrowała do Kanady w latach 50-tych i osiadła w Hamiltonie, gdzie Konkel skończył szkołę średnią i uniwersytet McMaster na wydziale nauk politycznych i uzyskał magisterium. W 1974 roku został zwerbowany do policji w Hong Kongu na stanowisko inspektora w oddziale taktycznym, do którego należała walka z handlem narkotykami oraz nielegalną emigracją. Konkel włada płynnie sześcioma językami: polskim, holenderskim, angielskim, francuskim, niemieckim i chińskim (kantońskim). Po powrocie do Kanady zgłosił się do służby w policji w Toronto. Pierwsza jego powieść jest wielkim sukcesem, miała doskonałe krytyki i przygotowuje się ją do ekranizacji. ■ Sukces odniósł również inny autor, Witold Rybczyński, profesor architektury na uniwersytecie McGill w Montrealu. Obszerne, luksusowe wydanie w 25 tys. egzemplarzy *Home — A Short History of an Idea* poświęcone jest architekturze wnętrz. Omawia i krytykuje meble, konstrukcje domów, ich wpływ na otoczenie, wygodę itp. ■ *Dreams beyond memory* — pierwszy polski film w Kanadzie — jest dziełem Andrzeja Markiewicza, który napisał scenariusz i sam był reżyserem. W realizacji filmu brali udział m.in. artysta malarz Jerzy Denisiuk, imigrant ostatniej fali, Piotr Łysak i Rafał Mickiewicz — obaj aktorzy. Film — zdaniem recenzentów — jest interesujący, dobry i, jak jeden z nich napisał, „głęboko ludzki i osobisty, czasami nieznośnie polski". ■ Wojciech Wroński, były kierownik biura planowania metropolii Toronto, następnie dyrektor departamentu w ministerstwie spraw samorządowych prowincji Ontario, mianowany został sędzią Trybunału Obywatelskiego w Toronto. Sędziowie ci, mianowani przez rząd federalny, przesłuchują, przeprowadzają rozmowy z kandydatami na obywateli i odbierają ślubowanie w czasie ceremonii przyznawania obywatelstwa. Wieloletnim sędzią Trybunału Obywatelskiego w Toronto była Irena Ungar, działaczka polonijna. Piastowała to stanowisko od 1973 do 1983 roku z nominacji rządu liberalnego, a p. Wroński jest pierwszym sędzią — Polakiem z nominacji rządu konserwatywnego. ■ W 10 szkołach Metropolii Toronto komisja szkolna Kongresu — okręg Toronto — prowadzi raz w tygodniu, w godzinach wieczornych, naukę języka polskiego dla dzieci. Niezależnie od tego w jednej ze szkół dla dzieci w wieku od 5 do 14 lat prowadzi

się również naukę tańca, śpiewu i teatr. Wszystkie zajęcia w języku polskim. ■ Komisja emigracyjna Kongresu Polonii Kanadyjskiej ogłosiła apel do sponsorowanych o zwrot pożyczek. Komisja od 1981 roku udzieliła nowoprzybyłym i starającym się o azyl polityczny pożyczek wysokości kilkunastu tysięcy dolarów. Każdy z otrzymujących pożyczkę podpisał zobowiązanie, iż po otrzymaniu pracy zwróci pobraną sumę. Ponadto wielu imigrantów po otrzymaniu wizy kanadyjskiej zaciągnęło w Europie pożyczki od rządu kanadyjskiego na pokrycie kosztów przelotu. Ci również podpisali zobowiązanie spłaty długu i mieli ponadto obowiązek zawiadomić Komisję emigracyjną KPK o każdej zmianie adresu. Z tych zobowiązań nie wywiązali się ani dłużnicy Kongresu, ani rządu Kanady. Kongres wzywa wszystkich dłużników do uregulowania należności. ■ Rodzina Romerów złożyła 70 tysięcy dolarów otrzymane w spadku po rodzicach Tadeuszu i Zofii Romerach na założenie fundacji ich imienia, której „głównym celem jest popieranie nauki i sztuki polskiej poprzez zapraszanie naukowców i artystów z Polski oraz finansowanie książek i zagranicznych czasopism, których brak zagraża rozwojowi nauki". W komitecie honorowym znajdują się m.in. prof. Anna Cienciała, Bogdan Czaykowski, Czesław Miłosz, prof. Irena Bellert, prof. Norman Davies i Józef Czapski. ■ Fundusz Wieczysty Millenium rozprowadził w ostatnim roku sprawozdawczym — listopad 1986 - 31 października 1987 roku — ogółem $ c. 115.905, z czego *organizacje otrzymały $ c. 52.400*, a mianowicie: Instytut Badawczy — $ c. 15.000; Związek Harcerstwa — $ c. 10.000; Instytut Naukowy - Biblioteka Polska (Montreal) — $ 5.000; na pomoc nowoprzybyłym — $ c. 8.000; Biuro Opieki Społecznej Okręg Toronto — $ c. 3.500; Stowarzyszenie „Orzeł Biały" w Victorii na utrzymanie szkoły i biblioteki — $ c. 1.500; mniejsze sumy w wysokości od $ c. 300 do $ c. 700 otrzymały zespoły artystyczne: muzyczne, taneczne oraz 3 kluby sportowe. *Na szkolnictwo wydano ogółem $ c. 27.400*, w tym $ c. 6.000 otrzymał Związek Nauczycielstwa Polskiego na wydanie podręczników, informatora i biuletynów; University of Toronto — $ c. 5.000 na utrzymanie katedry literatury polskiej; University of Manitoba (Winnipeg) — $ c. 4.000 na lektorat języka i literatury polskiej; McMaster University (Hamilton) — wydział slawistyki — lektorat języka polskiego — $ c. 2.500; Polska Rada Szkolna — $ c. 2.400; Komisja Szkolna okręg Toronto — $ c. 2.000 i na utrzymanie polskiej szkoły w Wilno — Ontario — $ c. 1.000; dotacje w wysokości od $ c. 100 do $ c. 600 otrzymały szkoły w Edmonton, Hamilton, Oshawa, Winnipeg, Soudbury, Petereborough, Barrie-Angus i Windsor. *Na cele biblioteczne oraz na pomoc wydawnictwom i autorom* przeznaczono ogółem *$ c. 6.005*, z tego biblioteka University of Toronto $ c. 1.000 na skatalogowanie pism i dokumentów związanych z „Solidarnością"; na zakup książek dla KUL — $ c. 1.100; po $ c. 400 otrzymali na wydanie książek: Polski Fundusz Wydawniczy („Ze sceny i estrady"), B. Ejbich („Gdzie niebo się kończy"), Adam Tomaszewski („Szkunery i wyspy"), J. Rozwadowski („Dziś to już legendy"); Instytut Sztuki i Nauki w Toronto — $ c. 200 na wydanie „Essays in Polish History & Culture", Hanna Jastrzębska na „Niedokończone strofy", a Federacja Kobiet w Montrealu — $ c. 100 na wydanie broszury o Fatymie. *Przyznano ogółem $ c. 30.500 na stypendia* w wysokości od $ c. 300 do $ c. 1.000 studentom w Kanadzie, dwóm studentom KUL, 20-studentom-harcerzom prowadzącym kolonie zuchowe i obozy harcerskie. ■ W Del Bello Galery w Toronto odbyła się w dniach 19 stycznia - 3 lutego br. pierwsza wystawa grupy artystów polskich niedawno osiadłych w Nowym Jorku: M. Albrechta, A. Czeczota, Katarzyny Gruda, Marii Hagadus, A. Kendy, Z. Krygiera, Marioli Markiewicz, Barbary Maryańskiej, R. Olbinskiego, Krystyny Spisak, Kamili Szalewicz, L. Tomaszewskiego, Ch. Zacharowa i Hanny Zawa-Cywińskiej. ■ Ryszard Paszkowski mający 32 lata w 1982 roku zmusił pilota PLL „Lot", by lecąc z Budapesztu lądował w Monachium zamiast w Warszawie. Z więzienia w

RFN uciekł do Włoch, gdzie został zwerbowany przez kanadyjską służbę wywiadowczą. Przybył do Kanady pod fałszywym nazwiskiem — Robert Fisher — i został skierowany do Edmontonu. Jego zadaniem było zbadać sieć polskiego wywiadu. Warszawa nawiązała z nim kontakt latem 1985 roku za pośrednictwem pewnego profesora, zaproszonego na gościnne wykłady. Udał się do Ottawy na spotkanie w ambasadzie PRL, gdzie m.in. nakłaniano go do wykonania aktów terrorystycznych w państwach zachodnich w Europie. Takież propozycje otrzymał z ambasady NRD w Rzymie. Latem 1986 roku członek wywiadu polskiego w Calgary nalegał, by udał się do Rzymu, co uczynił za zgodą swoich kanadyjskich pracodawców. Do Rzymu przybył 17 sierpnia 1986 roku. Następnego dnia udał się na spotkanie do ambasady NRD, a w dzień później został aresztowany i deportowany do RFN dla... odbycia kary za porwanie samolotu. Paszkowski jest w RFN, ale nie w więzieniu. Ujawnił swoją działalność, gdyż władze kanadyjskie odmówiły mu prawa powrotu. CSIS (Canadian Security Intelligence Service) milczy, a minister Kelleher, któremu służba ta podlega, oświadczył w Izbie Gmin, że Paszkowski zaofiarował swoje usługi dopiero w Kanadzie, że opuścił kraj dobrowolnie, a CSIS zerwało z nim łączność; gdyby zdołał zjawić się ponownie w Kanadzie, zostanie natychmiast aresztowany. Paszkowski natomiast oświadczył, że na czele sieci agentów-informatorów PRL w Kanadzie, która liczy około 100 osób, stoi wysoki urzędnik ambasady w Ottawie. Rzecznik ambasady p. Niedzielski oświadczył, iż Paszkowski jest im całkowicie nieznany, a jego wiadomość o 100-osobowej siatce jest „naprawdę bardzo zabawna". ■ Odmówiono prawa pozostania w Kanadzie, na statucie uchodźcy politycznego, Polakowi marynarzowi Grzegorzowi Michalakowi, znajdującemu się tutaj od 1984 roku. Władze imigracyjne uznały, iż nie był działaczem politycznym, nic mu też nie grozi, gdy powróci. Decyzji władz imigracyjnych nie przyjął i odwołał się do Trybunału Imigracyjnego, który zatwierdził postanowienie urzędu imigracyjnego, czyli decyzję deportacji. Nie jest to zresztą pierwsza deportacja uchodźców czy też imigrantów polskich. Z różnych powodów przechodziły one jednak bez rozgłosu. W tej sprawie Kongres — okręg Toronto — podjął niestety spóźnioną interwencję. Grzegorza Michalaka deportowano 20 stycznia. Podobno to samo czeka kilku innych polskich uchodźców. Rząd postanowił rygorystycznie przyznawać azyl polityczny. Minister Bouchard, uzasadniając 26 stycznia w Izbie Gmin zmiany w przepisach imigracyjnych zaznaczył, iż celem ich jest niewpuszczanie fałszywych uchodźców i niezamykanie wstępu dla prawdziwych, to jest dla osób, które ze względów politycznych czy religijnych są prześladowane w swoich krajach i dlatego z nich uchodzą.

Benedykt HEYDENKORN

Toronto, styczeń 1988

KRONIKA SZWEDZKA

Niemałą sensacją stało się dla kolonii polskiej wydalenie ze Szwecji konsula PRL w Malmö, Lasoty, któremu kazano opuścić Szwecję przed 30 grudnia ub.r. Zarzucono mu uprawianie szpiegostwa wśród polskiej emigracji. Jego następca, Flak, nie otrzymał *agrément*. Wielkie oburzenie wywołała w szwedzkich mass-mediach reakcja władz PRL-u, które kazały Janowi Ambergowi opuścić w krótkim czasie Polskę. Jan Amberg, Polak po matce Teresie Heymowskiej — siostrze dr. Adama Heymowskiego, dyrektora Królewskiej Biblioteki Bernadotte'ów — rozwinął w czasie swojego półtorarocznego pobytu w Polsce ogromną działalność na polu ożywienia stosunków kulturalnych pomiędzy obu narodami, co słusznie zostało przez prasę szwedzką uznane za jego zasługę. Polska była pierwszą placówką dyplomatyczną 28-letniego Jana Amberga, który zdobył sobie w kraju licznych przyjaciół we

wszystkich warstwach społeczeństwa, m.in. dzięki temu, że polski jest jego językiem macierzystym. Jak słyszymy, na razie nie planuje się obsadzenia stanowiska sekretarza czy *attaché* kulturalnego, a na szeroką skalę zakrojone ożywienie stosunków kulturalnych zostało zawieszone. ■ 15 stycznia br. zgłosił się do wydziału zagranicznego policji szwedzkiej wicekonsul PRL-u w Sztokholmie, Witold Grabiec, w towarzystwie żony i dwojga nieletnich dzieci, prosząc o udzielenie azylu politycznego. Jednocześnie poprosił o azyl będący na wakacjach w Szwecji szwagier wicekonsula z żoną i również dwojgiem dzieci. Sprawa ma być załatwiona w trybie pilnym i, jak twierdzi prasa szwedzka, obie rodziny uzyskają azyl. ■ W ostatnim kwartale ukazało się w Szwecji kilka książek polskich w tłumaczeniu na szwedzki. Przede wszystkim należy wymienić wspomnienia Lecha Wałęsy wydane przez czołową szwedzką spółkę wydawniczą *Norstedt* pt. „Hoppets Väg" (Droga nadziei) w tłumaczeniu Andersa Bodegarda i Jana Stolpe. ■ *Tidens Förlag* (dom wydawniczy socjaldemokracji) wydał na przełomie roku już trzecie szwedzkie tłumaczenie „Pana Tadeusza" pt. „Herr Tadeusz eller sista fejden i Lituane". Przełożył w heksametrze Lennart Kjellberg. Jest to najlepsze z trzech dotychczasowych tłumaczeń. Słowo wstępne napisał Nils Ake Nilsson, emerytowany profesor slawistyki Uniwersytetu w Uppsali. Pierwsze tłumaczenie „Pana Tadeusza" ukazało się jeszcze w 1898. Tłumaczem był wówczas wybitny slawista, tłumacz klasyków literatury słowiańskiej, Alfred Jensen. Przetłumaczył dzieło Mickiewicza wierszem. Drugim tłumaczem była Ellen Wester, tłumaczka szeregu dzieł literatury słowiańskiej, m.in. Sienkiewicza i Orzeszkowej. Tłumaczenie to, prozą, ukazało się w 1926 roku w luksusowej serii „Mistrzów Literatury" nakładem największego szwedzkiego domu wydawniczego *Bonniers*. Wstęp i komentarz były pióra akademika Fredrika Böőka, seria w której ukazał się oprawiony w skórę „Pan Tadeusz" nazywała się *De stora mästerverken* (Wielkie arcydzieła). W związku z ukazaniem się obecnie trzeciego tłumaczenia Kjellberga w OPON-ie — lokalu Rady Uchodźstwa Polskiego — doc. dr Andrzej Uggla, slawista Uniwersytetu w Uppsali, wygłosił interesujący referat w języku polskim. Bardzo licznie zgromadzona publiczność miała okazję wysłuchania odczytu pt. „Mickiewicz na tle szwedzkiego romantyzmu" oraz obejrzenia wystawy poświęconej tłumaczeniom twórczości Mickiewicza, esejów i artykułów o Mickiewiczu i polskim romantyzmie, jakie ukazały się w Szwecji w ciągu ostatniego stulecia. Wystawiona była też poprzednia praca Lennarta Kjellberga pt. „Adam Mickiewicz — liv och verk" („Adam Mickiewicz — życie i dzieło"), wydana w 1981. Kjellberg był przed wojną lektorem języka szwedzkiego Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, gdzie stał się wielkim przyjacielem Polski. Obecnie jest profesorem slawistyki na Uniwersytecie w Uppsali. ■ W Uppsali Małgorzata Szulc-Packalen obroniła pracę doktorską pt. „Pokolenie 68: studium o poezji lat 70-tych". Omawia w niej twórczość St. Barańczaka, Juliana Kornhauzera, Ryszarda Krynickiego i Adama Zagajewskiego. Praca ta ukazała się drukiem w wydawnictwie *Almqvist i Wiksell*. ■ *Expressen* — dziennik wieczorny o największym w Szwecji nakładzie — opublikował 29 stycznia br. całostronicowy nader interesujący artykuł Czesława Miłosza o Emanuelu Swedenborgu. Artykuł był specjalnie zamówiony u Miłosza z okazji 300-nej rocznicy urodzin wielkiego Szweda, którego twórczość filozoficzno-mistyczno-literacka miała — jak pisze Miłosz — ogromny wpływ na wielu sławnych pisarzy europejskich i na niego samego. ■ W ostatnim okresie problemy polskie nie raz były przedmiotem zainteresowań szwedzkich publicystów. W chwili pisania tej kroniki, 31 stycznia br., *Svenska Dagbladet* zamieściła frapujące, jak na poglądy zachodnioeuropejskie, studium swego sprawozdawcy z Europy środkowo-wschodniej, Richarda Swartza. Podkreśla on, że Polska, podobnie jak reszta krajów bloku wschodniego, jest przemysłowo bardziej zaawansowana i bogatsza od Sowietów. Tu idee Gorbaczowa zostały już w praktyce wypróbowane. Na podstawie własnych doświadczeń kraje wschodnioeuropejskie wątpią w możliwość realizacji prób reformy Gorbaczowa. Zachód bardzo interesuje się zagadnieniem, jak *pieriestrojka* zmieni kraje wschodnie. Należy jednak — stwierdza autor — zadać sobie pytanie, co nastąpi na wschodzie, gdy fala *głasnosti* wyczerpie się. Monopol władzy jest święty. Nikt, a zwłaszcza partia, nie zrezygnuje z władzy.

Norbert ŻABA

KSIĘGARNIA POLSKA
A. i E. NEUSTEIN
TEL-AVIV, P.O.BOX 29443 — IZRAEL
Tel.: 621-311
Książki:
NOWE, WYCZERPANE, ANTYKWARYCZNE
Ostatnie katalogi:
50. Historia, Polityka. 51. Historia i Teoria literatury. 52. Różne — Bibliografia, Cracoviana, Językoznawstwo, Wspomnienia. 53. Teatr. 54. Różne. 55. Historia, Polityka. 56. Judaica.
Katalogi wysyłamy (bezpłatnie) na życzenie.
Prosimy o określenie zainteresowania.

W A W E L
PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA
w Niemczech Zachodnich
Wszystko na temat Europy Wschodniej:
— Literatura piękna i fachowa,
— Albumy, plakaty, pamiątki,
— Książki antykwaryczne.
Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne oraz książki w językach obcych.
Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.
Tel.: 0221/24-61-60.
Również sprzedaż wysyłkowa.
Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

NOWOŚCI WYDAWNICZE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 431 — J. M. BOCHEŃSKI

STO ZABOBONÓW

Krótki filozoficzny słownik zabobonów

Z przedmowy: „Słownik ten zostanie z pewnością przyjęty z oburzeniem, ponieważ nazywam 'zabobonami' wiele rzeczy, uchodzących powszechnie za szlachetne, czcigodne, ba, święte". Kilka przykładów takich haseł: altruizm, Oświecenie, filozofia chrześcijańska, postęp, idealizm, młodość, marksizm, pacyfizm, prawda (moja), światopogląd (naukowy).

Str. 120. Cena F. 55,00.

◆

TOM 432 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

1985-1987

Tom IV — zakończenie cyklu

Str. 192. Cena F. 80,00.

◆

TOM 434 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY DRUGI

zawiera opracowania: A.P.: *25 lat „Zeszytów Historycznych"*; Stanisław Sosabowski: *Józef Rybicki*; Józef Rybicki: *Rok 1945*; Jerzy Łojek: *Historia nie jest obrazem czarno-białym*; Tadeusz Wyrwa: *Kościół i państwo w pierwszym dziesięcioleciu PRL (na podstawie raportów dyplomatów francuskich)*; Z. S. Siemaszko: *Jeńcy wojenni (ZSSR 1939-1941)*; Marek Kazimierz Kamiński: *Polsko-czechosłowackie stosunki polityczne przed konferencją trzech mocarstw w Poczdamie (maj - czerwiec 1945 roku)* (dok.); *Z zeszytów gen. Józefa Jaklicza*; Bohdan Tadeusz Urbanowicz: *Ze wspomnień dowódcy 10 Pułku Ułanów Litewskich*; Dr Stefan Mozołowski: *Przed zgonem Marszałka Józefa Piłsudskiego*; Józef Garliński: *Sprawa Józefa Hammera* oraz działy RECENZJE i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 70,00.

Listy do Redakcji

29 grudnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nrze 11/482 *Kultury* napotkałem „Kronikę Białoruską". Z wdzięcznością do redakcji za to, że znów zaczęła udzielać nieco uwagi sprawom białoruskim, zacząłem czytać. Niestety, moja wdzięczność natychmiast zamieniła się w rozczarowanie.

Podaję z tej pisaniny pana Józefa Darskiego „fakt", który można lekko sprawdzić: „W Detroit Białoruska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna wygrała proces sądowy z *unitami* o tutejszą cerkiew i pieniądze należące do parafii Świętego Ducha. Ostry konflikt między prawosławnymi a katolikami nadal rozrywa emigrację białoruską i przyćmiewa wszelkie spory polityczne".

Wśród białoruskiej emigracji są tylko dwie unickie parafie: w angielskim Londynie i amerykańskim Chicago. W Detroit nigdy białoruskiej unickiej parafii nie było. Również nieprawdą jest, że „ostry konflikt między prawosławnymi i katolikami... rozrywa emigrację białoruską".

Pytanie: skąd zaczerpnął pan Darski te bzdury? On wspomina *Biełaruski Hołas*, białoruskojęzyczną brukową gazetkę, która wychodzi w Toronto, poważnie ją traktuje, czerpie z niej różne, wymyślone przez wydawcę i redaktora „fakty", jak na przykład o detroickiej parafii białoruskich *unitów*, której nie było i nie ma.

Jeżeli pan Darski nie orientuje się nawet, że wśród białoruskiej emigracji są miarodajne i poważne gazety, jak *Biełarus* z Nowego Jorku, to jakie ma prawo, bazując się na fantazjach *Biełaruskiego Hołasa*, który Białorusini nazywają „śmietnikiem', dezinformować czytelników tak poważnego czasopisma jak *Kultura*?

Łączę wyrazy szacunku

Kastuś AKUŁA

Montreal, 11 stycznia 1988.

Szanowny Panie Darski,

W ostatniej *Kulturze* (nr 12/1987) w „Kronice ukraińskiej" jest wzmianka o „osełedcu" jako śledziu. Otóż jest to omyłka. W książce p. Wołoszynowskiego na str. 96 znajdzie Pan wytłumaczenie.

Nie piszę tego, aby Panu dokuczyć. Na ukraińskiej godzinie radiowej słuchałam bardzo długo, jak „osełedce" zachwalali jako śledzie.

Z uszanowaniem

Helena EJSNER

Szanowny Panie Redaktorze,

Otrzymałem listy, na które przesyłam odpowiedź:

1) Pan Akuła, Białorusin, zarzuca mi, że korzystam z pisma *Biełaruski Hołas*, zamiast przytaczać wiadomości, które zamieszcza drugie pismo, *Biełarus*.

Korzystam z obu pism na równi, o czym świadczą moje kroniki i nie mam zamiaru ulegać naciskom z żadnej strony, by wykluczyć którąś ze stron. Jeśli zaś idzie o mój stosunek do *Biełaruskiego Hołasu* lub do *Biełarusa*, wyraz swoim poglądom dałem na piśmie. Białoruscy prawosławni i katolicy mogą oczywiście nadal obrzucać się wyzwiskami i rościć sobie pretensje do monopolu na białoruskość, ale nie zmuszą mnie, bym kogoś pomijał milczeniem.

Często otrzymuję również od Ukraińców listy, w których zwolennicy kierunku niebanderowskiego mają do mnie pretensję, że cytuję prasę banderowską, ci ostatni natomiast, że ich krytykuję, bądź cytuję prasę niebanderowską. Odpowiedź moja jest taka sama jak wyżej.

2) Pani Helena Ejsner zwraca mi uwagę, że źle przetłumaczyłem z ukraińskiego słowo *oseledeć* jako śledź, podczas gdy w istocie jest to coś innego, a co, to się dowiem, jak sprawdzę w odpowiedniej książce.

Słowo „oseledeć" oznacza:
a) śledzia, tj. rybę o r a z
b czub lub długi warkocz, który kozacy zostawiali sobie na głowie po podgoleniu włosów.

Wybrałem pierwsze tłumaczenie, ponieważ wydawało mi się, że będzie bardziej pasowało do zespołu muzycznego punk noszącego tę nazwę. O poprawne tłumaczenie należałoby zapytać samych członków zespołu, choć sądzę, że wybrali specjalnie nazwę wieloznaczną.

Józef DARSKI

◆

Fryburg, 17 stycznia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czuję się naprawdę nie tylko zaszczycony, ale i onieśmielony przez to, co *Kultura* o mnie i ode mnie ogłosiła w numerze 1/1988. Ale, jako że zwięzłość ogłoszonego tekstu — a być może i złe odczytanie z taśmy — mogłyby wywołać nieporozumienia, pozwalam sobie prosić o łaskawe ogłoszenie poniższego wyjaśnienia.

Dotyczy ono następującego tekstu: „My Polacy, nie gęsi, mamy przecież nie tylko własną mowę, ale i własny Kościół i własne wyznanie wiary". Temu tekstowi chciałem dać następujący sens:

Kościół katolicki nie jest podobny do totalitarnej partii ze „zglajchszaltowaniem" wszystkiego i wszystkich. Jest raczej podobny do gotyckiej katedry, gdzie pod jednym wspólnym sklepieniem jest wiele różnych kaplic i kapliczek. Kościół katolicki ma tę właściwość, że gdziekolwiek się naprawdę zakorzeni, staje się kościołem narodowym — i, co za tym idzie, przybiera — jeśli chodzi o rozumienie tej samej wiary i praktykę tego samego w zasadzie chrześcijaństwa — swoisty, lokalny, narodowy charakter. Tak na przykład różnica między Kościołem francuskim a irlandzkim bije w oczy. Zrozumienie tego pluralizmu jest obecnie w Polsce nikłe, a to, jak sądzę, wskutek ogromnej przewagi kościoła francuskiego, który w pierwszej połowie naszego wieku był kościołem panującym.

Myśląc o dziejach tego kościoła nietrudno zrozumieć jego pacyfizm, odmawianie służby wojskowej, zabobonny nieraz internacjonalizm itp. Składa się mianowicie tak, że wojska francuskie były od wielu wieków nie środkiem obrony narodowej, ale narzędziem podboju. W Szwajcarii, aby tylko jej wypadek przytoczyć, do dziś dnia żywa jest pamięć masowych mordów dokonanych na ludności przez żołnierzy armii rewolucyjnej. Nic więc dziwnego, że kościół francuski ma całkiem inne rozumienie wojny, służby wojskowej itd. od polskiego. Bo Polacy chwytali od wieków za broń nie aby podbijać inne narody, ale aby bronić własnego.

To chciałem powiedzieć w powyżej przytoczonym, być może źle odczytanym, a w każdym razie za zwięzłym, tekście. Chciałem m.in. protestować przeciw dziwnym, a moim zdaniem niczym nie uzasadnionym, kompleksom niższości wobec Zachodu w ogóle, a Francji w szczególności.

Dziękuję i łączę wyrazy wysokiego szacunku

J. M. BOCHEŃSKI

◆

Trängsund, 29 stycznia 1988.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wywiad z Marianem Kaletą w nrze 1-2/1988 *Kultury* zawiera jego fantastyczne podejrzenie, że to rząd szwedzki wydał polecenie urzędnikom celnym nadania do Polski telexu, oskarżającego Lennarta Järna, kierowcę ciężarówki, o szmugiel dla „Solidarności".

Urząd celny wysłał, według własnego oświadczenia, rzeczywiście telex do Polskich Linii Oceanicznych w kraju, domagający się kontroli ładunku samochodu. Nie chcę badać przypuszczeń, co było jego powodem, czy nieświadomość, jak twierdzą celnicy, czy złośliwość lub wręcz zła wola. Nie czuję się powołany do rozstrzygania tego trudnego pytania. Zajmę się tylko oskarżeniem Mariana Kalety pod adresem szwedzkiego rządu o donos na własnego obywatela.

Szwedzka konstytucja zakazuje rządowi wydawania jakichkolwiek poleceń, albo nawet kontaktowania się z urzędami i urzędnikami, którzy mają być niezależni od rządu: jest to osobliwość szwedzkiego ustroju. Może Pan Kaleta nie znał tego postanowienia, którego przekroczenie opozycja wyciągnęłaby z zachwytem na światło dzienne, gdyby było prawdziwe.

Abstrahujmy na chwilę od niego i zastanówmy się, czy członkowie rządu mogli wiedzieć o wyjeździe Lennarta Järna do Polski. Urząd celny w Ystad jest oddalony od Sztokholmu o 600 km. Pan Kaleta podaje, że telex wysłano „w kilka minut po odejściu promu", praktycznie biorąc zaraz, bo trzeba go było zredagować i nadać. Czy celnicy mieli możność porozumienia się z rządem w ciągu tak krótkiego czasu?

Marian Kaleta stosuje tu znany i tani chwyt, potępiony przez wszystkie teorie prawa karnego: daje do zrozumienia, że rząd szwedzki wypracował diabelny plan donosu na Lennarta Järna do Polski, wtajemniczeni w niego mieli być urzędnicy celni w Ystad, tekst telexu miał być gotowy — to wszystko po udanych 15 podróżach Lennarta Järna do Polski?

Jak wiadomo, nie można przeprowadzić tak zwanego negatywnego dowodu. Obciąża on Pana Kaletę, nie rząd szwedzki. Jeżeli Pan Kaleta nie ma pozytywnego dowodu, powinien zaniechać rzucania oskarżeń.

Rząd szwedzki nie wiedział i nie mógł wiedzieć o tym, pomijając już fakt, że kto zna jego członków, wykluczyłby taką możliwość.

Szwecja daje pomoc dla „Solidarności"; nie chcę tu zdradzać jej wysokości, ale jest ona znaczna, jak na 8-milionowe państwo. Dalej Szwecja uznaje, według wielokrotnych, własnych oświadczeń, „Solidarność" za jedyną reprezentację polskiego ruchu robotniczego oraz utrzymuje w centrum Sztok-

holmu, w budynku szwedzkich związków zawodowych, biuro „Solidarności" z jego polskim szefem. Należałoby się jej za to wdzięczność, nie obrzucanie błotem, ale taka jest już cecha polskiego charakteru, że nie umiemy jej okazywać, co powoduje trochę kłopotów.

Niechęć Pana Kalety do szwedzkich sfer rządowych nie jest tajemnicą, pozostaje ona w związku z jego niechętnym nastawieniem do socjaldemokracji, która sprawuje tu ster rządów. Wolno mu mieć takie podejście, natomiast nie wolno bez cienia dowodu rzucać oskarżeń.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku

Michał LISIŃSKI
Storvretsvägen 43, III tr.
142 00 Trängsund, Szwecja

◆

Londyn, 26 listopada 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z wielką satysfakcją dowiedziałem się, że książka Zygmunta Haupta „Pierścień z papieru", po długim jej ignorowaniu, zaczyna być zauważana i zainteresowanie nią wzrasta. W listopadowym numerze (1987) *Kultury* przeczytałem recenzję Renaty Gorczyńskiej o tej książce i ze zdziwieniem znalazłem wiele mylnych informacji dotyczących Sadyka Paszy. Aby te informacje nie zostały uznane za prawdziwe i nie stały się własnością ogółu, pozwolę sobie w jak najkrótszej formie je sprostować.

Karol Różycki, oficer drugiego Pułku Ułanów Królestwa Kongresowego, po wystąpieniu z wojska ożenił się z siostrą Michała Czajkowskiego (późniejszego Sadyka Paszy) i osiadł w majątku rodzinnym Czajkowskich w okolicach Berdyczowa. Na wieść o wybuchu powstania listopadowego zorganizował z okolicznych chłopów, służby folwarcznej, Kozaków itp. kilkusetosobowy oddział i objął nad nim dowództwo. Oficerami w tym oddziale byli okoliczni młodzi ziemianie: Czajkowski, Worcell, Szaszkiewicz, Berzewiczy i inni. Z tym oddziałem udało się Różyckiemu przedostać do Królestwa, gdzie po umundurowaniu i przeogranizowaniu oddziału otrzymał nazwę Pułku Jazdy Wołyńskiej.

Po upadku powstania Czajkowski znalazł się w Paryżu i zaczął pisać powieści awanturniczo-batalistyczne z życia kresowego, Kozaczyzny i legend stepowych (Wernyhora). Powieści te zyskały w Polsce wielką poczytność i popularność. W tym czasie Czajkowski ożenił się z Francuzką, z którą miał czworo dzieci.

Po nawiązaniu przez Czajkowskiego stosunków z Hotelem Lambert Adam Czartoryski wysłał go do Stambułu jako agenta. W Stambule Czajkowski wyrobił sobie wpływowe stosunki, przyjął wiarę muzułmańską i zyskał sobie zaufanie Omara Paszy. Wynikiem tego było wysokie stanowisko w hierarchii tureckiej i nawet wpływ na politykę. Z Kozaków z Dobrudży, emigrantów po powstaniu polskim i węgierskim uformował własne dwa pułki jazdy — jeden Kozaków, drugi dragonów.

Ludwika Śniadecka, jedna z pierwszych miłości Juliusza Słowackiego — „Ludka do zbielałej róży podobna" — kochała się w oficerze rosyjskim, Rimskim-Korsakowie, który zginął w wojnie rosyjsko-tureckiej. Zrozpaczona udała się do Turcji, by odnaleźć grób ukochanego. Grobu nie znalazła, ale spotkała Czajkowskiego i została jego drugą żoną. Po śmierci Ludwiki, w roku 1866, Czajkowski pozbawiony towarzyszki-doradczyni i podpory duchowej zaczyna szybko chylić się ku upadkowi. Gnębiony zawiścią rodaków i ich intrygami, traci wpływy w hierarchii tureckiej i wreszcie na zaproszenie cara wraca z trzecią żoną Greczynką do kraju i osiedla się w guberni Czernichowskiej. Tam przyjmuje wyznanie prawosławne, co w Polsce po roku 1863 jest uważane za więcej niż zbrodnię. Starzec, znienawidzony i opuszczony przez wszystkich, w skrajnej nędzy i rozpaczy, odbiera sobie życie w roku 1888. Żołnierze rosyjscy wykopali dół w ogródku i tam złożyli zwłoki.

Zygmunt Haupt był pożeraczem książek i specjalnie interesował się egzotyką. Żywot i losy Sadyka Paszy były mu na pewno znane. Wydaje mi się wątpliwe, by tragiczny powrót Czajkowskiego mógł inspirować tryumfalny powrót w „Pierścieniu z papieru". Jedyne podobieństwo to żona Greczynka, ale to jest nieistotne, bo równie dobrze mogłaby być Ormianka lub Gruzinka.

Ponieważ niewielu pozostało przy życiu ludzi, którzy znali Zygmunta Haupta i jego osobowość staje się coraz bardziej mglista, pozwolę sobie dodać jeszcze parę sprostowań. Zygmunt nie był niskiego wzrostu. Pomimo zainteresowania dla koni, wojnę zaczął jako podporucznik artylerii i w tej samej randze ją zakończył. W wojsku polskim, znając ustosunkowanie władz do oficerów rezerwy, nie jest to wypadkiem odosobnionym.

Z. RUSZKOWSKI

---

14 grudnia 1987.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Renaty Gorczyńskiej poświęcony twórczości Zygmunta Haupta „Mięszkał ubogi szlachcic na Podolu" *(Kultura* nr 11/1987) zawiera istotny błąd dotyczący postaci Karola Różyckiego (str. 129). Karol Różycki wsławił się jako dowódca pułku jazdy wołyńskiej w powstaniu listopadowym. Zmarł w Paryżu w 1870 roku. Natomiast porucznikiem w pułku jazdy wołyńskiej Karola Różyckiego był Michał Czajkowski, przyszły otomański Sadyk-Pasza i samobójca — trzynaście lat po powrocie na Ukrainę w roku 1886.

Z wyrazami szacunku,

Maciej SIEKIERSKI

ODPOWIADA RENATA GORCZYŃSKA

Sam Zygmunt Haupt, w opowiadaniu „Z Laczczyny" ogłoszonym na łamach *Kultury* nr 4/1972 podaje *verbatim* genezę tytułowego opowiadania zbioru „Pierścień z papieru". Kwestionowany przez P. Ruszkowskiego fragment mego szkicu o tej wspaniałej książce jest w gruncie rzeczy ukrytym cytatem (ostatni jego człon ujmuję w cudzysłów) i nawet odsyłam zainteresowanych czytelników do oryginału. Zatem powtarzam, co Zygmunt Haupt o pierwowzorze swojego bohatera sam podał, a nie co sama wiem (lub nie wiem) o Sadyku Paszy. By nie było wątpliwości, pozwolę sobie zacytować autora:

„Powiadali" — a było już o tym, nie? — „a powiadali że przywiózł ze sobą żonę, obcą, czarnobrewą, Greczynkę. Bo to miało należeć do tego orientalnego bagażu, bo jakże inaczej miałoby być? Taka spod dalekiego nieba, egzotyczna, zakwefiona, ognista i powłócząca spoza welonów spojrzeniem była pewnie tak nieodzowna jak kobierce wschodnie, jak bogactwa,

srebra, wierzchowce, czwórki bałagulskie i smycze chartów. Wieść po prostu sama zaokrąglała w kompozycję tę historię powrotu. (...)

Nie, nie wychodzi. A pomysł już miałem, a także poszukałem za jakimś materiałem, porobiłem notatki. O tym jak ten niegdysiejszy porucznik Pułku Jazdy Wołyńskiej Karola Różyckiego, tudzież emigrant, a także i autor romantycznych opowieści („Kirdżali", „Ukrainki", i tak dalej), a potem Mahmud Sadyk, wreszcie Sadyk Pasza, twórca Pierwszego Pułku Kozaków Otomańskich (w którego drugiej sotni na liście wolontariuszy figuruje imię Adama Mickiewicza) powróci w 1872 roku do Kijowa, by z imperatorskim przebaczeniem dostać folwarczek Borki w guberni czernichowskiej, by za łaską cesarską zabezpieczyć wychowanie, posag i miejsce frejliny na dworze dla córki z drugiej żony Greczynki, by wreszcie starcem z górą osiemdziesięcioletnim, zgrzybiałym i głuchym odebrać sobie życie w tychże Borkach. Nawet miałem gotowe zakończenie:

„... w gęstniejącym mroku tli się w kącie kłak przybitki i skąpymi kroplami wycieka krew z przestrzelonej starczej skroni kiedy palce zmartwiałe obejmują ostatnim jeszcze kurczem kolbę stygnącego pistoletu".

Nie czuję się zatem winna udzielenia czytelnikom mojego szkicu „wielu mylnych informacji", jak to P. Ruszkowski ujął. Triumfalny powrót? Pozwolę sobie nieco inaczej oceniać intencje Haupta w „Pierścieniu z papieru". Jest to raczej powrót legendą, już nie ciałem. Byłby to raczej powrót taki, jak pisał Mickiewicz w balladzie „Upiór" lub w „Dziadów" części IV — Gustawa-samobójcy. Wydaje mi się, że jest w tym powrocie wiele romantycznej z ducha ironii. Na ile utożsamiać Sadyka Paszę z głosem w „Pierścieniu z papieru" — to już rzecz do dyskusji. Z pewnością, jest to jeden tylko z dostępnych kluczy interpretacyjnych i w tej postaci narratora-bohatera można by się też doszukiwać innych dopływów, z literatury i życia wziętych. Dlatego pisałam jedynie o pierwowzorze. Domyślać się można też, że nastąpiła w tym wypadku dość silna identyfikacja opowiadającego (czyli Haupta) z kreowaną przez niego postacią.

Co do wzrostu Haupta, to istotnie, oparłam się na relacji znajomego, który słabo go znał w Stanach Zjednoczonych, i w jego pamięci autor „Pierścienia z papieru" zachował się jako mężczyzna niewielkiego wzrostu, z dość wydatną głową. Ot, przyczynek do psychologii odbioru i subiektywizmu. Zdanie o wzroście Haupta skreśliłam, gdy już po napisaniu i wysłaniu szkicu do *Kultury* otrzymałam od syna pisarza krótką notę biograficzną o ojcu, gdzie Haupt-junior podaje po prostu wzrost ojca w stopach i calach (5' 9"). Moja korekta nadeszła jednak zbyt późno i tekst ukazał się w pierwotnym kształcie.

Byłabym bardzo wdzięczna P. Ruszkowskiemu za ogłoszenie drukiem swoich wspomnień o Zygmuncie Hauptcie, co byłoby cennym dokumentem dla ludzi z mojej generacji, którzy go teraz na nowo dla siebie odkrywają. Bo niezależnie od pewnej różnicy opinii, mogę zapewnić autora listu, że z równym co i on podziwem odnoszę się do spuścizny literackiej Haupta.

Renata GORCZYŃSKA

◆

Paryż, 15 listopada 1987.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W artykule Zbigniewa Romaszewskiego w listopadowej (1987) *Kulturze* mowa jest o „rządowej fundacji NED (Fundacji na rzecz Demokracji)". Określenie „rządowa fundacja" nie jest zgodne z rzeczywistością: NED jest prywatną organizacją niedochodową, która ma poparcie obu ugrupowań w

Kongresie Stanów Zjednoczonych (republikanów i demokratów) i podlega kontroli tegoż Kongresu. W skład zarządu NED wchodzą osobistości o bardzo różnych poglądach politycznych.

Fakty te nie mają w zasadzie wpływu na wnioski Romaszewskiego. Wydaje jej się jednak, że warto wiedzieć, że cele i działania NED nie są związane z bieżącą polityką rządu USA, ale mają poparcie olbrzymiej większości amerykańskiego świata politycznego.

A milion istotnie należało wykorzystać na cele NSZZ „Solidarność".

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

J. P. LASOTA

POLNISCHE BUCHHANDLUNG
KSIĘGARNIA POLSKA
1070 Wien, Burggasse 22
Tel.: 0222/93 87 222
GODZINY OTWARCIA / ÖFFNUNGSZEITEN:
CODZIENNIE / TÄGLICH 10.00 - 18.00
SOBOTA / SAMSTAG 9.00 - 12.00
SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA / BUCHVERSAND
KONTO POCZTOWE PSK 7227.556

Pogląd
Dwutygodnik społeczno-polityczny „Towarzystwa Solidarność" e.V.
Ukazuje się w Berlinie Zachodnim od 17 stycznia 1982 r.
PUBLICYSTYKA ■ WYWIADY ■ RECENZJE ■ KRONIKA AKTUALNYCH WYDARZEŃ W KRAJU I NA ŚWIECIE ■ PRZEDRUKI Z PODZIEMNEJ PRASY KRAJOWEJ
Cena pojedynczego egzemplarza w RFN DM 6,-. Ceny prenumeraty w poszczególnych krajach podane są w każdym numerze „Poglądu". Zamówienia prosimy kierować na adres redakcji — „Pogląd", Postfach 62 02 24, D-1000 Berlin 62. Telefon 030/782 93 84.

Inż. Jacek Krzyżanowski, Berlin CT (USA), po raz 2-gi — $ 56,65 ..... F. 317,00
Lesław Ludwig, Springfield, MA (USA), po raz 13-ty — $ 12,00 F. 67,00
Kazimierz i Zofia Logay, Sarasota, FL (USA) — zamiast kwiatów na grób przyjaciela, Wiesława Arleta, zmarłego w Sarasota 13 stycznia 1988 roku — $ 20,00 ..... F. 112,00
Leszek Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 9-ty ..... F. 520,00
Włodzimierz Łukjanow-Kozłowski, Kankakee, IL (USA) — zamiast noworocznych życzeń dla Gustawa Herlinga-Grudzińskiego — $ 50,00 ..... F. 280,00
K. S. Marszałek, Houghton, Le Spring (Wielka Brytania) — £ 10.00 ..... F. 100,00
Zbigniew Marquart, Chicago, IL (USA) — $ 22,00 ..... F. 123,00
Wilhelm Matykiewicz, Old Bethpage, NY (USA), po raz 15-ty — $ 15,00 ..... F. 84,00
Maryla, Andrzej i Siuna, Hvidovre (Szwecja) — w pierwszą rocznicę śmierci Janki Piaseckiej, zmarłej w Kopenhadze 6 marca 1987 roku — na Fundusz Wydawniczy ..... F. 88,21
Jan F. Morelewski, Evergreen Park, IL (USA), po raz 16-ty — $ 25,00 ..... F. 140,00
Krystyna i Leon Nawroczyńscy, Los Angeles, CA (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Marii I voto Zaorskiej, II voto Nawroczyńskiej, zmarłej w Warszawie 1 stycznia 1986 r. — $ 25,00 ..... F. 140,00
Stefan Nędzyński, Genewa, po raz 17-ty — Frs. 100,00 .... F. 410,00
Seweryn Palicki, Lidingo (Szwecja) — zamiast życzeń świątecznych — Krs. 120,00 ..... F. 112,00
Andrzej Pleszczyński, Santa Barbara, CA (USA), po raz 13-ty — $ 59,00 ..... F. 330,00
Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, MB (Kanada), po raz 26-ty (za styczeń i luty 1988 r.) po $ US 100,00 — $ US 200,00 F.1.120,00
Stefan Rose, Paryż, po raz 9-ty ..... F. 520,00
E. i W. Salamońscy, Philadelphia, PA (USA), po raz 5-ty — $ 20,00 ..... F. 112,00
Michaś Sienko, South River, N.J. (USA), po raz 12-ty — $ 10,00 F. 56,00
Zygmunt Sowa, Indian River, MI (USA), po raz 21-y — $ 122,00 F. 690,50
Krzysztof Sojka-Wilmański, Toronto, ON (Kanada) — $ c. 40,00 F. 198,00
Dr Adam i Elżbieta Sułkowscy, Sudbury MA (USA) — zamiast kwiatów na grób płk. dypl. Jana Conar-Kamieńskiego, cichociemnego i oficera KG AK, zmarłego w maju 1987 r. — $ 103,00 ..... F. 728,00
Elżbieta Trzeciak i Gustaw Pawlak, Londyn — £ 50.00 ..... F. 500,00
Lucie Wieczorek, Rueil Malmaison (Francja), po raz 6-ty .... F. 150,00
B. Wróblewski, Pennington, SA (Australia), po raz 2-gi — $ A. 10,00 ..... F. 39,50
Norbert Żaba, Sztokholm — dziękuje za liczne życzenia prenumeratorów *Kultury*, Przyjaciół i znajomych — nie mogąc wszystkim odpisać — składa na „Fundusz *Kultury*" — Krs. 120,00 ..... F. 112,00
Bezimiennie z Baden (Szwajcaria), po raz 12-ty — Frs. 100,00 F. 410,00
Bezimiennie z Caracas (Venezuela), po raz 4-ty ..... F. 100,00
Bezimiennie z Lugano (Szwajcaria), po raz 19-ty ..... F. 541,65
Bezimiennie z Mediolanu (Włochy), po raz 25-ty ..... F. 100,00
Bezimiennie z Vancouver, BC (Kanada), po raz 22-gi ..... F. 89,66

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU „ŻEBY POLSKA BYŁA POLSKĄ"

Anonimowo z Ivry-sur-Seine (Francja) — na rzecz prześladowanych w PRL ..... F. 150,00
B.B., NYC (USA) — na opozycję polityczną — $ 30,00 ..... F. 168,00
Jadwiga Buko-Szreder, Kassel (RFN) — na pomoc ludziom walczącym z przemocą komunistyczną w Kraju — za styczeń i luty 1988 r. po DM 10,00 — DM 20,00 ..... F. 66,00
E.M., Paryż — na rzecz prześladowanych w PRL — za miesiące styczeń i luty 1988 r. po F. 200,00 ..... F. 400,00
Leon Grobelny, Dearborn, MI (USA) — na walczących w Polsce — $ 10,00 ..... F. 56,00
Jacek Kluza, Solingen (RFN) — zamiast kwiatów na grób Ojca, Kazimierza Kluzy, w pierwszą rocznicę Jego śmierci — na ruch oporu w Polsce — DM 100,00 ..... F. 335,00
Komitet Pomocy dla opozycji demokratycznej w Polsce przy KPA, Chicago, IL (USA) przekazał na pomoc dla Kraju $ 6.000,00 i $ 5.000,00 — razem: $ 11.000,00 ..... F.61.600,00
Komitet Solidarności Rodzin Polskich w Worcester, MA (USA) — na pomoc dla rodzin więźniów politycznych w Polsce (nadesłał Jerzy Bielecki) — $ 100,00 ..... F. 560,00
Koło Polskie w Lucernie (Szwajcaria) — wpływ z loterii (nadesłał Andrzej Choliński) F.1.218,05
Krzysztof Łączak, Malmö (Szwecja) — zamiast kwiatów na grób mego Dziadka, Tadeusza Bokowskiego ..... F. 83,46
Krzysztof Murjas, Jackson Heights, NY (USA) — na walkę z komunizmem — $ 22,00 ..... F. 123,00
M. Orłowski, Ridgewood, NY (USA) — na ruch oporu w Polsce (wpłacone do redakcji *Listów do Polaków*) — $ 10,00 .. F. 56,00
Jerzy Smolik, Staten Island, NY (USA) — na walkę z komunizmem — $ 22,00 ..... F. 123,00
Mieczysław Smulski, Staten Island, NY (USA) — na walczących z komunizmem — $ 72,00 ..... F. 403,00

WPŁATY NA FUNDUSZ NSZZ „SOLIDARNOŚĆ"

A.A., NYC (USA) — $ 40,00 ..... F. 224,00
Anonimowo z Paryża ..... F. 200,00
Bob Borowicz, Santiago de Chile — na „Solidarność" w Polsce — DM 166,00 ..... F. 556,00

WPŁATY NA „SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCĄ"

Bezimiennie z Wiednia — Sch. A. 500,00 ..... F. 240,00
Wacław Kamiński, Trenton, NJ (USA) — $ 34,00..... F. 190,50
Piotr Kiszczyc, Hamtramck, MI (USA) — sumę wpłaconą przez niżej wymienione osoby: P. Kiszczyc, S. Kwiatkowski, J. Mokryj po $ 20,00; T. Sochacka — $ 15,00; W. Szoka, A. Jezierski, L. Naja, THZA, Barbara D., R.S., ARN, K. Paszek, C. Bieńczyk, W. Drezek, Anonimowo po $ 10,00; ADA — $ 7,00; Maria, J. Krzystanek, S. Kopeć po $ 5,00; M. Flis — $ 3,00 — razem: $ 210,00 ..... F.1.176,00
Prof. dr Theodore Maćkiw, Heidelberg (RFN) ..... F. 270,63
Małgorzata i Paweł Nassalscy, Woodhaven, NY (USA) — $ 25,00 F. 140,00
Ireneusz Stypik, Lake Bluff, IL (USA) — honorarium z RWE — na pomoc rodzinom uwięzionych Kornela Morawieckiego i Andrzeja Kołodzieja — $ 30,00 ..... F. 168,00

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kanadzie, Koło Nr 13, Winnipeg, MB (nadesłał skarbnik W. Jakiela) — $ c. 300,00 F.1.335,00

◆

Mieczysław Stankiewicz, Pennsauken, NJ (USA) dla „Jedności", wydawanej przez NSZZ „Solidarność" regionu Pomorze Zachodnie w Szczecinie — $ 20,00 ..... F. 112,00

◆

Anonimowo z RFN — na rzecz organizacji „Wolność i Pokój" F. 33,65

Anonimowo z Rehlingen (RFN) — na rzecz organizacji „Wolność i Pokój" ..... F. 33,78

◆

Anonimowo ze Strasbourga (Francja) — na Fundusz Drukarski im. Władysława Głowackiego ..... F. 120,00

◆

N.N., Londyn — na potrzeby krajowego wydawnictwa CDN — po raz 3-ci — £ 195.00 ..... F.1.950,00

◆

Wojciech M. Szczygielski, Markham, ON (Kanada):
— na Fundusz Drukarski im. Wł. Głowackiego — $ c. 30,00 F. 133,50
— na pomoc dla aresztowanych z „Solidarności Walczącej" — $ c. 20,00 ..... F. 98,00

◆

C. Waluk, Kitchener, ON (Kanada) — na pomoc dla Polaków w Rosji ..... F. 240,00

◆

Zbigniew Wrzecionkowski, Bad Homburg (RFN) — na fundusz interwencyjny ..... F. 336,92

SPROSTOWANIA

W Nrze 12/483 (grudzień 1987 r.) *Kultury* przy wpłatach na NSZZ „Solidarność" podaliśmy, że Lucyna Baczko-Cora wpłaciła F. 200,00 zamiast kwiatów na grób dr Aurelii Baczko — tymczasem wpłata ta pochodziła od *p. Claude Caire*, a p. Lucyna Baczko-Cora tylko ją przekazała.

W Nrze 11/482 (listopada 1987 r.) *Kultury* przy wpłatach na nasz Fundusz podaliśmy, że dla uczczenia pamięci Jarka Odyńskiego i Janusza Prauznera Koledzy z Kanady wpłacili $ c. 25,00. Tymczasem w rzeczywistości wpłacili *$ US 25,00*, co dało *F. 150,00*, a nie jak podano F. 112,00.

Za te pomyłki Ofiarodawców przeprasza *R e d a k c j a.*

Włoski korespondent „Kultury": Gustaw HERLIN-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

W y d a w c a : INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60739.
Dépôt légal: 1er trimestre 1988.

Imprimé en France.
N° d'imprimeur 8899

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : (1) 39-62-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata 1/2-roczna	Prenumerata roczna
	Ceny na rok 1988		
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
ARGENTYNA : « Libreria Polaca », Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
AUSTRALIA : Ksiegarnia Polska VISTULA, King York House, 32 York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	$ A. 10,00	$ A. 60,00	$ A. 110,00
AUSTRIA : Ksiegarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22, Tel. : 0222/93 87 222.	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BELGIA : prosimy o przysylanie naleznosci za prenumerate do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
BRAZYLIA : prosimy o przesylanie czekow do administracji « Kultury »	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
DANIA : O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « Kultury » i w ksiegarniach polskich w Paryzu	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
HOLANDIA : Mrs. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, 4382 B L Vlissingen. Tel.: (01 184) 14073. Postgiro 1379176.	Fl h 20,00	Fl h 95,00	Fl h 175,00
IZRAEL : Ksiegarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (514) 465-2362; **Baltazar Krasuski,** 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; **Very rev. D. M. Malinowski,** P.O. Box 68, Royston, B.C., VOR 2VO. Tel.: (604)338-80-40; **Z. Micherdzinski,** 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; **J. Korwin-Lopuszanski,** 90 Hilliard Ave., Ottawa K2E 6C2; **« Polish Voice Publishing » Co.,** 390 Roncesvalles Ave., Toronto, Ont. M6R 2M9; **Polish Alliance Press, Ltd. (« Związkowiec »),** 1638 Bloor St. West, Toronto, Ont. M6P 4A8 ..	$ can. 10,00	$ can. 50,00	$ can. 98,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr. 7/1.	DM 14,00	DM 80,00	DM 150,00
NORWEGIA : Zb. Tyszko, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51 20 55.....	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue de Lilas, C.P. 74. 1211 Genève 7. Tel.: 44-32-51. Nr konta pocztow. 12.14431.	F.S. 13,00	F.S. 70,00	F.S. 130,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kalskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 60-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6.	K.S. 45,00	K.S. 260,00	K.S. 500,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 119 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009. Tel.: 475 8886; **Ada Dziewanowska,** 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; **T. Konopacki,** 27437 Detroit Rd., Cleveland, Ohio, 44145. Tel.: 871-48-47; **Irena Kretowicz,** 4254 - 34th St., San Diego, Cal. 92104; **Halina Kosciuch,** 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; **POLONIA Bookstore,** 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; **Jan Wojcik,** 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; **Ksiegarnia Ludowa,** Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; **Szwede Slavic Books,** 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; **Ksiegarnia « Nowego Dziennika »,** 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	$ US 7,50	$ US 40,00	$ US 78,00
WIELKA BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00
WLOCHY : Witold Zahorski, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 45,00	F 250,00	F. 480,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 480; półroczna — F. 250.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.

INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 *(z Francji)*
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 *(z zagranicy)*.

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 433 — CZESŁAW MIŁOSZ

KRONIKI

NOWY TOM POEZJI

Str. 80. Cena F. 45,00.

◆

TOM 435 — JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

UMSCHLAGPLATZ

Jest to książka wielowątkowa, łącząca różne gatunki pisarskie, próbująca opisać stosunki polsko-żydowskie: to, co się wydarzyło i co się nadal wydarza między Polakami i Żydami.

Opisując wywózkę Żydów w sierpniu i wrześniu 1942 roku z warszawskiego Umschlagplatzu do Treblinki, Rymkiewicz chce dać świadectwo nie tylko tego co się stało, ale także opisać co o zagładzie Żydów myśleli wówczas i myślą dzisiaj Polacy.

Str. 224. Cena F. 95,00.

◆

TOM 436 — JANUSZ ANDERMAN

KRAJ ŚWIATA

Opowiadania: Jakoś pusto. — Płonie teatr narodowy. — Jeszcze Polska? — Zwycięs... — Trzej królowie. — Łańcuch czystych serc. — Poczucie. — Świat światów.

Str. 80. Cena F. 50,00.

◆

TOM 437 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT OSIEMDZIESIĄTY TRZECI

zawiera opracowania: Michał Heller: *Kamienie milowe 70-letniej historii Związku Sowieckiego;* R. Socha: *Droga przez mgłę (rozmowa z prof. Marią Turlejską);* Adina Blady-Szwajger: *Szpital w getcie (1939-1943)* i *Po aryjskiej stronie;* Andrzej Suchcitz: *Dziennik mjr. dypl. Jana Jaźwińskiego (lotnicze wsparcie Powstania Warszawskiego);* Zbigniew Gołąb i Jerzy P. Horzelski: *Polemika w sprawie artykułu J. P. Horzelskiego „Przygodne notatki o mowie. O Wandach, Krakach i Lachach"; Jak montowano Rząd Jedności Narodowej w Moskwie w 1945 roku: relacje A. Kołodzieja, St. Szwalbego, St. Mikołajczyka i gen. Andersa* oraz *Dokumenty z Public Record Office;* Tadeusz Wyrwa (opr.): *Francuzi o Stanisławie Kocie, ambasadorze PRL w Rzymie;* Tadeusz Wyrwa (opr.): *Starania gen. Józefa Jaklicza o przerzucenie w 1942 roku Żydów-kombatantów z Francji do Szwajcarii* oraz dział LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240. Cena F. 80,00.

RICHARD S.A. - Paris - 46.06.88.26

Cena 45 F